

**TADEUSZ BOROWSKI**

**WYBÓR OPOWIADAŃ**

## SPIS TREŚCI

WSTĘP.....	3
MATURA NA TARGOWEJ .....	13
POŻEGNANIE Z MARIĄ.....	17
CHŁOPIEC Z BIBLIĄ.....	41
U NAS W AUSCHWITZU.....	50
LUDZIE, KTÓRZY SZLI.....	78
DZIEŃ NA HARMENZACH.....	88
PROSZĘ PAŃSTWA DO GAZU .....	110
ŚMIERĆ POWSTAŃCA .....	126
BITWA POD GRUNWALDEM .....	138
OKREŚLENIA OŚWIĘCIMSKIE.....	171

## WSTĘP

W literaturze polskiej czasu wojny i powojnia, bujnej i różnorodnej, Tadeusz Borowski był postacią wyjątkową. Choć żył zaledwie 29 lat i pozostawił po sobie dorobek ilościowo niewielki, nie dopełniony, nie pozbawiony wewnętrznych sprzeczności - trudno przecenić jego wartość i znaczenie.

Za życia był pisarzem czytowanym, frapującym, lecz przede wszystkim spornym. Prawie każdy jego utwór, każda książka wywoływały dyskusje i sprzeciwy. Krytykowano je, i często potępiano, z różnych stron i rozmaitych powodów. Skoro nie dawało się tej twórczości potraktować obojętnie, dość powszechnie doszukiwano się w niej wybujałego młodzieńczego nihilizmu. Borowski nie ułatwiał zrozumienia swych dróg: rozrzutnie szafował własnym pisarstwem, potępiał sam siebie, miotał się wśród sprzeczności swego czasu i swej psychiki. Trzeba było dopiero jego samobójczej śmierci, zebrania ocalałych utworów i wyświetlenia nieznannej biografii, aby z dość już odległej perspektywy czasu i nowych doświadczeń ogarnąć to wyjątkowe zjawisko i zrozumieć, czym jest dla polskiej literatury.

Borowski debiutował w środku okupacji, w końcu roku 1942. Miał lat dwadzieścia. Pracował jako magazynier w firmie budowlanej na Pradze i studiował polonistykę w tajnym uniwersytecie warszawskim. Wojna przyspieszyła dojrzewanie nowego pokolenia literackiego. Wśród jego kolegów uniwersyteckich znalazło się wielu młodych poetów: Krzysztof Kamil Baczyński, Waław Bojarski, Tadeusz Gajcy, Andrzej Trzebiński, Zdzisław Stroiński, Stanisław Marczak-Oborski i inni. Tej młodzieży zawdzięczała Warszawa pierwsze przejawy życia literackiego pod okupacją. Ale nie było jej łatwo otrząsnąć się z klęski, zdobyć jakąś nową, własną orientację ideową. Większość z nich skupiła się wokół pisma „Sztuka i Naród”, związanego z prawicową organizacją „Konfederacja Narodu”, która w okupowanym kraju snuła dalej rojenia o polskiej mocarstwowości. Borowski, podobnie jak Baczyński, mocno sprzeciwiał się tej ideologii (na tym tle rozszedł się ze swym szkolnym i uniwersyteckim przyjacielem, Andrzejem Trzebińskim).

Wokół Borowskiego powstała grupa przyjacielska „esencjastów” stanowiąca w okupowanej Warszawie ośrodek lewicowej czy też lewicującej młodzieży artystycznej, konkurencyjny w stosunku do „Sztuki i Narodu”. Dla zabaw, dysput i poezji zbierali się przeważnie w baraku na Skaryszewskiej, gdzie pracował i mieszkał Borowski. Mimo grozy czasu, nie chcieli rezygnować z niczego „co ma młodości smak i poezji”. Ciężko pracując,

Borowski żyje w tych strasznych latach jak w „złotym wieku”: oddaje się nauce, poezji, przyjaźni, miłości. Tym wiarom, sprzeciwom i uniesieniom poświęca swe pierwsze poezje. Ale gdy w końcu roku 1942 Borowski postanowił, w ślad za Wierszami wybranymi K. K. Baczyńskiego, wydać swój debiut i drukował go na powielaczu w składziku na Skaryszewskiej, obrał na ten cel utwór odmienny - cykl poetycki *Gdziekolwiek ziemia...* Nie był to debiut efektowny: ciemnymi, rozwichrzonymi „metafizycznymi heksametrami” opiewał dziejącą się Apokalipsę. W środku cyklu znalazła się jedyna jambem napisana *Pieśń*, zakończona wyrokiem:

Nad nami - noc. Goreją gwiazdy dławiący trupi nieba fiolet. Zostanie po nas złom żelazny i głuchy, drwiący śmiech pokoleń.

Na ogół wszyscy młodzi poeci pisywali wówczas katastroficzne wiersze, po części czerpane z przedwojennej poezji, a przede wszystkim z tego, co widzieli dokoła. Ale katastrofizm Borowskiego wyróżniał się wśród nich i znacznie szerszym widzeniem „czasów pogardy” (jak epokę tę ochrzcił tytułem swej powieści Andre Malraux), i poczuciem wielkości i tragizmu rozpoczynanej pieśni, i wreszcie tonem dojrzałego męskiego stoicyzmu, który - choć nie poddaje się przeciwnościom losu - widzi całą jego potęgę i grozę. Nic dziwnego, że *Gdziekolwiek ziemia...* a zwłaszcza *Pieśń*, nie znalazły zrozumienia u większości pierwszych czytelników, a rówieśnikom ze „*Sztuki i Narodu*” wydały się utworami małej wiary.

Poezji tej nie można pojąć nie znając losów poety. Dramat epoki stał się udziałem Borowskiego, zanim rozpoczęła się wojna. Urodzony w Żytomierzu na Ukrainie, we wczesnym dzieciństwie przeżył aresztowanie i zesłanie obydwójga rodziców. Pozostał sam, pod opieką dalszej rodziny. Dzięki wymianie przez władze polskie przebywającego w łagrze na dalekiej Północy ojca, w roku 1932, mając lat dziesięć, przyjeżdża wraz z bratem do kraju; w rok później wraca matka. Rodzina osiedla się w Warszawie. W ojczyźnie nie czekało ich lekkie życie: ojciec zostaje robotnikiem w fabryce Lilpopa, matka dorabia krawiectwem. Synów oddano do internatu oo. franciszkanów. We wrześniu 1939, podczas oblężenia Warszawy, spłonęła fabryczna kamieniczka i znów zostali bez dachu nad głową. Żeby żyć i żeby się uczyć, trzeba było szybko zabrać się do pracy. Wojna i okupacja nie były więc pierwszymi wtajemniczeniami Borowskiego w dramat „czasów pogardy”; nakładały się na nie przeżycia wcześniejsze, tworząc mroczny, jedyny w swoim rodzaju krajobraz *Gdziekolwiek ziemia...*

W parę miesięcy po debiucie, w lutym 1943 roku, Borowskiego aresztowało gestapo, gdy idąc śladem narzeczonej, na nic się nie oglądając, wpadł do „kotła”. Uwięziony został na

Pawiaku. Wkrótce odtransportowano go do największego hitlerowskiego obozu koncentracyjnego, do Oświęcimia, pracującego pełną parą krematoriów. Na przedramieniu wytatuowano mu numer 119198. Po kilku miesiącach pracy na Budach i na Harmenzach, zapadł na ciężką chorobę i znalazł się w oświęcimskim szpitalu. Gdy go odratowano, przyjaciele pozostawili go w szpitalu w charakterze flegera (pielęgniara).

Niedaleko stąd, za drutami, w jeszcze potworniej szych warunkach przebywała jego narzeczona. Stara się z nią porozumiewać (te listy, odtworzone przez autora, złożą się później na opowiadanie U nas, w Auschwitzu...), dostarczać jej lekarstw. Wkrótce dobrowolnie porzuci szpital, wstąpi do komanda dachdeckerów, obozowych dekarzy, żeby widywać się ze swą dziewczyną. W obliczu zbliżającego się frontu Niemcy zaczynają likwidować Oświęcim. W sierpniu 1944 r. Borowski dostaje się do transportu; wywożą go na jeszcze prawie rok do mniejszych obozów w głębi Rzeszy, wpraw do Dautmergen koło Stuttgartu, następnie do Dachau Allach.

Reakcja Borowskiego na uwięzienie i obozową marszrutę była dość dziwna. Jakby niczego innego nie oczekiwał, jakby był na to przygotowany. W obrocie własnego życia widzi jedynie spełnienie dobrze mu znanej prawidłowości ogólnego losu. Ani w więzieniu, ani w obozie nie przestaje pisać. Na Boże Narodzenie 1943 tworzy w Oświęcimiu Księgę wigilijną, cykl kolęd lagrowych; w obozie śpiewa się jego piosenkę o miłości, która „mocniejsza jest nad śmierć”. W wierszach i w listach pisanych do narzeczonej młody poeta, student warszawskiego uniwersytetu, stara się zgłębić tajemnice obozu, skonfrontować go ze swą wiedzą o człowieku, z pięknymi mitami europejskiej kultury:

I oto, chwalcę człowieka, leżę na pryczy baraku i chwytam, jak ptaka lot, w palce legendę i mit, lecz próżno w oczy człowiecze patrzę szukając znaku. Już tylko łopata i ziemia, człowiek i zupy litr.

(Do narzeczonej)

Choć niewiele ocalało wierszy obozowych Borowskiego, nawet te nieliczne, niezwykle świadectwa układają się w pejzaż piekielny („palą się ludzkie stopy jak kupy smolnych łuczyw”), w straszliwy epos „ciała wędrującego, bitego, ciała międzygranicznego”. Na tym tle, wśród pogromu wszelkich wartości i walki po prostu o życie, ogromnym blaskiem świeci Sionce Oświęcimia, jego nie pokonana liryka miłosna.

Wyzwolenie obozu Dachau Allach przez VII Armię Amerykańską, które nastąpiło 1 maja 1945, nie od razu przyniosło Borowskiemu wolność. W obawie przed konsekwencjami nagłego uwolnienia mas ludzkich, jakie Niemcy zegnali do Rzeszy, Amerykanie utworzyli przejściowo tzw. obozy dipisów (przesiedleńców), które stopniowo rozładowywali. Borowski

znalazł się znów za drutami, w dawnych koszarach SS we Freimanie, na przedmieściu Monachium. Przypadek zdarzył, że wyszedł stamtąd stosunkowo szybko: wyreklamowano go, gdy w Monachium powstawało Biuro Poszukiwania Rodzin przy Komitecie PCK. Poszukuje wielu ludzi, przede wszystkim poszukuje swojej narzeczonej nie wiedząc, czy znajdzie ją żywą. Rozpisuje listy na wszystkie możliwe strony; wtóruje im poetyckim Wołaniem Marii. Wreszcie po paru miesiącach odnajduje ją - ciężko chorą - w Szwecji, dokąd jeszcze przed zakończeniem wojny przewieziono specjalnym transportem część kobiecego obozu Ravensbrück. Zdawało mu się, że łatwiej połączy się z nią, jeśli zostanie w Niemczech. Mimo szaleńczych starań, mimo interwencji nie okazało się to możliwe. Wyzwolona Europa nie była łaskawa nawet dla zakochanych.

Zarówno pobyt w obozie dipisów, jak roczny postój w Monachium były dla Borowskiego okresem niezwykle twórczym. Jeszcze w obozie, dzięki sławie poetyckiej, jaka mu tam towarzyszyła (nie zawsze ułatwiała mu życie!), otrzymał propozycję od współwzięnia, a przedwojennego wydawcy i świetnego grafika Anatola Girsy, wydania swych wierszy warszawskich i obozowych. Po latach Girs spełnił to przyrzeczenie. W znanej oficynie monachijskiej Bruckmanna ukazał się pięknie, po bibliofilsku wydany trzeci tom poetycki Borowskiego pt. Imiona nurtu (drugi, skromny zbiorek erotyków wydali w Warszawie przyjaciele, gdy był w Oświęcimiu). Ale przede wszystkim Borowski pisze nowe wiersze:

wiersze o wyzwoleniu i o nowym porządku europejskim, który obserwuje z niemieckiego pobojuwiska. Po tym, co przeżyła Europa, po tym, czego doświadczył na własnej skórze, spodziewa się, że winnym zostanie w majestacie prawa wymierzona sprawiedliwość, a ocalała z przygody z faszyzmem Europa przywróci swe stare tradycje wolności i demokracji. Tymczasem na nic takiego się nie zanosilo. Zbrodnie uchodziły płazem, maskowane komedią sprawiedliwości, druga wojna kończyła się oczekiwaniem trzeciej, a zwycięzcy zaprowadzali w Europie swoje porządki. Poezja Borowskiego ziele goryczą i ironią. Nieobce są jej, podobnie jak masom dipisów, nastroje zemsty i odwetu, pokusy dochodzenia sprawiedliwości na własną rękę. Borowski jakby boi się tych niebezpiecznych odruchów: pragnie swe prawa przekazać w bardziej powołane ręce i powrócić do normalnego życia. Ale nie ma ucieczki od własnej wiedzy i własnej pamięci. Przychodzą na powrót spaleni, rozstrzelani, przychodzą towarzysze lagrowi. W pięknych wierszach Umarli poeci, Odejście poety i innych, poświęconych padłym w boju kolegom jego warszawskiej młodości, rodzi się, niezależnie od sporów, jakie go kiedyś z niektórymi z nich dzieliły, jakaś wielka z nimi wszystkimi śmiertelna wspólnota, przepowiadająca także jego

własny los:

wabi trawiasta głąb, pachną podziemne łąki, dalej trzeba pod ziemię, głębiej i głębiej,  
aż do was wstąpię.

(Umarli poeci)

Wśród tych rozpamiętywań rodzi się w poezji Borowskiego poczucie winy wobec znanych i nieznanymi umarłych - że przeżył! Poczucie winy obarczającej każdego, kto był uczestnikiem tej tragedii: A któż z was żywych śmierć widział - bez winy? To poczucie winy ocalonych, i swojej własnej, kojarzy się równocześnie z „mistyczną wiarą” w moralne odrodzenie ludzkości, które za ich sprawą musi mimo wszystko nastąpić. Wobec obojętności świata, w jakim żyje, zadanie to coraz bardziej wiąże się dla Borowskiego z Ziemią rozstrzelanych, z powrotem do kraju.

Czym jesteś ty, co nocą trwożysz widmem wapiennych jam i dołów i poprzez łąd, i poprzez morze bym wrócił, groźnie za mną wołasz?

Czym jesteś? Ugór czy ruina, najuporczywsza z moich muz! Czemuż mi ciągle wypominasz spalony mur, zatechły gruz?

Czym jesteś? Oto walczę z tobą i krzyk twój duszę, i wołanie, i idę tam, ku wspólnym grobom do ciebie, ziemio rozstrzelanych.

Mimo że nie spełniło się to, na co czekał, mimo rozmaitych innych obaw, rozterek i rozdarć (co brzmi tak tragicznie w ostatnim utworze napisanym w Monachium: ani wiersz, ani proza / tylko kawał powroza...) najuporczywsza z jego muz zaprowadziła w końcu Borowskiego do ojczyzny. Po 3 latach i 3 miesiącach od chwili aresztowania, w czerwcu 1946, zamknęła się powrotem do Warszawy jego wielka wędrówka po zniewolonej Europie i zamknął zarazem jego wstrząsający pamiętnik poetycki.

Po powrocie do Polski, gdzie wreszcie połączyli się z narzeczoną i pobrali, Borowski nieoczekiwanie zarzucił poezję, nie wydawszy nawet swego nie znanego dorobku, zapowiadanej Rozmowy z przyjacielem (stosunkowo najszerszy wachlarz dochowanej poezji Borowskiego przedstawia wydany w 20-lecie jego śmierci tomik poetycki w serii „Biblioteka poetów”, Poezje, PIW). Pochłonęły go inne zamiary, które zresztą w jego poezji, tak teraz zlekceważonej, dojrzewały od dawna. Jeszcze w Monachium, za namową Girsy, trzech młodzi autorzy: Tadeusz Borowski, Krystyn Olszewski i Janusz Nel Siedlecki, napisali książkę-dokument pt. Byliśmy w Oświęcimiu. W książce tej, wydanej w Monachium w roku 1946, w całości opracowanej przez Borowskiego, zamieścił on swe pierwsze opowiadania. Do prozy nie przywiązywał większego znaczenia, lecz gdy przesłane do kraju i opublikowane w „Twórczości” opowiadania stały się głośnym wydarzeniem literackim i wywołały ogromny

skandal - poeta zrozumiał, jakie jest jego właściwe powołanie. W półtora roku później, w roku 1948, Borowski wydał swój słynny tom opowiadań *Pożegnanie z Marią*.

Ze zrozumiałych powodów literatura polska wydała więcej świadectw poświęconych czasom wojny niż jakiegokolwiek inne piśmiectwo. Zaraz po wojnie powstały liczne relacje dokumentalne, mówiące o niemieckich zbrodniach i o martyrologii ludności polskiej (najgłośniejsze *Dymy nad Birkenau* S. Szmaglewskiej). Powstały też książki psychologiczne, zastanawiające się nad fenomenem zezwierzęcenia oprawców i bohaterstwa ofiar; bezmiar cierpienia starano się często wyjaśnić w sposób mistyczny, np. w książce Z. Kossak-Szczuckiej *Z otchłani*. Pisarze wielkiej klasy (zarówno polscy, jak zagraniczni) widzieli w bezprzykładnej eksterminacji zaprzeczenie całej tradycji europejskiego humanizmu. Żadna jednak z tych różnorodnych książek, nawet najwybitniejszych, nie była w stanie sprostać pełnej prawdzie o wojnie totalnej, a zwłaszcza o jej kwintesencji - o Oświęcimiu.

Borowski nie pretendował także do powiedzenia pełnej prawdy o Oświęcimiu. Ale w swych opowiadaniach powiedział prawdę może najistotniejszą i najbardziej bolesną. Potrafił odsunąć na bok psychologię zarówno kata, jak i ofiary, potrafił wznieść się ponad cierpienia milionów i własną gehennę obozową - i spojrzeć na lagry zimnym, bezlitosnym wzrokiem.

Dla Borowskiego lagry są konsekwencją rozkwitu i triumfów III Rzeszy, nowego ładu, jaki hitlerizm usiłował narzucić podbitej Europie. Żeby zrealizować plany panowania rasy germańskiej nad światem, hitlerowski faszyzm musiał wykorzystać także pokonane narody, przymusić ofiary do współdziałania w jego zbrodniczym procederze wytępienia ich samych. Obóz nie stanowił więc ani sabatu zbrodniczych natur, ani bezsensownej hekatomby ofiar, ani zemsty za grzechy ludzkości, lecz sprawnie zorganizowany system, celowo uformowaną społeczność, służące założonym przez hitlerowców celom. Nie stanowił więc - mówiąc słowami Alberta Camusa - zwykłej zbrodni namiętności, jaką ludzkość znała od wieków, lecz stadium wyższe - zbrodni logiki, którą totalitarny system doprowadził do doskonałości, do skali niespotykanej w dziejach, do rozmiarów ludobójstwa. Obecnie, po wielu latach, mechanizm ten został zbadany dokładnie:

wiele instytutów naukowych na podstawie poszukiwań archiwalnych i badań rozmaitych dziedzin ukazało światu, jak hitlerowcy doszli do ustanowienia państwa stanu wyjątkowego, z jaką konsekwencją ów narodowy ład zaprowadzali, jak bliscy byli jego urzeczywistnienia. Tadeusz Borowski, bez pomocy archiwów i sztabów uczonych, obnażył ten system od pierwszego wejrzenia, własnym okiem, ukazując jego polityczne, ekonomiczne i socjologiczne mechanizmy.

Ale prócz walorów poznawczych, prócz przejrzania logiki hitlerowskiej zbrodni,



opowiadania Borowskiego dokonały czegoś więcej. Inaczej niż w całej prawie pozostałej literaturze sformułowały tragedię obozów. Przesunęły punkt jej ciężkości na stronę ofiar. Dla Borowskiego prawdziwa tragedia lagrów nie zawierała się w stosunku między katami i ofiarami: ci pierwsi - pozbawieni nawet względnych racji, posłuszni urzędnicy hitlerowskiej maszyny eksploatacji i zbrodni - wprawdzie zasłużyli na stryczek, lecz nie mogli awansować do równorzędnych, godnych partnerów tragedii.

Najważniejszą tragedią lagrów, do jakiej doprowadziła hitlerowska zbrodnia świadoma, zbrodnia logiki, było zgwałcenie człowieczeństwa ofiar, przymuszenie ich za cenę życia do uległości, świadome i skalkulowane poszczucie brata na brata. To wydało się Borowskiemu najbardziej szatańską, prawdziwie tragiczną stroną lagrów. Przy tym Borowski nie zajął się w swych opowiadaniach ani częstymi przypadkami obozowych załamania czy patologii, ani nierzadkimi - bohaterskich wzlotów; zajął się „przeciętną przetrwania”. Zgodnie z tym założeniem, bohaterem swych opowiadań nie uczynił ani zbrodniarza, ani świętego obozowego, lecz człowieka, który chce przetrwać - obozowego vorarbeitera, więźnia czy to pełniącego podrzędną funkcję, czy też po prostu doświadczony lagrowca, który poznał obóz, umiał się przystosować do rządzących nim praw. Przygody tego przeciętnego, bynajmniej nie złego z natury, lecz zlagrowanego człowieka są treścią istotną Dnia na Harmenzach, Proszę państwa do gazu, Śmierci powstańca...

W swej książce Borowski nie poprzestał na opowiadaniach z lagrów. Pisarz dokonał kroku następnego, jeszcze bardziej ryzykownego. W opowiadaniach spoza lagrów, z czasu okupacji (Pożegnanie z Marią) i z czasu wyzwolenia (Bitwa pod Grunwaldem), postawił sobie pytanie, co owego człowieka zlagrowanego w rzeczywistości wojennej zapowiadało i co na jego koncie pozostało, gdy wojna się skończyła. W ten sposób rozszerzył swą diagnozę upadku humanistycznych wartości, degradacji człowieka, także na sytuacje inne, na szerszy kontekst epoki.

Prowokacyjność opowiadań Borowskiego, tak bezwzględnych w ich czysto zewnętrznym, tzw. behawiorystycznym opisie, w stylistyce i języku (fachowy słownik oświęcimski, zestawiony przez pisarza w Byliśmy w Oświęcimiu, znaleźć można na końcu niniejszej książki), spotęgował jeszcze fakt, że poecie-vorarbeiterowi autor nadał własne imię. Choć, jak widać, cały cykl był przemyślnie i wysoko zorganizowaną konstrukcją literacką, Borowski-lagrowiec postąpił tak nie przypadkowo. Był to z jego strony świadomy akt moralny. Mimo że postać literacka nie miała z nim wiele wspólnego, chciał w jakiejś mierze - zgodnie z przekonaniem wyrażanym w poezji - wziąć również na siebie winę za to, co było udziałem zwykłego człowieka jego czasu. Tak rozumiał własne zadanie pisarskie, i tego w

swych artykułach żądał od innych.

Pożegnanie z Marią przyniosło na wskroś oryginalną wizję „czasów pogardy” (może najbliższe jej były Medaliony Z. Nałkowskiej) i najdalej posuniętą, choć wolną od wszelkiego kaznodziejstwa, krytykę moralistyczną epoki. Ale książka ta nie mieściła się w ówczesnych kategoriach rozumienia literatury. Wywołała szok i - niemalże same nieporozumienia. Prymitywna część krytyki - utożsamiając postać bohatera z osobą autora - uznała, iż Borowski sam się zadenuncjował jako obozowy przestępca i powinien zasiąść na ławie oskarżonych. Inna część krytyki, która wzięła za dobrą monetę fałszywą świadomość bohatera, nie dostrzegła krytycznych założeń pisarza - przyjęła tę prozę jako mimowolne świadectwo „zarażenia śmiercią”, wyzbycia się wszelkich wartości, nihilizmu. Zwłaszcza oburzano się na opowiadania z czasów okupacji i końca wojny. W momencie ukazania się książki do wyjątków należeli ci, którzy zrozumieli jej artystyczną komplikację i dostrzegli w niej rzecz najistotniejszą: własny sposób podjęcia walki ze złem epoki.

W tymże 1948 roku ukazała się następna książka Borowskiego: cykl krótkich nowel pt. Kamienny świat. Cykl ten, który autor zwał „jednym opowiadaniem złożonym z dwudziestu samodzielnych części”, stanowił uzupełnienie wizji, jaką ze specyficznego punktu widzenia nakreśliło Pożegnanie z Marią. Był także obroną własnego stanowiska, mocno wówczas atakowanego. W porównaniu z książką poprzednią Kamienny świat, zachowujący ten sam styl i stosujący go do trudnej formy, krótkiej noweli, tzw. short story, wprowadzał wyraźne nowości: rezygnował z pośrednictwa „vorarbeitiera Tadka”, odstępował do tamtejszej „przeciętnej przetrwania” na rzecz bardziej jaskrawych epizodów obozowych (Kolacja, Śmierć Schillingera), bardziej bezpośrednio czerpał z materiału autobiograficznego (Opowiadanie z prawdziwego życia, Podróż pulmanem). Borowski jakby chciał dowieść, iż Pożegnanie z Marią, które tak szokowało opinię, było zaledwie złagodzoną wersją tego, co działo się w lagrach i czego osobiście doświadczył. Połowa Kamiennego świata dotyczyła już świata wyzwolonego, lecz ściśle wiązała się z przeszłością lagrową. Powojenną codzienność Borowski konfrontuje tam z doświadczeniem obozowym lub jego następstwami, nie zawsze zresztą w sposób dość uzasadniony. Większość nowel Kamiennego świata zadedykowana została znanym współczesnym pisarzom, z których utworami czy postawami podejmowały one, w myśl intencji autora, pośrednią polemikę. Broniąc swego programu, Borowski w Kamiennym świecie uzasadniał go nowymi dodatkowymi utworami-argumentami i atakował współczesną literaturę, która - jego zdaniem - rozmijała się z najtrudniejszym i najistotniejszym spadkiem wojny.

Pracując nad Pożegnaniem z Marią i Kamiennym światem, pisarz coraz szerzej

widział swoje przedsięwzięcie. Projektował i po części realizował nowe prace, które zarówno w cyklu dużych i średnich opowiadań, jak w cyklu krótkich nowel miały wypełnić określone ramy, wzbogacić przygody intelektualne i moralne człowieka w „czasach pogardy”, dopisać do końca przeżyty rozdział moralnych dziejów człowieka.

Niestety, lata 1948/49 rozpoczynały okres mało przychylny dla pracy pisarza. Padły wówczas hasła realizmu socjalistycznego, dogmatyczne i uproszczone, żądające zarzucenia spraw wojennych, zwrotu ku współczesności i budownictwu socjalizmu, ku literaturze politycznej i dydaktycznej. Nie trafiały one do przekonania Borowskiemu; natomiast niezrozumienie, z jakim spotkały się obydwie jego książki, poważnie zachwiało jego pewnością co do obranych środków literackich i co do samej idei „rewolucji moralnej”, której miały służyć.

Borowski od dawna był zwolennikiem społecznych dążeń rewolucji, w roku 1948 wstąpił do PPR. Nowy, burzliwy etap polityczny i przeżywane przez pisarza z wątplenia rozdziwiły jakby jego uwagę. Przez czas jakiś Borowski uprawia literacką dwójpołówkę: próbuje już czegoś nowego, nie zarzucając swych dawnych poczynań - lecz niebawem opowiadaniem pt. Ofensywa styczniowa, które problematykę „czasów pogardy” przenosi z płaszczyzny moralistycznej na płaszczyznę historyczno-polityczną, zamyka ostatecznie swój wielki cykl, żeby po pewnym czasie odżegnać się od niego i stanowczo go potępić. Mimo że nie dokończony, pozostał on w literaturze najpoważniejszym dziełem tego rodzaju. „Wydaje się - pisał po latach Jarosław Iwaszkiewicz w przedmowie do Pożegnania z Marią (PIW, 1961) - że nikt poza Borowskim nie sięgnął tak głęboko w istotę hańbiącej ludzkość sprawy, nikt nie potrafił tak precyzyjnie narysować metod i skutków upodlenia człowieczeństwa. Nikt - to nie znaczy nikt u nas. Wydaje się, że nowele Borowskiego nie dadzą się porównać z żadną literaturą świata. Jest to szczytowe osiągnięcie w tego rodzaju piśmiennictwie”. Sąd ten potwierdza wzrastająca poczytność nowelistyki Borowskiego w świecie.

W roku 1949 - po trzech i pół latach nieobecności - Borowski powrócił do Niemiec. Podjął pracę referenta kulturalnego w Polskim Biurze Informacji Prasowej w Berlinie Wschodnim w czasach szalejącej „zimnej wojny”. Chce być użyteczny w dziele reedukacji narodu-winowajcy, której w myśl jego przekonań może dokonać jedynie socjalizm. Z zapałem oddaje się formowaniu ruchu kulturalnego powstałej właśnie NRD i pozostawi najlepszą pamięć w kręgu postępowych pisarzy niemieckich. Wraca stamtąd jako żarliwy zwolennik realizmu socjalistycznego. Przez ostatni rok życia oddaje się gorączkowej działalności politycznej i gwałtownej publicystyce (przede wszystkim na łamach tygodnika „Nowa Kultura”), nie przebierającej w środkach i argumentach i gubiącej się w

zacierzwieniu tego skomplikowanego czasu. Własne pisarstwo odchodzi na daleki plan: niektóre z jego ówczesnych utworów, wbrew założeniom propagowanym przez niego samego, zachowują dawny rozmach {Muzyka w Herzenburgu, Dzień plantatora) czy też usiłują zdobyć własny, nieschematyczny wyraz w nowej problematyce (Kłopoty pani Doroty). Nagła samobójcza śmierć pisarza stała się podówczas dla wszystkich zupełnym zaskoczeniem i pozostała tajemnicą do dziś. W jednym z monachijskich wierszy Borowski pisał:

świat jak labirynt spleciony potwornie gmatwa się w linie, te tłoczą się w węzeł...

(Labirynt)

Labirynt świata, znów po wojnie kamiennego, nawet pisarzowi, który przedtem tylekroć i tak genialnie umiał się przezeń przebijać, tym razem wydał się bez wyjścia, a własny w nim udział - zdradą wobec dawnych świętości.

Tadeusz Borowski należał do tych rzadkich, wyjątkowych pisarzy, dla których życie i pieśń stanowią jedno. To decydowało, że osiągnął tak dużo - płacąc za to cenę najwyższą. Tak jak krwią pisał swoje utwory, jak nie chronił siebie przed światem, podobnie w swej twórczości obalał przegrodę między jednostką i światem, żądając od siebie i od każdego odpowiedzialności za drugiego człowieka, za jego dzieje, za wspólny świat. Może dlatego te kartki z dalekiej już przeszłości są nadal żywe, wciąż wstrząsają i niepokoją...

Tadeusz Drewnowski

## MATURA NA TARGOWEJ

Całą zimę uczyłem się w małej przybudówce, którą zostawiła nam fabryka na gruzach zniszczonego podczas pierwszej bitwy o Warszawę - domu.

Przybudówka była wąska, niska i wilgotna, a przez wielkie okno, uchylające się na teren dawnych garaży, obecnie zarośnięty krzewami, wlewał się wieczorami księżyc i błyszczały światła z mostu. Uczyłem się wtedy późnym wieczorem. Płomień lampki, skonstruowanej z kałamarza (trzeba było oszczędzać nafty), chwiał się, poruszany oddechem. Wtedy olbrzymie cienie mojej głowy przesuwwały się po ścianie bezgłośnie jak na filmie. Na zbitym z desek tapczanie spał ciężko ojciec, pracujący prawie dwanaście godzin w niemieckiej fabryce, matka, duży rasowy doberman, przyplątany do nas nie wiadomo skąd podczas oblężenia. Olbrzymi, poczciwy pies kręcił się przy rodzicach, kiedy po spaleniu domu biwakowali na pustym placu pod daszkiem z papy chroniącym od deszczu, uganiał się za wronami, poszczekiwał na obcych i tak już został. Tej samej zimy Andrzej jeździł na rikszy. Riksza jest to trzykołowy wózek rowerowy. Przewozi się na nim towary i ludzi. Jak w Japonii - za pomocą nóg. Andrzej, wysoki, smukły, o czarującym spojrzeniu chłopiec, razem ze mną kończył szkołę. Kiedy ja byłem zaczytany w Platonie i polskich filozofach okresu romantycznego, on sięgał do Ibsena i Przybyszewskiego, duchowego wodza Młodej Polski, do Kasprowicza, czołowego poety tego okresu. Sam pisywał wiersze jeszcze w szkole. Teraz zaś, w gorące dni okupacyjne, pisze pamiętnik. Arkadiusz był malarzem. Świetnie znał matematykę. W dyskusjach filozoficznych cytował nie znane nam nazwiska, nazywał prądy, o których nie wiedzieliśmy nic. Był blondynem, miał przenikliwe spojrzenie artysty. Utrzymywał się z rysowania karykatur przechodniom. Narysował ich ponad dziesięć tysięcy.

Wyprowadził się od bogatego ojca, znanego krawca warszawskiego, mieszkał samotnie, uczył się w akademii malarskiej, robił jednocześnie maturę i - pił.

Julek był wychowankiem jezuitów. Pracował systematycznie nad Tomaszem z Akwinu, nad Grekami i filozofią niemiecką. Zarabiał handlem dewiz.

Wszyscy zginęli mi z oczu.

Ale zanim rozrzucił nas los, zanim ja nie pojechałem do Oświęcimia, Andrzej nie zginął w ulicznej egzekucji i pod fałszywym zresztą nazwiskiem, Arkadiusza zanim nie przykryły gruzy barykady warszawskiej - tej zimy, pierwszej zimy wojennej, kiedy na Zachodzie, na linii Maginota, trwały przyjazne potyczki patroli, a samoloty angielskie zrzucały nad Niemcami paczki ulotek, rozwiązując starannie każdą z nich, żeby (jak

żartowaliśmy) nie zabić przypadkowo Niemca - u nas, w ciemnej jak grób Warszawie, szczękały salwy plutonów egzekucyjnych, a w domach, o oknach zabitych deskami, kończyliśmy wtedy drugą licealną, przygotowywaliśmy się do matury, choć wiedzieliśmy, że wojna będzie trwała długie lata.

Uczyliśmy się w naszych prywatnych mieszkaniach, zimnych i ciasnych. Służyły nam one za klasy i za pracownie chemiczne. Niektórzy zresztą mieli bogate domy. Stąpało się tam po puszystych dywanach, oglądało się obrazy najslawniejszych mistrzów, dotykało się końcami palców grzbietów złożonych książek, a po komplecie, po lekcji matematyki, po wykładzie z literatury, ćwiczeniach fizycznych albo lekturze książki religijnej (bo i religia była wykładana przez poczciwego księdza) - co bywalsi siadali do brydża, przegrywając przy kartach zarobione nieraz na czarnej giełdzie pieniądze. Dym papierosów gęstniał w salonie, zwijał się u okna i rozpląszczał pod sufitem.

Zima, choć ciężka i ciemna, minęła niepostrzeżenie. Wprawdzie Andrzej chorował niebezpiecznie na płuca i musiał rzucić swoją riksę, wprawdzie Arkadiusz nie chciał iść do urzędu niemieckiego, aby wykupić świadectwo artystyczne, i był tropiony przez policjantów na ulicach, ale dorobek nasz był znaczny. Andrzej miał w teczce parę dobrych wierszy, ja trochę książek na zbitej z desek etażerze, które kupiłem za pieniądze ze sprzedaży piłowanego drzewa, Arkadiusz znalazł wreszcie mieszkanie i nie sypiał już po kolegach. Po tej koszarnej, trupiej zimie pozostało jeszcze wspomnienie egzekucji w Wawrze, kiedy za pijanego żołnierza niemieckiego zakłutego w bójce przez swego własnego towarzysza gestapo wyciągnęło z mieszkań i rozstrzelało na pustym, zaśnieżonym polu dwustu mężczyzn. Już zapępniały się cele Pawiaka, wstawiała się już aleja Szucha, już mieliśmy w ręku pierwsze gazetki konspiracyjne, już roznosiliśmy je sami.

Wiosną, kiedy wojska niemieckie uderzyły na Danię i Norwegię, a zaraz potem jak nóż w ciało wbiły się we Francję, w Warszawie rozpoczęto pierwsze łapanki. Ogromne budy niemieckie, samochody ciężarowe pokryte brezentem, wyjeżdżały stadami na miasto. Żandarmi i gestapowcy obstawiali ulice, wygarniali wszystkich przechodniów na auta i wieźli do Rzeszy - na roboty, a zwykle bliżej - do Oświęcimia, na Majdanek, do Oranienburga, osławionych obozów koncentracyjnych. Ilu przeżyło z dwutysięcznego transportu, który w sierpniu 1940 roku przybył do Oświęcimia? Może pięciu ludzi. Ilu przeżyło z siedemnastu tysięcy ludzi wytransportowanych z ulic warszawskich w styczniu 1943? Dwustu? Trzystu? Nie więcej!

Wtedy też, w okresie tych pierwszych niemieckich łapanek, które robiły tak absurdalne wrażenie w stolicy wielkiego państwa, zamienionej nagle w dżunglę, w okresie,

gdy Hitler fotografował się na wieży Eiffla, a olbrzymie polskie transporty więźniów szły do Oranienburga, właśnie wtedy my czterej, Andrzej, Arkadiusz, Julek i ja - my czterej zdawaliśmy maturę.

Nie my jedni. Żadne gimnazjum warszawskie nie pozostało w tyle. Wszędzie, u Batorego, u Czackiego, u Lelewela, u Mickiewicza, u Staszica, u Władysława Czwartego, w gimnazjach żeńskich: Plater, Królowej Jadwigi, Konopnickiej, Orzeszkowej, we wszystkich gimnazjach prywatnych, poczynając od tych najlepszych, jak św. Wojciecha i Zamoyskiego - wszędzie odbywały się egzaminy maturalne ostre, dokładne jak co roku, jak zawsze, odkąd nowoczesna szkoła istnieje.

Tysiącami młodzież zdawała maturę. Tysiące kończyły gimnazjum i szły do liceum. Wtedy gdy Europa leżała w gruzach, w Wielkopolsce, na Śląsku, na Pomorzu i w sercu Polski - w Warszawie, dzieci i młodzież ratowały wiarę w Europę i wiarę w dwumian Newtona, wiarę w rachunek całkowity i wiarę w wolność ludów. Kiedy Europa przegrywała swoją bitwę o Wolność, młodzież polska - i myślę, że czeska i norweska również - wygrywała swą bitwę o Wiedzę. Pamiętam, staliśmy we trzech na przystanku przy ogromnym gmachu Banku Gospodarstwa Krajowego, w Alejach Jerozolimskich. Nieustannie przez tę największą arterię przelotową stolicy przewalały się masy wojska niemieckiego, szły transporty na wschód i na zachód, czołgi, wozy pancerne, ciężarówki napęczniałe towarem. O kilka ulic dalej, na placu Trzech Krzyży, na którym stoją dziś już tylko ruiny pięknego kościoła Św. Aleksandra, łapano ludzi. Żandarmi obstawili wszystkie wyloty placu. Z warkotem motorów napchane ludźmi budy wlokły się ciężko na Pawiak.

Było to absurdalne widowisko. Nie wiem, dlaczego pobudzało do śmiechu. Niekiedy skala reagowania człowieka jest zbyt mała i gdy sięga tragicznego dna, wtedy wyzwala się w śmiechu. Wszyscy trzej byliśmy w świetnych humorach, że żyjemy, że jesteśmy w samym środku łapanki, że musimy jechać na drugą stronę Wisły, na ulicę Targową, zdawać maturę. I że tam pojedziemy, choćby się ziemia waliła.

I właśnie wtedy podeszła do nas stara, siwa pani. Zwróciła ku nam pomarszczoną twarz. W oczach jej odbijała się wyraźnie troska.

- Panowie, na mieście odbywa się łapanka na placu Trzech Krzyży - rzekła cicho. Wszyscy ostrzegali wszystkich przed łapankami, jak dawniej przed zarazą. - A czy panów nikt nie zaczepia?

- Oprócz pani, nikt - parsknął Andrzej. Wskoczyliśmy w tramwaj i pojechaliśmy na Pragę. Za mostem szła aleja, z jednej strony granicząca z polem, z drugiej z Saską Kępą, dzielnicą willową. A tam, u zamknięcia alei, rozstawiła się druga kolumna samochodów i

czekała na tramwaje, jak tygrys na szlaku antylop. Wysypaliśmy się w biegu z tramwaju jak gruszki i przemknęliśmy na ukos polem zasadzonym świeżą jarzyną. Ziemia pachniała wiosną. Kwitła na polu dziewanna i brzęczały pszczoły. A w mieście, leżącym za rzeką, jak w głębokiej dżungli odbywały się łowy na ludzi.

Kiedy przedarliśmy się do mieszkania na Targowej, w którym już czekał na nas dyrektor, przewodniczący Komisji Egzaminacyjnej, wychowawca klasowy i profesor chemii, fala łapanek dopłynęła aż pod nasze okna.

Dyrektor był milczący. Słuchał uważnie odpowiedzi. Wychowawca, wysoki, dobroduszny pan, patrzył dobrotliwie na nas i pomagał nam wzrokiem. Nigdy nie mieliśmy opinii dobrych chemików, ani Andrzej, poeta i krytyk, ani Arkadiusz, malarz i filozof, ani ja. Blade nasze odpowiedzi wywoływały chytry uśmiech na twarzy egzaminatora, którego dla jego siwej brody nazywaliśmy w szkole Koziabródka. W istocie był to bardzo ceniony naukowiec.

Jakoś tam zdaliśmy. Wtedy Koziabródka rzekł:

- No, panowie (to „panowie” zaakcentowało naszą nową dojrzałość z chemii) - nie bądźcie głupi i nie dajcie się złapać.

Wskazał dłonią za okno, za którym kłębił się tłum otoczony policjantami, i dodał, podnosząc do góry probówkę z jakimś czerwonym, okropnie złożonym płynem, którego wzór na próżno usiłował Andrzej wywieść na tablicy.

- Kiedy nie wiecie, w co wierzyć, wierzcie w chemię. Wierzcie w naukę. Przez nią wróćcie do człowieka.

Jednego tylko człowieka nie było wtedy między nami: tego płowowłosego Julka, wychowanka księży. Złapano go między Nowym Światem a Alejami i ślad po nim zaginął. Jesienią, gdy wstępowaliśmy na podziemny Uniwersytet, doniesiono nam, że Julek został wywieziony do Oranienburga, osławionego obozu pod Berlinem, i że jeszcze żyje.



## POŻEGNANIE Z MARIĄ

### I

Za stołem, za telefonem, za sześcianem biurowych ksiąg - okno i drzwi. We drzwiach dwie tafle szklane, czarne, lśniące od nocy. I jeszcze niebo, tło okna pokryte opuchłymi chmurami, które wiatr spycha w dół szyby, ku północy, poza mury spalonego domu.

Spalony dom czernieje po drugiej stronie ulicy, na wprost furki w ochronnej siatce zakończonej srebrzystym drutem kolczastym, po którym jak dźwięk po strunie ślizga się fioletowy odbłask migocącej latarni ulicznej. Na tle burzliwego nieba, na prawo od domu, omotane mlecznymi kłębamii przelotnego dymu lokomotyw, patetycznie rysuje się bezlistne drzewo, nieruchome w wicherze. Naładowane towarowe wagony mijają je i z łoskotem ciągną na front.

Maria podniosła głowę znad książki. Smuga cienia leżała na jej czole i oczach i spływała wzdłuż policzka jak przejrzysty szal. Położyła ręce na grzybku stojącym wśród pustych butelek, talerzy z nie dojedzoną sałatą, brzuchatych, karmazynowych kieliszków o granatowych podstawkach. Ostre światło, które załamywało się w granicy przedmiotów, wsiąkało jak w dywan w niebieski dym zalegający pokój, odpryskiwało od kruchych, łamliwych krawędzi szkieł i migotało we wnętrzu kieliszków jak złoty liść na wietrze - nabiegło struną w jej dłonie, a one rozświetloną, różową kopułą zamknęły się szczelnie nad nim i tylko bardziej różowe linie między palcami pulsowały prawie niedostrzegalnie. Przyémiony pokoik napełnił się poufnym mrokiem, zbiegł się ku dłoniom i zmałał jak muszla.

- Patrz, nie ma granicy między światłem i cieniem - szepnęła Maria. - Cień jak przyływ podpełza do nóg, otacza nas i zacieśnia świat tylko do nas: jesteśmy ty i ja.

Pochyliłem się ku jej wargom, ku drobnym spękaniom ukrytym w ich kącikach.

- Pulsujesz poezją jak drzewo sokiem - powiedziałem żartobliwie, otrząsając głowę z natrętnego, pijackiego szumu. - Uważaj, żeby świat ciebie nie zranił toporem.

Maria rozchyliła wargi. Między zębami drżał leciutko ciemny koniuszek języka: uśmiechała się. Kiedy mocniej zacisnęła palce wokół grzybka, błysk leżący na dnie jej oczu zmatowiał i zgasł.

- Poezja! Dla mnie to rzecz tak niepojęta jak słyszenie kształtu albo dotyk dźwięku. - Odchyliła się w zadumie na poręcz kozetki. W półcieniu czerwony obcisły sweter nabrał

purpurowej soczystości i tylko na grzbietach fałd, gdzie ślizgało się światło, lśnił karminową, puszystą barwą. - Ale tylko poezja umie wiernie pokazać człowieka. Myślę: pełnego człowieka.

Zabębniłem palcami o szkło kieliszka. Odezwał się kruchym, nietrwałym dźwiękiem.

- Nie wiem, Mario - rzekłem, wzruszywszy z powątpiewaniem ramionami. - Sądzę, iż miarą poezji, a może i religii, jest miłość człowieka do człowieka, którą one budzą. A to jest najbardziej obiektywnym sprawdzianem rzeczy.

- Miłość, oczywiście, że miłość! - powiedziała, mrużąc oczy, Maria.

Za oknem, za spalonym domem, na szerokiej, przedzielonej skwerem ulicy jeździły ze zgrzytem tramwaje. Elektryczne błyski rozświetlały fiolet nieba, jak odpryski z sinego pożaru magnezji przebijały się przez mrok, oblewały księżycowym światłem dom, ulicę i bramę, ocierając się o czarne szyby okienne, spływały po nich i bezszelestnie gasły. Chwilę po nich gasł również wysoki, cienki śpiew tramwajowych szyn.

Za drzwiami, w drugim pokoiku, puszczono znowu patefon. Zdławiona, jakby grana na grzebieniu melodia zacierała się w natarczywym szuraniu tańczących nóg i gardłowych śmiechach dziewczęcych.

- Jak widzisz, Mario, oprócz nas jest jeszcze inny świat - roześmiałem się i wstałem z kozetki. - To, widzisz, jest tak. Gdyby można było rozumieć cały świat, czuć cały świat, widzieć cały świat, tak jak się rozumie swoje myśli, czuje się swój głód, widzi się okno, bramę za oknem i chmury nad bramą, gdyby można było widzieć wszystko jednocześnie i ostatecznie, wtedy - powiedziałem z namysłem, okrążywszy kozetkę i stanąwszy pod rozgrzanym piecem między Marią a majolikowymi kaflami i workiem z kartoflami zakupionymi w jesieni na zimę - wtedy miłość byłaby nie tylko miarą, ale i ostateczną instancją wszystkich rzeczy. Niestety, zdani jesteśmy na metodę prób, na samotne, zwodnicze przeżycie. Jakże to niepełna, jakże fałszywa miara rzeczy!

Drzwi od pokoiku z patefonem otworzyły się. Chwiejąc się w takt melodii, wszedł Tomasz oparty o ramię żony. Jej lekko ciężarny, a od wielu miesięcy stateczny brzuch cieszył się nieustającym zainteresowaniem przyjaciół. Tomasz podszedł do stołu i chwiały się nad nim rozrosłym, pękającym, masywnym jak u wołu łbem.

- Źle się starasz, bo wódki nie ma - rzekł z miękkim wyrzutem, starannie zlustrowawszy naczynia, i odpłynął, popychany przez żonę, w kierunku drzwi. Patrzył w nią tępy wzrokiem jak w obraz. Mówiło się, że to zawodowo, gdyż handlował fałszywymi Corotami, Noakowskimi i Pankiewiczami. Poza tym był redaktorem syndykalistycznego dwutygodnika i uważał się za radykalnego lewicowca. Wyszli na skrzypiący śnieg. Kłęby

mroźnej pary przewinęły się po podłodze jak włochate motki białej bawełny.

W ślad za Tomaszem do kantoru majestatycznie wtoczyły się taneczne pary, pokręciły się sennie koło stołu, majolik i kartofli, starannie omijając zacieki pod oknem, i zostawiwszy czerwone ślady od świeżo pastowanej posadzki, wróciły tam, skąd wyszły. Maria poderwała się od stołu, poprawiła automatycznym ruchem włosy i powiedziała:

- Muszę już iść, Tadeusz. Kierownik prosił, żeby zaczynać wcześniej.

Syndykalistyczny - wyrażający poglądy charakterystyczne dla syndykalizmu, kierunku ruchu robotniczego negującego konieczność istnienia państwa i głoszącego program zbudowania społeczeństwa socjalistycznego, w którym kontrolę nad produkcją i podziałem dóbr sprawują związki zawodowe - syndykaty - Masz jeszcze dobrą godzinę czasu - odrzekłem. Okrągły zegar firmowy o pociętej blaszanej tarczy tykał miarowo, zawieszony na długim sznurku między na wpół rozwiniętym plakatem, rysunkiem urojonego widnokągu a węglową kompozycją przedstawiającą dziurkę od klucza, przez którą widać fragment kubistycznej sypialni.

- Wezmę Szekspira, postaram się zrobić w nocy Hamleta na wtorkowy komplet.

Przeszedłszy do drugiego pokoju, kucnęła przy książkach. Półka zbita była prymitywnie z nie heblowanych desek. Deski ugiwały się pod ciężarem książek. W powietrzu leżały błękitne i białe pasma dymu oraz unosił się ciężki zapach wódki zmieszany z odorem ludzkiego potu i wapienną wonią wilgotnych, gnijących ścian. Chwiały się na nich, jak bielizna na wietrze, jaskrawo malowane kartony i jak morskie dno przeświecały się kolorowymi liniami meduz i koralu poprzez błękitny opar. W czarnym oknie, odgradzony szybą od nocy, zaplątany w cienką koronkę firanki wyszachrowanej za psie pieniądze od złodziejki kolejowej, smętny, zapijaczony skrzypek (który uważał siebie za impotentą) na próżno usiłował jękiem instrumentu zagłuszyć charczenie patefonu. Zgarbiony jak pod workiem cementu, wydobywał ze skrzypiec z ponurą zaciętością jeden tylko pasaż. Od dwóch godzin ćwiczył się do niedzielnego koncertu poetycko-muzycznego. Występował wtedy umyty, w wizytowym garniturze w paski, miał twarz melancholijną i oczy senne, jakby czytał z powietrza nuty.

Na stole, na obrusie w czerwone kwiaty, wyszachrowanym od złodziejki kolejowej, między kieliszkami, książkami i nadgryzionymi kanapkami, leżały gołe i brudne nogi Apoloniusza. Apoloniusz huśtał się na krzeselku i odwracając się do drewnianego, pomalowanego wapnem przed pluskwami tapczana, na którym, jak duszące się ryby na piasku, leżeli półpijani ludzie, donośnym głosem mówił:

- Czy Chrystus byłby dobrym żołnierzem? Nie, raczej dezertorem. Przynajmniej

pierwsi chrześcijanie uciekali z armii. Nie chcieli się sprzeciwiać złu.

- Ja się sprzeciwiam złu - rzeki leniwie Piotr. Leżał rozwalony między dwiema rozmamłanymi dziewczynami i gmerał rękoma w ich fryzurach. - Zdejm nogi ze stołu albo je umyj.

- Umyj nogi. Polek - rzekła dziewczyna spod ściany. Miała grube, rozlane uda i czerwone, mięsiste wargi.

- Ale! chcielibyście. Uważacie, był taki szczep Wandalów, bardzo tchórzliwy - ciągnął Apoloniusz, zesunawszy piętą talerze na kupę - wszyscy ich tłukli i z Danii czy z Węgier wygnali do Hiszpanii. Tam Wandale wsiedli na okręty, pojechali do Afryki i doszli piechotą pod Kartaginę, gdzie biskupem był św. Augustyn, ten od św. Moniki.

- A wtedy święty wyjechał na osłe i nawrócił Wandalów - powiedział spod pieca młodzieniec, pyknawszy z fajki. Wydymał pulchne, różowe policzki, pokryte złocistym puszkciem jak owoc brzoskwini. Pod oczyma miał wielkie sińce. Pianista, dłuższy czas żył z pianistką o uroczych dołkach w buzi i drapieźnym, namiętym spojrzeniu. Latem ochrzciliśmy go (bo był wyznania narodowego) przy zapalonych świecach, wiechciach kwiatów i miednicy chłodnej, kaplicznej wody, którą zapobiegliwy ksiądz umył mu dokładnie głowę, a zaraz po chrzcie na najruchliwym punkcie Grójeckiej wymigiwaliśmy się od łapanki ulicznej. Pożeniliśmy ich nierychło, bo dopiero późną zimą. Rodzice odmawiali błogosławieństwa ze względu na mezalians. Wprawdzie ustąpili i użyczyli muzykom pokoju do spania i fortepianu do ćwiczeń oraz kuchni do produkcji bimbrow, ale nie zechcieli zaprosić na wesele przyjaciół, więc przyjaciele weselisko urządzili sami. Panna młoda w sztywnej niebieskiej sukni siedziała w fotelu nieruchomo, jakby połknęła kij. Była senna, zmęczona i pijana.

- Miło tu u was, bardzo miło, wiesz? - Żydóweczka, która uciekła z getta i tej nocy nie miała gdzie spać, uklękła koło Marii przy książkach i objęła ją ramieniem. - To dziwne, tak dawno nie miałam w ręku szczoteczki do zębów, kanapki, filiżanki z herbatą, książki. Wicie, to trudno nawet określić. I wciąż to uczucie, że trzeba odejść. Ja się panicznie boję!

Maria pogłaskała ją, milcząc, po ptasiej głowie ozdobionej lśniącoymi falami przylizanych włosów.

- Przecież pani była pieśniarką? Chyba niczego pani nie brakowało. - Miała na sobie żółtą sukienkę w chryzantemy, z wyzywającym dekoltem. Zza niego wychylała się zalotnie kremowa koronka koszulki. Na długim łańcuszku kołysał się między piersiami złoty krzyżyk.

- Brakowało? Nie, nie brakowało - odrzekła z błyskiem zdziwienia w załzawionych, krowich oczach. Miała szerokie, rozłożyste biodra, dobre do rodzenia. - Niech pan zrozumie,

z artystkami nawet Niemcy inaczej... - urwała i zamyśliła się, patrząc tępo w książki. - Platon, Tomasz z Akwinu, Montaigne - dotykała polakierowanym na purpurowo paznokciem obszarpanych grzbietów kupionych na wózkach i wykradzionych z antykwariatu książek.

- Tylko żeby pan widział to, co ja widziałam za murami...

- Augustyn napisał sześćdziesiąt trzy książki! Kiedy Wandalowie obiegli Kartaginę, robił właśnie korektę i przy niej umarł! - rzekł maniacko Apoloniusz. - Po Wandalach nie zostało nic, a Augustyna dzisiaj czytają. Ergo - wznosił dłoń z rozczapierzonymi palcami ku sufitowi - wojna minie, a poezja zostanie, a wraz z nią zostaną moje winiety!

Pod sufitem suszyły się na sznurkach okładki tomiku poetyckiego. Ciągnęło od nich farbą drukarską. Światło przebijało się przez czarne i czerwone płaszczyzny pakowego papieru i plątało się wśród kartek jak w gąszczu leśnym. Okładki szeleściły jak suche liście.

Żydóweczka podeszła do patefonu i zmieniła płytę.

- A ja myślę, że po aryjskiej stronie też będzie getto - powiedziała, patrząc z ukosa na Marię. - Tylko nie będzie z niego wyjścia.

- Odplynęła w tańcu, zabrana przez Piotra.

- Ona jest zdenerwowana - rzekła cicho Maria. - Jej rodzina została za murami.

Igła trafiła na pęknięcie w płycie i zawodziła monotonicznie. We drzwiach stanął zarumieniony Tomasz. Jego żona poprawiała sukienkę na lekko wypukłym brzuchu.

- „Jeszcze tylko kilka ciężkich chmur nie porozpychanych nozdrzem konia” - zadeklamował i wskazawszy ręką za okno, na bramę, krzyknął z uczuciem: - Koń, koń!

W kręgu złotawego światła znad drzwi śnieg oślepiająco biały i gładki leżał jak talerz na popielatym obrusie, dalej, w cieniu, szarzał i siniał, jakby odbijał niebo, aż dopiero przy furtce mienił się w blasku lampy ulicznej. Załadowana jak wóz z sianem platforma stała w ciemności, nieruchoma jak góra. Czerwona latarnia kołysała się pod kołami, kładąc na śnieg rozchwiane cienie, oświetlając nogi i podbrzusze konia, który wydawał się wyższy i tęższy niż zazwyczaj. Szły od niego kłęby pary, jakby oddychał skórą. Zwiesił łeb, był zmęczony.

Furman stał obok wozu i cierpliwie czekał, zabijając rękoma o pierś. Kiedy odciągnęliśmy z Tomaszem skrzydła bramy, sięgnął bez pośpiechu po bat, machnął lejcami i cmoknął. Koń poderwał łeb, szarpnął się całym ciałem na boki, ale wóz nie ruszył. Przednie koła utkwili w rynsztoku.

- Za pysk cholere i do tyłu - rzekłem ze znanstwem. - Zaraz podłożę deskę do rynsztoka.

- K'sobie - krzyknął furman napierając na dyszel. Żandarm w niebieskim płaszczu, pilnujący sąsiedniego budynku byłej szkoły miejskiej, napakowanej jak więzienie

„ochotnikami” przeznaczonymi na roboty do Prus, bijąc tępo podkutymi butami o kamienie chodnika, nadszedł od strony latarni. Przez pierś miał przewieszony reflektor na rzemieniach. Podkręcił kontakt i uprzejmie zaświecił.

- Za dużo klamotów naładowane - rzekł rzeczowo. Spod okapu hełmu, z głębokiego cienia, oczy jego błyszczały nad strugą światła ostro jak wilcze ślepia. Co dzień rano przychodził do kantoru telefonować po zmianę warty i nieodmiennie meldował, że nic ważnego w ciągu nocy nie zaszło.

Koń chrapnął, osadził się na tylnych nogach, napał ciałem do tyłu i platforma dźwignęła się po kocich łbach. Teraz koń pociągnął ku przodowi. Wóz naładowany po wierzch jak krypa walizami, tłumokami, betami, meblami i brzęczącymi naczyniami z aluminium, chwiejąc się, wjechał po deskach na podwórze. Żandarm zgasił reflektor, poprawił na sobie pasy i miarowym krokiem oddalił się w stronę szkoły. Zwykle ją mijał, dochodził do małego kościółka księży pallotynów (częściowo spalonego we wrześnie i odnawianego pieczołowicie a nieustannie w ciągu całego sezonu materiałami z naszej firmy), skręcał pod gnijącym murem schroniska dla bezrobotnych, mieszczącego się w pofabrycznych halach tuż przy torze kolejowym. Był to ruchliwy port przeładunkowy, tędy bowiem płynęły belami i pojedynczo koce, kupony materiałów, ciepłe ubrania, skarpety, konserwy, serwisy, firanki, obrusy i ręczniki oraz wszelkie inne dobro kradzione z pociągów towarowych idących na front, a także kupowane od obsługi wagonów sanitarnych, które, wracając z frontu z zegarkami, jedzeniem, rannymi, bielizną i częściami do maszyn, meblami i zbożem, zatrzymywały się często na dworcu jak przy molu portowym.

Furman trzasnął jeszcze raz dla fantazji batem, cofnął konia i podjechał tyłem pod drewnianą szopę. Koń robił bokami i dymił parą. Odprężony z szorstką czułością przez woźnicę, postać chwilę w dyszlach, jakby znużony ponad siły, wreszcie, podgoniony ostro, ruszył wolno pod kran i wetknął pysk w kubel. Wypiwszy do dna nadsiorbnął wody z drugiego i włącząc za sobą uprzęż, poszedł w stronę otwartych drzwi stajni.

- Sporo przywiozłeś, Olek - rzekłem, rozejrzawszy się w zasobach platformy.

- Wszystko kazała zabrać - rzekł woźnica. - Patrz pan, załadowałem nawet taborety z kuchni i półki z łazienki. Stara stała nade mną jak kat nad dobrą duszą.

- Nie bała się tak w biały dzień?

- Pozwolenie dla niej dostał zięć od swego kolegi - rzekł Olek.

Twarz miał kościstą, wychudłą, ściągniętą mrozem. Zrzucił czapkę. Sztywne od wapna włosy rozmierzwiły mu się nad czołem.

- A córka?

- Została z mężem. Klóciła się ze starą, że musi zostać jeszcze dzień. - Popłuł w żyłaste, wykrzywione dłonie, zżarte od cementu, wapna i gipsu. - Ano, będziem zdejmować. - Wlazł na wóz, rozplatał sznury i począł podawać jedno po drugim krzeselka, wazon, poduszki, kosze z bielizną, pudła staroświeckie, osznurowane książki.

Chwytałiśmy je z Tomaszem i na cztery ręce wnosiliśmy do zatęchłej, ciemnej szopy, układając towar na betonie między workami z na wpół skamieniałym cementem, stosem cuchnącej smoły czarnej papy a kupą suchego wapna przeznaczonego na detaliczną sprzedaż chłopom. Wapno cienkim pyłem unosiło się w powietrzu i gryzło nieznośnie nozdrza. Tomasz sapał spazmatycznie. Był chory na serce.

- Powiedz pan, po co ją kierownik wziął do siebie? - zapytał woźnica, skończywszy ładunek.

- Zrobiła go człowiekiem, to się jej wywdzięcza. - Zasunąłem drzwi szopy i zamknąłem je na kłódkę.

- Wdzięczność jest rzeczą piękną - rzekł Tomasz. Oddychał miarowo, wciągając głęboko powietrze. Chwycił w garście śnieg i mył nim dłonie. Wylał je o spodnie.

- Taa... narobiłem się dzisiaj - powiedział furman, zniżając z platformy. Nie mógł się swobodnie ruszać w twardym kozuchu, pokrytym skorupą wapna, smoły i dziegiu. Oparł się o wóz, z ulgą pociągał nosem i otarł ręką czoło. - Panie Tadku, panie Tadku, co ja tam widziałem, tobyś pan nie uwierzył. Dzieciaki, kobity... Chociaż i żydowskie, ale wiesz pan...

- Ale pan jakoś wyjechałeś szczęśliwie?

- Inżynier nas widział po drodze. Będzie co z tego?

- Ale - rzekłem lekceważąco - co nam te ciapciaki mogą zrobić? Jak kierownik chce kupić filię, to muszą z nim dobrze, nie?

Pojedziesz z rana kursem. Metr wapna na lewo. Wrócisz przed siódmą.

- Ano, trzeba rano z dom wyrzucić. Konia oporządzą. - Powlókł się w ślad za zwierzęciem do stajni. Przechodząc koło kantoru, uchylił czapki.

W złotym kręgu światła jak w aureoli, otoczona jak dłońmi siną nocą połyskującą pierścieniem gwiazd, stała Maria. Przymknęła za sobą drzwi od muzyki i ludzi i wyczekująco patrzyła w mrok. Otrzeptałem ręce z kurzu.

- A jak jutro z rozlewaniem i rozwiezieniem? - Ująłem ją pod ramię i po chrupiącym czerstwym śniegu poprowadziłem wydeptaną ścieżką do furtki. - Może poczekasz do południa? Rozwieziemy razem.

Staliśmy w otwartej furtce. Po pustej ulicy, otwartej migocącym światłem latarni, tępych krokiem spacerował żandarm w niebieskim płaszczu, pilnujący szkoły. Nad ulicą, nad

światłem latami, nad stromym dachem wtulonej w mur szopy szedł z szumem wiatr, niósł dym pociągów, gnały pierzaste obłoki, a nad wiatrem i chmurami drżało niebo głębokie jak dno ciemnego potoku. Księżyc prześwitywał przez chmury jak złoty szmat piasku.

Maria uśmiechnęła się czule.

- Wiesz dobrze, że sama rozwiozę - rzekła z wyrzutem, podając mi usta do pocałunku. Wielki czarny kapelusz ocieniał jej twarz jak skrzydłem. Była o pół głowy wyższa ode mnie. Nie lubiłem przy obcych jej pocałunków.

- Widzisz, solipsysto<sup>1</sup> poetycki, co może miłość - rzekł pogodnie Tomasz. - Bo miłość to poświęcenie. Mówię z głębi doświadczenia, bom wiele miał kochanek.

Zmierzch, który zaciera rysy człowieka, nadał mu bryłowatość i ciężar, jakby Tomasz był ociosanym z grubsza kamieniem.

Pieprzyk pod lewym okiem czerniał filuternie na monumentalnej, jakby kutej z szarego piaskowca twarzy.

- Oczywiście, że miłość! - parsknęła beztroskim śmiechem Maria i dygnawszy nam dystyngowanie, odeszła ulicą wzdłuż siatki, naprzeciw chmurom, które wiatr gnał nad naszymi głowami. Minęła sklep paskarza, gdzie nabywałem chleb i kaszanke na śniadanie, a chłop swoje dzieci zamknięte w szkole. Znikła za rogiem, nie obejrzawszy się. Patrzyłem za nią jeszcze chwilę, jakby tropiąc w powietrzu jej ślad.

- Miłość, oczywiście, że miłość! - powiedziałem, uśmiechając się do Tomasza.

- Daj furmanowi wódki, jeżeli masz gdzie pod łóżkiem - rzekł Tomasz. - Chodź, trzeba zbratać się z ludem.

## II

Nocą spadło trochę śniegu. Zanim otworzyłem oficjalnie bramę na znak rozpoczęcia dnia handlu, wyprawiwszy pijanych gości i sprzątnawszy pokój, furman, który wstał przed świtem, zdążył wyrzucić wapno z dołu i zawieźć na budowę, a wróciwszy z kursu, wyprząc konia i usunąć z placu ślady kół. Tak wczesnym rankiem na dworze było jeszcze sinawo, a na ulicy - pusto. Z torów kolejowych dochodził grzechot pociągów. Patrolujący żandarm poszarzał i zmalął w odpływającym mroku, który go zostawił na wybrzeżu wyludnionej ulicy jak zapomniany wodorost. W oknach byłej szkoły zaczynały pojawiać się głowy uwięzionych ludzi. W paskarskim sklepiku, przy składzie, grzali się przy rozżarzonemu piecyku dwaj granatowi policjanci. Mrugający po pijacku czerwonymi oczyma sklepikarz rozkładał

---

<sup>1</sup> Solipsysta - wyznający solipsyzm, pogląd filozoficzny, według którego, istnieje tylko jednostkowy podmiot poznający, a rzeczywistość jest zespołem jego wrażeń



drżącymi rękoma na ladzie za szkłem ser, kaszę i chleb. Chłopka wyciągnęła z koszyka pęta kiełbasy, które znikwały pod ladą w podwójnej ścianie. Przez zamrożone szyby sączył się szary świt. Po zardzewiałych kratkach spływały brudne krople, monotonicznie spadały na parapet i ciurkiem lały się na podłogę.

Latem, jesienią, zimą i wiosną uliczka - ślepa, wybrukowana kocimi łbami, śmierdząca zgnilizną otwartych rynsztoków, uliczka zagubiona między grząskim jak przegniły trup polem a szeregiem zmurszałych, parterowych domków mieszczących pralnię, fryzjera, mydlarnię, parę sklepików spożywczych i obskurny bar - dzień w dzień pęczniała wzbierającym, rozfalowanym tłumem, który podpływał pod betonowe mury szkoły, wyciągał twarze ku nowoczesnym oknom, ku pokrytemu czerwoną karpiówką dachowi, podnosił głowy, wymachiwał rękoma i krzyczał. Z otwartych okien szkoły wołano i dawano białymi dłońmi znaki jak z odbijającego od brzegu okrętu. Ujęty jak w groble w dwa szeregi policjantów tłum odpływał korytem ulicy, odchodził aż do placu leżącego u jej wylotu, skąd otwierała się miła oczom perspektywa na zapuszczone mielizny nad rzeką, porośnięte kępami postrzępionej wikliny i pokryte z rzadka liszajami śniegu, na most nad leżącą na migotliwym nurcie mgłą, na żółte, pastelowe domy miasta, roztapiające się w czystym, spokojnym, błękitnym niebie - kłębił się rozpaczliwie na placu i znowu powracał z krzykiem.

Paskarski sklepik był małą, zaciszną zatoką. Nad szklanką bimbru z buraków bratali się przy ladzie policjanci z chłopami i handlowali ludźmi ze szkoły. Nocą policjanci wysadzali przez okno szkoły towar, który albo natychmiast zniknął w zakamarkach ulicy, albo, kalecząc się nieludzko, przełaził przez druty kolczaste na plac naszej firmy budowlanej, gdzie wałęsał się aż do rana, gdyż kantor był oczywiście zamknięty. Zwykle były to dziewczęta. Łaziły bezradnie po podwórzu, oglądając kupy piasku, zwały gliny, sześciany cegieł, trocinówek, szpaltówek, ramsayek, zachodziły do sąsiadów z grysikiem<sup>2</sup>, którego różne odcienie i wielkości używane były na schody oraz nagrobki, i załatwiały się tam beztrudno. Obudziwszy się, wyrzucałem je bardzo altruistycznie za bramę, a korzyści z procederu oprócz policjantów (i pewnie nieprzystępnego, obcego płaskim, ludzkim sprawom żandarma) ciągnął wyłącznie sąsiad, sklepikarz. Nie odczuwał jednak ani obowiązku, ani potrzeby wdzięczności. Dzień w dzień wpadałem do niego po ćwiartkę razowego chleba, dziesięć deka kiszki i dwa deka masła. Z reguły mi nie dowoził, a cenę wydatnie zaokrąglał. Uśmiechał się wstydliwie, ale ręka drżała mu przy zgarnianiu pieniędzy.

Zresztą. On nie dolewał do pełna setki bimbru, nie dowoził deka masła, ciął chleb na

---

<sup>2</sup> Grysik - łamane, drobnoziarniste kruszywo kamienne

nierówne części i wyciskał z chłopów bezlitośnie forszę za każdą wypuszczoną na lewo dziewczynę, gdyż chciał żyć sam, miał żonę, synka w drugiej gimnazjalnej i dorastającą córkę, uczennicę kompletu licealnego, odczuwającą nęcące powaby stroju, urok chłopców, smak nauki i czar konspiracji, firma budowlana zaś sprzedawała, tak chłopom, jak inżynierom, mokry ton<sup>3</sup>, skamieniały cement, mieszała wapno z wodą, a lepik<sup>4</sup> z piaskiem, a także odbierając wagony z towarem stwierdzała, przy cichym zrozumieniu magazyniera kolejowego, poważne manko, co natychmiast wpisywało się w księgi. Dostawca urzędowy nabierał w usta wody, miał bowiem z firmą osobne rachunki, których nie księgowano nigdzie.

Firma budowlana! Ona jak dojna i cierpliwa krowa rozdawała wszystkim utrzymanie. Pracowity jej właściciel, brzuchacz opięty kraciastą kamizelką z brelokiem, patriarchalnie siwy, apoplektycznie nerwowy Inżynier z brodą w klin, na utrzymanie żony dewotki trwoniącej pieniądze na żebraków, kościoły i zakonników oraz syna erotomana ciągnął z niej wczasach wielkiego głodu (kiedy jedliśmy obierki i przydziałowy chleb z solą) grube tysiące jak mleko z wymion, rozbudował składy w centrali, wydzierzawił plac po spalonej we wrześnie firmie i założył na nim filię swojego przedsiębiorstwa, kupił dworski pojazd, cugowego konia ze strzyżonym ogonem, wynajął woźnicę, nabył za pół miliona majątek ziemski pod stolicą, wprowadził nieco zaniedbany i podupadły, ale nadający się do polowań (miał bowiem spory kawał lasu) i uprzemysłowienia (posiadał glinę), wreszcie w trzecim roku wojny rozpoczął i pomyślnie poprowadził pertraktacje ze Wschodnią Koleją Niemiecką o zakup i rozbudowę własnej boczniczy kolejowej i postawienie przy niej magazynów przeładunkowych.

Równie pomyślnie układały się losy pracowników Inżyniera. Wprowadził ustawodawstwo okupacyjne zabraniało Inżynierowi wypłacać tygodniówki ponad 73 złote, jednak Inżynier kilkunastu swoim ludziom dawał z własnej inicjatywy prawie sto złotych tygodniowo bez odtrącenia kosztów, podatków i świadczeń. W wypadkach nagłych, jak wywózka rodziny do lagru, choroba albo łapówka, nie uchylał się wcale od obowiązku. Przez trzy miesiące finansował moje studia na podziemnym uniwersytecie, stawiając mi tylko jeden warunek: abym uczył się dla Ojczyzny.

Filia urzędowała się inaczej. Furmani sprzedawali wapno na ulicy, dowożąc na budowę niepełne metry. Odrabiali prywatne kursy. Kradli z kolei. Ja z początku wynosiłem ze składu ton i kredę koszykiem i sprzedawałem je w mydlarniach okolicznych, jednakże zżywszy się z kierownikiem serdeczniej, wszedłem z nim w spółkę, podzieliłem teren pracy i uzgodniłem

---

<sup>3</sup> Ton - glina kredowa używana w produkcji farb klejowych

<sup>4</sup> Lepik - mieszanina asfaltów lub smoły używana do klejenia papy

sposób księgowania. Wiązała nas również produkcja bimbru odbywająca się moim kosztem w mieszkaniu kierownika. Oddawszy mi lwi udział z detalicznej sprzedaży, kierownik pogrążył się w szerokich interesach, wykorzystując firmę jako punkt przelotowy, a telefon składu jako niezawodny sposób komunikacyjny. Kierownik znał się na złocie i kosztownościach, sprzedawał i nabywał meble, znał adresy pośredników mieszkaniowych, a nawet sam handlował lokalami, miał stosunki ze złodziejami kolejowymi i ułatwiał im kontakty ze sklepami komisowymi, przyjaźnił się z szoferami i sprzedawcami części samochodowych, prowadził także ożywioną wymianę z gettem. Uprawiał handel z wielkim lękiem, jakby przez siłę, wbrew własnemu poczuciu prawa. Odczuwał dotkliwą nostalgię za bezpiecznymi czasami przedwojennymi. Pracował wtedy jako magazynier w przedsiębiorstwie żydowskim. Pod okiem czujnej właścicielki wyrabiał się uparcie na ludzi, kupił auto sportowe i zarabiał taksówką do trzystu złotych dziennie, odliczywszy dniówkę szofera. Wkrótce nabył pod miastem przy autostradzie jedną parcelę budowlaną, a na parę miesięcy przed wojną - drugą na bliskim przedmieściu. Rozumiał, że czyni to w zgodzie z prawem ludzkim, i żył pełnią życia, bez dokuczliwych rozterek duchowych. Z dorobku tych czasów ocalił place i walutę oraz głębokie przywiązanie do starej doktorowej.

Stara siedziała na miejscu Marii w nogach drewnianego tapczanu. Twarz miała ziemistą, zrujnowaną, pustą jak wyludnione miasto. Ubrana była w czarną jedwabną suknię, wytartą i błyszczącą na łokciach. Na szyi miała aksamitną szeroką wstążkę, a na głowie staroświecki kapelusz ozdobiony bukietem fiołków, spod którego wymykały się pasma rzadkich siwych włosów. Na kolanach trzymała starannie złożone palto z wyleniałym kołnierzem. Odziana była zbyt biednie jak na przedwojenną właścicielkę ogromnego składu towarów budowlanych, paru ciężarowych samochodów, własnej odnogi kolejowej, dziesiątków robotników i niewyczerpanego konta w bankach krajowych i szwajcarskich, zbyt biednie nawet jak na posiadaczkę platformy wszelakiego bagażu, wielu precyzyjnych maszyn do liczenia, zapobiegliwie i przezornie oddanych na przechowanie do konsulatu szwajcarskiego, nie mówiąc już o złocie i brylantach, które - według wyobrażenia ludzi ze strony aryjskiej - każdy Żyd przynosił z getta. Ubrana była biednie, siedziała skromnie w kącie. Wzrok utkwiała pod sufitem, oglądając pajęczynę na górnej półce książek. Pajęczyna się kołysała, bo pająk piął się do góry.

- Jasieńku, zatelefonują, co? - rzekła stara do kierownika po długim milczeniu.

Ze zdziwieniem poderwałem głowę znad książki o czasach i zabobonach średniowiecznych.

Mówiła chropawym szeptem, jakby tarł kamieniem o kamień. Świszczący szept

wydobywał się z gardła wraz z oddechem. Dwa masywne złote rzędy zębów błyszcząły w ustach, zdawało się, że kłapnęły, niemalże zadźwięczały. - Bo powinni dać znać, czy przyjdą. Prawda, że powinni? - Skierowała na niego wyblakłe, martwe, jakby zamarzłe oczy.

- A, to trzeba lepiej poczekać, pani doktorowo - rzekł stanowczo kierownik. Pracowicie wychuchał w oblodzonej szybie otwór i przechylając głowę, jednym okiem spoglądał z ukosa na plac, na otwartą bramę, na ulicę, która wzbierała już tłumami, bębnił palcami po ramie okiennej, czekał na klienta. - Przecież pan dyrektor obiecał telefonować. Wyjdzie pewnie dzisiaj razem z córeczką pani doktorowej.

- Jasio tylko tak mówi. A jeżeli im się nie uda, Jasieńku?

- Przeniosła znowu wzrok z sufitu na okno. Zwiędłe, pokurczone, robaczywe dłonie położyła na żółtej chustce, zacisnęła palce, jakby ją chciała zerwać z ramion, i bezwładnie opuściła na kolana.

- Co też pani doktorowa mówi! - gwizdnął niedowierzająco kierownik. Pogładził bujne, złociste, falujące włosy, odrzucając je niecierpliwym ruchem głowy. Spod mankietu popelinowej koszuli odsłonił się przy tym ruchu złoty longinus podłużny, wygięty, dopasowany do okrągłości przegubu, pamiątka po dobrych czasach w firmie na Towarowej. - Co pani doktorowa myśli! Zięc, dyrektor w szopach, może wyjść, kiedy zechce! Pozałatwia, co trzeba, portfel do kieszeni i - fiuuu! Tyle go zobaczą! Co pani się martwi, jak wyjdą? - Przynurzył się do krzesła i usiadł, wyciągając wygodnie nogi w długich oficerskich butach. - Tu trzeba myśleć, skąd kupić mieszkanie! Pani doktorowa wie, ile żądają? Pięćdziesiąt tysięcy! Dobrze, że człowiek w pierwszym roku wojny kupił sobie jakiś kąt, bo co by robił? Na sublokatorce by żył? Do kwaterunku by poszedł?

- Jasio sobie radę da! - szepnęła doktorowa i uśmiechnęła się lekko kącikami ust.

- Człowiek ma, chwałać Boga, ręce i nogi, myśli, jak gdzie może chapsnąć, i dlatego żyje! Panie Tadziku - przechylił się do mnie - pańska narzeczona wygotowała dwadzieścia pięć litrów. Oszczędna dziewczyna! Buzi dać! I węgla wypaliła o połowę mniej. Robotna, nie ma co!

- Telefonowała - bąknąłem znad książki. - Pojechała na miasto rozwozić bimber. Powinna wrócić niedługo.

Między piecem a wieszakiem było mrocznawo, ale ciepło. Rozgrzane plecy łaskotały rozkosznie. Głowa ciążyła mi i szumiała. Odbijało mi się wódką i jajkami. Książka o średniowiecznych klasztorach budziła na wpół senne marzenia o ciemnych celach, gdzie wśród zabobonów ludu, rzezi szczepów i pożarów miast dokonywała się praca ocalania ducha ludzkiego.

- Jasieńku, czy walizki są w porządku? - szepnęła stara głucho, jak z dna studni. - Bo Jasio wie, że to jedyny teraz majątek córki. Ona jest taka niezaradna. Przyzwyczała się do opieki matki.

Wygrzewając się pod piecem, zapatrzyłem się w podłogę. Koc spuszczone z tapczanu nie sięgał zapastowanych na czerwono desek. Widać było spod niego czarną przykrywkę remingtona. Wziąłem maszynę z szopy, aby nie zamokła, i wstawiłem na wszelki wypadek pod łóżko.

- Pani doktorowo, u nas wszystko musi być w porządku - kierownik zatarł z przyzwyczajenia ręce i popatrzył chwilę na mnie - w porządeczku jak w ubezpieczalni. Cóż to, pani doktorowa mnie nie zna?

- A jak oni tu mnie nie znajdują? Uliczka jest taka mała i na peryferiach - zaniepokoiła się nagle stara. - Zatelefonuję - zdecydowała i poruszyła się na tapczanie.

- Zwariowała pani doktorowa na starość? - parsknął nagle kierownik i gniewnie zmrużył serdeczne, niebieskie oczy, przykrył je prawie rzęsami koloru słomy. - Niemców na głowę sprowadzić? Dać im podsłuchać? Owszem, ale nie od nas!

Stara nastroszyła się i nadęła jak obudzona znieczucona sowa. Splotła ręce na piersiach, jakby jej było zimno. Machinalnie obracała w palcach broszkę przypiętą do sukni.

- Jakże się pani przedostała do nas? - zapytałem, aby podtrzymać rozmowę.

Drzwi kantoru trzasnęły. Klient zatupotał nogami, objając z butów śnieg. Kierownik kopnął krzesło i wyszedł do klienta. Stara podniosła na mnie puste oczy.

- Dwadzieścia siedem razy byłem w blokadzie ulic. Wie, co to blokada? Pewno nie bardzo wie? No nic - zachrypiała w przejęciu, kiwając przyjaźnie ręką. - Mieliśmy kryjówkę za szafą w takiej specjalnej niszy. Dwadzieścia osób! Małe dzieci się nauczyły, to jak żołnierze chodzili i bili kolbami o ściany i jak strzelali, to małe dzieci tylko milczały i patrzyły takimi otwartymi oczyma, wie? Czy oni zdążą wyjść?

Podszedłem do półki z książkami. Włożyłem książkę między średniowieczne. Obejrzałem się na starą.

- Dzieci? - zdziwiłem się.

- Nie, nie, nie! Tam dzieci, co dzieci! Zięć i córka czy wyjdą! On żyje w wielkiej przyjaźni z szefem. Jeszcze z uniwersytetu w Heidelberg.

- Czemu nie wyszedł z panią?

- On tam ma interesa. Jeszcze dzień, jeszcze dwa... Tam się wszystko kończy. Ciągłe

aus, aus, aus<sup>5</sup>! Pusto w domach, pierze na ulicach, a ludzi wywożą, wywożą...

Zadyszała się i zamilkła.

Zza drzwi dochodziły brzękliwe, przekomarzające się głosy. Klient i kierownik ustalili cenę dostawy drzewa z pożydowskich domów z getta otwockiego, sprzedanych przez kreishauptmana<sup>6</sup> hurtem polskiemu przedsiębiorcy. Skrzypnęły drzwi, wyszli do sklepiku przypięć transakcję. Kierownik był abstynentem, ale dawał się skusić przy szczególnie pomyślnych wydarzeniach.

- Ja bym chciała do swoich rzeczy - rzekła nagle stara. Odrzuciła palto z kolan i z pośpiechem podreptała na dwór.

Urzędniczka w kantorze uśmiechnęła się do mnie zza stołu. Drobną i suchą, umieściła się wygodnie na kozetce. Cały dzień czytała brukowe romanse. Nasłał ją Inżynier, aby pilnowała kasy.

Z jego kalkulacji wynikało, że firma daje zbyt niskie dochody. W drugim tygodniu jej urzędowania zabrakło w kasie tysiąca złotych. Kierownik pokrył niedobór z własnej kieszeni, a Inżynier stracił do urzędniczki zaufanie. Do kantoru przychodziła zresztą tylko na kilka godzin, nie zajrzała ani razu do magazynu, nie wiedziała, co to lepik, a co bitumina<sup>7</sup>, ale za to z regularnością poczty zaopatrywała mnie w konspiracyjne gazetki ozdobione godłem miecza i pługą. Zazdrościłem jej zejścia do podziemia, sam bowiem zadowalałem się półprywatnym powielaniem biuletynów, obfitą lekturą, pisywaniem wierszy i produkowaniem się na porankach poetyckich.

- Cóż z tą starą? Mebli dużo? - zagadnęła ironicznie urzędniczka. Głowę miała ustrojoną w czub wysoko spiętych, zmierzwionych niesfornie włosów.

- Każdy ratuje się, jak może.

- Przy pomocy bliźnich - zmrużyła złośliwie oczy. Była bardzo niestarannie upudrowana. Cienki nos świecił się jak wyczyszczony łojem. - Ej, panie magazynierze, jakże wiersze? Okładka wyschła?

Kierownik za rękę przyprowadził starą do kantoru. Przyszedł furman, aby się ogrzać. Kucnął przy piecu i sapiąc, wystawił do ognia spękane od wiatru i mrozu dłonie. Kozuch parował na nim i śmierdział wilgotną skórą.

- Budy na mieście - rzekł woźnica. - Byłem w Centrali. Na ulicach pusto, aż strach jechać. Mówią, że jak z Żydami skończą, to nas będą wywozić. I u nas też łapią. Koło cerkwi

---

<sup>5</sup> Aus (niem.) - z, tu: wychodzić

<sup>6</sup> Kreishauptmann (niem.) - starosta

<sup>7</sup> Bitumina - smoła węglowa 2 Per pedes (łac.) - na piechotę

i przy dworcu aż zielono od żandarmów.

- A to ładnie - prychnęła mała urzędniczka. Wstała nerwowo od stołu. Włoczyła nogami w zbyt głębokich kapcach, kręcąc z nieświadomym wdziękiem kościstymi, przebijającymi przez cienką sukienczynę biodrami. - Jakże ja wrócę do domu?

- Perpedes<sup>2</sup> - rzekłem kwaśno i włożywszy pośpiesznie kurtkę, wyszedłem z kantoru. Ostry wiatr zmieszany ze śniegiem zaciął mnie w twarz. Nad skrzynią z wapnem kiwał się rytmicznie robotnik. Przytupując z zimna nogami jak śpiący koń, mieszał gracą lasujące się wapno. Kłęby białej pary podnosiły się znad kipiącej mieszaniny i owiewały mu twarz. Lasownik pracował całą zimę bez przerwy, szykując wapno na sezon letni. Dziennie przerabiał na mrozie do dwu ton wapna suchego.

Bramę składu kierownik przymknął. Gdy łapanka obejmowała uliczkę, zamykaliśmy ją na kłódkę. Pijani policjanci oczyszczali uliczkę z resztek tłumu, który przemykał się ku polom. Niemiecki żandarm, wyższy nad tłum i jego troski, ale baczny na każdy ruch policjanta, obojętnie bił żelaznymi butami o bruk. Na placu pod ścianami domów było jeszcze gwarno i tłoczno. Pod oknami i parapetami przekupnie trzęśli kolanami, tupali nogami w słomianych chodakach i darli się ochryple nad koszykiem z bułkami, papierosami, kaszanką, paczkami, białym i razowym chlebem. Wydawało się, że to czarna ściana domu trzęsie się i krzyczy. W bramach ważono na prymitywnych wagach świeże mięso wieprzowe i przelewano pośpiesznie bimber. Na posesji leżącej na tyłach szkoły trwała jeszcze zabawa. Karuzela z jednym ogłupiałym dzieckiem na koniu kręciła się majestatycznie przy wtórze wrzaskliwej muzyki. Puste drewniane auta, rowery, łabędzie z rozczapierzonymi skrzydłami płynęły łagodnie w powietrzu, kołysząc się jak na fali. Robotnicy zakryci deskami chodzili pod karuzelą w kieracie. Przy jaskrawo pomalowanej strzelnicy i w ogrodzie zoologicznym pod namiotem (w którym - jak głosił wyblakły od śniegu plakat - miały przebywać krokodyl, wielbłąd i wilk) świeciło beznadziejnie pustką. Kilku gazeciarzy ze schroniska, z plikami gazet niemieckich pod pachą, kręciło się na przystankach niezdecydowanie. Tramwaje bez ludzi okręcały się w pętli naokoło placu i dzwoniąc łańcuchami, wlokły się wzdłuż alei. Drzewa stały ośnieżone, skrzące się w ostrym słońcu, jak wyrzezane z łamliwego kryształu. Niebo leżało pogodne, blade, wysokie. Był zwykły targowy dzień.

W głębi ulicy przestrzeń zamykały kamienne bloki domów i kępy nagich, wychudłych drzew. Za wiaduktem, chronionym kozłami hiszpańskimi<sup>8</sup>, zasiekami i tablicami na torach, otoczony kordonem żandarmów falował tłum i podpływał ku wiaduktowi. Z wnętrza tłumu

---

<sup>8</sup> Kozły hiszpańskie - drewniane krzyżaki owinięte drutem kolczastym

wynurzały się pękate, pokryte brezentem ciężarówki i mierząc kołami śnieg, ciężko ciągnęły na most. Za ostatnim wozem wybiegła z tłumu kobieta. Nie zdążyła. Samochód nabrał szybkości. Kobieta podniosła ręce rozpaczliwym gestem i byłaby upadła, gdyby nie pomocne ramię żandarma. Wepchnął ją w tłum.

„Miłość, oczywiście, że miłość” - pomyślałem ze wzruszeniem i uciekłem do składu, ponieważ plac pustoszał przed nadchodzącą łapanką.

- Telefonowała narzeczona - powiedział kierownik. Był w dobrym humorze, podśpiewywał pod rudym wąsem i zataczał nogami taneczne półkola. - Jedzie z Ochoty, ale nie może szybciej, bo wszędzie łapią. Pod wieczór będzie.

Sucha, czubata urzędniczka rzuciła na mnie krótkie, podszyte złośliwością spojrzenie.

- Pewnie zaczną z nami jak z Żydami? Pan się martwi?

- Powinna dać sobie radę - rzekłem do kierownika. Zziąbłem na kość. Pogrzebałem kociubą w piecu i dołożyłem torfu. Z otwartych drzwiczek buchnęło dymem na całą izbę. - Chyba w tym miesiącu wagonów nie dostaniemy? Pewnie zrobią szperę<sup>9</sup> wagonową?

Kierownik skrzywił się niechętnie. Przysiadł na krześle i delikatnymi jak u pianisty palcami stukał po stole.

- A co nam przyjdzie z tego, jak puszczą wagony? - rzekł z goryczą. - Inżynier boi się trzymać cement i gips, wapno ma tylko dla Niemców na roboty na Forcie Bema, to co pan chce? Żebyśmy kwitli? Grochowskie zakłady dostały trzy wagony cementu, Borowik i Srebrny ma co dusza zapragnie, a my co? Gąsiory, felcówki<sup>10</sup>, grysiki, lepiki, maty trzcinowe!

- Niech pan nie przesadza - rzekła urzędniczka. - Gdyby pogrzebali w szopach, toby to i owo...

- Pewnie, że to i owo! Bo kombinuję na własną rękę! Inaczej przyszedłby kto do składu? Owszem, sklepikarz odważników pożyczyc!

Telefon zaterkotał. Kierownik zakręcił się na krześle i chwycił słuchawkę na pół sekundy przed małą urzędniczką. Oddał mi ją z niemą gestykulacją.

- Nasz samochód - szepnąłem zasłaniając ręką tubę. - Co powiedzieć?

- Niech da pięćdziesiąt.

- Funfzig - rzekłem do tuby. - Abends?<sup>11</sup> Niech będzie wieczorem.

- Świetnie, chodźmy wobec tego coś zjeść - zatarł ręce kierownik.

Stara siedziała nieporuszona na tapczanie, jak zapędzone w kąt zwierzę. Kierownik

---

<sup>9</sup> Szpera (z niem. Sperre) - blokada

<sup>10</sup> Gąsiory, felcówki - rodzaje dachówek

<sup>11</sup> Abends (niem.) - wieczorem



zakrzętnął się po pokoju, nastawił bulion na maszynie i sprzątnął stolik.

- Jak Inżynier będzie miał mniej dochodu od nas, to raz - wyrzuci tę sikse, a dwa... no co, zdecydowałeś się pan?

- Cóż ja mam wobec pana? - rzekłem beznadziejnie. - Wszystko wpakowaliśmy w bimber. Wie pan, jak to jest; trochę książek się kupiło, trochę łachów, i tak. Papier też kosztował.

- A sprzeda pan chociaż te wiersze?

- Nie wiem, czy sprzedam. Nie pisałem na sprzedaż. To nie cegła dziurawka ani nie smoła - odparłem urażony.

- Jeżeli dobre, to powinni kupować - rzekł ugodowo kierownik, zagryzając bułkę. - Zbierzesz pan te parę tysięcy do spółki. Pan masz dobry łeb.

Stara zajadała powoli, ale z apetytem. Żółty masywny rząd zębów z lubością zanurzał się w miękiszu bułki. Wpatrywałem się w ich połysk, oceniając instynktownie wagę i wartość całej szczęki.

Trzasnęły drzwi, wszedł klient. Pallotyn z sąsiedniego kościółka miał rogowe okulary i uśmiechnął się nieśmiało. Powiadomiwszy o łapance, zamówił parę worków cementu oraz żółty grysik. Zapłacił z góry samymi złotówkami powiązаныmi w paczki.

- Niech będzie pochwalony - rzekł i nałożywszy czarny kapelusz, wyszedł, szeleszcząc sutanną.

- Na wieki wieków - odparła urzędniczka. Zakręciła piec i wytarła palce w skrawek gazety. - Jak pan myśli, co ta stara zrobi?

- Kierownik znajdzie dla niej mieszkanie. Stara ma za grubą forszę, żeby ją puścił z rąk - rzekłem półgłosem.

- Ale - prychnęła pogardliwie - więc pan nic nie wie? Kiedy kierownik wyszedł, stara telefonowała do córki. Nie mogą wyjść z getta. Już za późno. Szpera na całego.

- Stara pomartwi się trochę i przestanie.

- Bardzo być może.

Otuliła się w wytarte futro, umieściła się wygodniej na kozetce i powróciła do książki. Nie zdradzała ochoty do dalszej konwersacji.

### III

Wieczorami zostawałem w składzie sam wśród suszących się jak mokra bielizna

okładek tomu poetyckiego. Apoloniusz wyciął je z papieru w formacie in folio<sup>12</sup>, dopasowawszy do rozmiarów siatki ręcznego powielacza, który wypożyczony mi do odbijania niezmiernie cennych komunikatów radiowych i wartościowych rad (wraz z wykresami), jak prowadzić walki uliczne w większych miastach, posłużył również do druku wzniosie metafizycznych heksametrów, wyrażających mój nieprzychylny stosunek do dmącego apokaliptycznie wiatru dziejów. Okładka była dwustronnie ozdobiona czarno-białymi winietami, przy użyciu rewelacyjnie nowej techniki powielaczowej: pojedynczych kawałków matrycy białkowej, które nalepione na siatkę dawały białe plamy, sama zaś siatka - plamy czarne. Sposób był bardzo pomysłowy, ale pochłaniał zbyt wiele farby i okładki schły już tydzień - bez rezultatu. Zdjąłem je więc ostrożnie ze sznurów, obłożyłem w gruby pergamin, zapakowałem ciasno i wsadziłem pod drewniany tapczan. Spuszczony do podłogi koc zakrywał zepsute radio oczekujące na mechanika, walizeczkowy powielacz, płaski jak cygarnica, solidną maszynę do pisania remington zabraną z szopy, aby nie zmkła, oraz komplet publikacji pewnej organizacji imperialistycznej, pozostawiony w składzie na przechowanie przez przyjaciela, który miał wynosić się z domu, a nie miał siły pozbyć się kolekcjonerskich i antykwariackich zamięłowań.

Wieczorami także, nie żałując grzbietu ani kolan, szorowałem pracowicie podłogę, wycierałem stół i jako tako okno, a kiedy uznałem, że w pokoiku jest zacisznie i przytulnie jak w uchu, przykrywałem seledynowym kloszem jarzący się grzybek i zamykałem troskliwie pokój, aby nabrał ciepła. Siadywałem zazwyczaj przy piecu w kantorze. Robiłem drobiazgowo notatki bibliograficzne, którymi wypychałem specjalne pudła, zapisywałem na luźnych karteczkach głębokie sentencje i trafne aforyzmy, które znalazłem w książkach, i uczyłem się ich na pamięć. Tymczasem nadchodził zmierzch i zaprószał karty książki. Podnosiłem oczy ku drzwiom i czekałem na przyjście Marii.

Za oknem śnieg tracił błękit, mieszając się ze zmierzchem jak z szarym cementem. Wyniosła ściana spalonego domu, zrudziła jak wilgotna cegła, nabiegła czernią, nieruchomiała, jakby milkła, bezgłośny wiatr podnosił znad toru kłęby różowego dymu, rwał je na strzępy i rzucał na siniejące niebiosa jak płatki śniegu na przezroczystą wodę. Zwykle przedmioty, grząska jak zgniły melon góra piasku firmowego, kręta ścieżka, brama, trotuary, mury i domy ulicy nikły w mroku jak we wzbierającym przypiływie. Został tylko nieuchwytny szum, którym tętni najgłębsza cisza, gorący puls, którym bije ciało człowieka, i głucha tęsknota do przedmiotów i uczuć, których człowiek nigdy nie zazna.

---

<sup>12</sup> In folio (łac.) - w formie arkusza złożonego na dwie części

Na podwórzu krzatali się jeszcze ludzie. Woźnica wynosił z ciemnego wnętrza szopy pakunki, jak z worka, i ciskał je z rozmachem na platformę. Na platformie stał stary lasownik<sup>13</sup> z rozkraczonymi nogami. Chwytał ze stękaniem bagaż i ubijał go fachowo na wozie, jakby układał torby gipsu albo hydratyzowanego wapna. Z wysiłku wypchnął językiem policzek.

Kierownik stał za wozem przy starej. Uchwycił się deski przy wozie i paznokciem bezmyślnie odłupywał drzazgę.

- Ja tam nie wiem, jestem inaczej nauczony - rzekł do starej gniewnie, wydymając wargi. - Ale na mój rozum nie należało tak od razu. Gdzie tu głowa? Gdzie rozum? Po co był ten cały kłopot?

Stara przechyliła na ramię głowę w kapeluszu z kwiatkami. Na ziemistych policzkach dostała od mrozu buraczanych wypieków. Wargi jej drżały z zimna. Złote zęby błyszczały zza warg.

- Niech bardzo uważa przy pakowaniu - powiedziała ostro do lasownika. Twarz jej drgała przy każdym ciskanym pakunku, jakby to ją rzucano na platformę. - Niech Jasio wybaczy - zwróciła się do kierownika - że mu sprawiłam kłopot. Jasiowi się przecież opłaciło, prawda?

- Co tam pani doktorowa ma myśleć - rzekł kierownik, wzruszając ramionami. - Pieniądze, co je wziąłem, to dałem na mieszkanie, a tych parę ciuchów, które pani doktorowa zostawiła u mnie, to zawsze można... Ja tam się od tego nie wzbogacę.

Zgarbiona pod szarą ścianą szopy stara przebierała z zimna nogami w wytartych, przydeptanych pantofelkach, pociągała nosem i zwyczajem krótkowidzów, mrugając zaczerwienionymi powiekami, patrzyła na kierownika oczyma zażawionymi. Milczała i uśmiechała się.

- Dużo ich tam pani doktorowa obroni. I tak, i tak gienza - mówił dalej kierownik patrząc w ziemię, na szprychy koła i na błoto pod kołami. - Co, pani doktorowa nie wie, jak będzie? Zabiją, spalą, zniszczą, stratuja, i tyle. Nie lepiej żyć? Ja tam wierzę, że przyjdzie taki czas, kiedy człowiekowi pozwolą spokojnie handlować.

Potężny diesel z przyczepką wtoczył się w ulicę, plując dymem, i podjechał pod bramę. Kierownik uśmiechnął się z ulgą i pośpieszył otwierać drugą szopę, ja zaś podskoczyłem prosto przez śnieg do bramy. Traktor wpełznął się zadem na przeciwległy chodnik i jak żuk wypełznąwszy przez rynsztok na podwórze, podjechał pod rozwartą szopę.

---

<sup>13</sup> Lasownik - człowiek lasujący, czyli gaszący wodą wapno palone

Z szoferki wyskoczył kierowca w brudnym kombinezonie i niemieckiej furażerze zawadiacko osadzonej na kruczych, lśniących włosach.

- Abend. Pięćdziesiąt? - zapytał i plasnąwszy z rozmachem w ręce, wszedł, kołysząc biodrami, do szopy. Rozejrzał się z zainteresowaniem po kątach.

- O la, la! Wyprzedaliście wszystko? - rzekł, cmoknąwszy ustami. - Duży obrót, duży zysk. Ale teraz o dziesięć złotych drożej na worku. Po trzydzieści pięć?

- Ten numer nie przejdzie - rzekł kierownik, rozkładając ręce wymownym gestem.

- Trzydzieści dwa. Na rynku jest pięćdziesiąt pięć i drożej - powiedział żołnierz bez zniecierpliwienia.

- Ma on ludzi do wyładowania? - zapytał mnie kierownik.

- Trzeba brać.

- Keine Leute<sup>14</sup> - roześmiał się szeroko żołnierz. Miał zdrowe, końskie zęby i błyszczące, starannie wygolone policzki. Podszedł do przyczepki i rozsznurowawszy plandekę, zakomenderował: - Meine Herren, raus! - Proszę was bardzo - ausiaden!<sup>15</sup>

Dwaj drzemiący na workach cementu robotnicy odrzucili pałta, którymi się przykrywali, wyskoczyli przerażeni krzykiem z głębi auta i opuścili pokrywę. Jeden wytaczał torby na krawędź podłogi; drugi chwycił je rękoma, przyciskał płaski worek do piersi, niósł do magazynu i rzucał z trzaskiem na podłogę. Wyjaśniłem mu, jak należy układać cement, wiążąc worki, by sterta nie przewaliła się k'czortu.

Drzemiący w szoferce pomagier kierowcy wychylił się z okienka.

- Oni mają się pośpieszyć, Peter. Musimy zaraz dalej. Podparł się łokciami i patrzył sennie w głąb szopy. Złota damska bransoletka luźno zwisała na przegubie. Dłonie miał owłosione, twarz smagłą, czarną od zarostu.

- Prędejj, prędejj, du alte Slawe<sup>16</sup> - mrucał przez zęby. Napotkawszy moje badawcze spojrzenie, uśmiechnął się przyjaźnie.

W szopie umączony cementem robotnik (jak kto nie umie obchodzić się z towarem, to zawsze przy przenoszeniu porwie parę worków i narobi szkody) podniósł ku mnie srebrzystą, unurzaną w cemencie twarz i zapytał szeptem, udając, że wierzchem dłoni ociera oczy:

- Jest pięć worków więcej. Weźmie pan dzisiaj?

- Po dwadzieścia - mruknąłem, nie ruszając wargami. - Komm<sup>17</sup> do kantoru. Obliczymy się - rzekłem do żołnierza. Zgasił zapalną, przydeptał troskliwie podeszwę.

---

<sup>14</sup> Keine Leute (niem.) - jacy tam ludzie

<sup>15</sup> Meine Herren, raus! (...) ausiaden (niem.) - Moi panowie, wyłazić! (...) wyładowywać

<sup>16</sup> Du alte Slawe (niem.) - ty stary Słowianinie

<sup>17</sup> Komm (niem.) - chodź

Zaciągnął się z ochotą dymem. Nikły różowy blask rozjaśnił mu policzki i odbił się w oczach.

- Fünfzig sztuk? Pięćdziesiąt? - pokazał robotnikowi pięć rozczapierzonych palców.

- Ja, ja, chef,)Si liczę! Ani jednego więcej! - wykrzyknął gorliwie podawacz spod plandeki.

Furman kończył ładować wóz. Lasownik dobijał bagaż i podciągał sznury. Osznurowali platformę troskliwie jak paczkę ze szkłem. Znali się na pakowaniu. Ukryli w środku rzeczy cenniejsze, skórzane walizy i brezentowe worki z bielizną, na wierzch zaś i po bokach dali plecione kosze, stołki, klekocące naczynia. Platforma stała niecierpliwie jak arka. Stara dreptała pod szopą, trzymając ręce w mufce. Ujrzawszy przechodzącego z bliska żołnierza, przestraszyła się i skryła za drzwi magazynu.

- Przeprowadzka? - zapytał mimochodem szofer.

- Przeprowadzka, oczywiście, że przeprowadzka, a cóż by innego?

Niebo ścieśniało się, osiadało nad mrokiem bezszelestnie jak opadający ptak. Bezlistne drzewo nad torem szamotało się z wiatrem zaciekle jak człowiek, który postanowił się nie dać.

- Wy ale żyjecie spokojnie - rzekł z dobroduszną pogardą żołnierz. - A nasi walczą za wasz spokój.

Kierownik poprosił siadać. Rozmawiał przez telefon z żoną.

- Więc udał się obiad czy nie? Buraczki - nie. Weź kapustę. - Uśmiechnął się wyrozumiale. - Dzieciak? Śpi? Obudź go, już śpi dwie godziny.

- Książek przybyło, co? - rzekł żołnierz, uchyliwszy drzwi do pokoju. - O, jaki nastrój! Tylko patefon nastawić! Panienska, co, panienska? - Pokazał palcem czerwony szlafrok na wieszaku. Obejrzał obrazy Apoloniusza, żebraczkę pod chropawym murem trzymającą za rączkę dziecko z wylupiastymi oczyma oraz martwą naturę z żółtym dzbankiem. Naniósł do pokoju błota i smrodu żołnierskiego.

Kierownik wydobył z portfela paczkę starannie powiązanych banknotów i przeliczywszy modlitewnym szeptem, podał szoferowi.

- Znowu środa, następny tydzień, ja? - zapytał szofer.

- Ist gut - rzekł kierownik - ist sehr gut.<sup>18</sup> Widzi pan, panie Tadziku, gdyby człowiek miał własny skład, toby się nie krył z towarem. Przettrzymałby parę dni, zarobek pewny.

- Urzędniczka zaraz poleci do Inżyniera.

- Nie uwierzy, jak nic nie znajdzie... Odstąpimy od ręki czerniakowskim zakładom.

---

<sup>18</sup> Ist gut (...) ist sehr gut (niem.) - Dobrze, bardzo dobrze

Ale i tak Inżynier musi być dobrze z nami. Wpakował forsę w bocznice i robi bokami - powiedział chełpliwie kierownik.

- Kombinuj pan kupić tę budę. Ja, co będę miał, dołożę.

- A jak zupełnie zabronią budować?

- Teraz też zabraniają, a ludzie budują. Wyżyć to pan wyżyje z tego, co pan ma w szufladzie. Plac i szopy zostaną na po wojnie. Jak znalazł. No, widzi pan, chodźmy odprowadzić starą.

- Zapomniała maszyny u pana - powiedział kierownik. Od-czesał dłonią włosy i z pewną elegancją nałożył czapkę tramwajarską. Na ulicy udawał tramwajarza. Jeździł za darmo tramwajami i czuł się bezpieczny przed łapanką.

- Maszyna przyda się firmie.

- Ja, ist gut. - Żołnierz przeliczył pieniądze, schował je do kieszeni kombinezonu i uściskawszy nam serdecznie, ale nie wylewnie dłoń, wyszedł, chrzęszcząc butami.

Furman odjął koniowi worek z obrokiem, zapalił latarnię, podczepił ją pod wozem, zebrał w dłonie lejce, cmoknął uroczyście i platforma, oświetlona pełgającym krwawo blaskiem jak karnawałowy pojazd, ruszyła, skrzypiąc, za bramę, zanurzyła się w ulicę jak w ocienioną aleję.

Między purpurową jak spieczona usta kołdrą, ściągniętą białym sznurkiem od firanki, a pękatymi walizami, zwinięta w kłębek jak pies, siedziała, podkuliwszy pod siebie nogi, stara Żydówka, nakryta z góry blatem ukośnie przechylonego stołu, którego nogi niczym martwe kikuty sterczały ku niebu i podskakując wraz z blatem za każdym poruszeniem wozu, zdawały się mściwie mu wygrażać. Stara miała oczy zamknięte, głowę wtuliła w futrzany kołnierz, najwidoczniej drzemała. Parę obdartych dzieciaków pobiegło za platformą w nadziei, że uda się coś ukraść.

Ulica ożywała wieczorem. Na granatowym niebie złoty księżyc toczył się naprzeciw pierzastym obłokom jak krążek ananasa i metalicznym blaskiem opadał na dach ulicy, w zasłony murów, na chrzęszczący jak srebrna blacha śnieg trotuaru. Przed szkołą chodził dorodny żandarm, cały niebieski od zmroku. Panny z pralni przesuwwały się pod fioletową latarnią i znikwały w cieniu spalonego domu. Od sklepikarza wychodzili podochoceni policjanci na służbę nocną. Dzwonek w odnawianym naszym cementem i wapnem kościółku poczynał świegotać radośnie jak bawiące się dziecko, płosząc uspięne na parapecie dzwonnicy gołębice, które z łopotem skrzydeł wzbijały się nad wieżę i jak płaty chryzantem sennie osuwały się na dach.

Traktor z cementem ostrożnie wyminął doły na wapno i zatrąbiwszy na pożegnanie,

opuścił podwórze. Dostarczyłem do przyczepki i wsadziłem pieniądze w wyciągniętą rękę robotnika.

- Dziesięć było, dziesięć! - krzyknął. Plandeka zakryła się za nim.

- Oblatwiliśmy dzień - rzekł kierownik, przepasując rzemieniem tramwajarski płaszcz. Ściągnął pas rzetelnie, na siłę, gdyż lubił wydawać się szczupłym. - Zostajesz pan sam. Coś narzeczona nie przyjeżdża?

- Boję się o nią - odpowiedziałem. - Łapanka trwa cały dzień. Musieli sporo nałapać.

- Co robić - westchnął ciężko kierownik. - Narzeczona pewno nie może się dostać do pana. - Włożył do teczki kawał mięsa, które wybrał na jutrzejszy obiad.

- Czekaj pan, pójdę coś kupić na kolację. Jeść się chce po tym głupim dniu. - Wyszliśmy na ulicę, zatrzasnąwszy furtkę. Niemiecki traktor zamykał wylot ulicy, trząsał się i dymił. Przechodnie gromadzili się na chodniku i patrzyli na plac. Przy rynsztoku stała platforma z betami. Woźnica cierpliwie czekał na wolny przejazd.

Wieczór zapadał coraz głębszy. Za czarnym pasem pola, nad srebrnym nurtem rzeki, kamienny most napinał się na tle nieba jak łuk. Na drugim brzegu czarna bryła miasta zapadała w grząską ciemność. Nad nią wysokie słupy reflektorów wzbijały się rtęciowym światłem w niebo, przekreślały je i jak ramiona marionetek bezwładnie opadały wzdłuż ziemi. Świat na chwilę zwężał się do jednej ulicy tętniącej jak otwarta żyła.

Z chrzęstem, przy pełnych reflektorach, waliły jezdnią wypchane ludźmi ciężarówkami, przelewając się na wybojach. Twarze ludzi ukazywały się spod brezentu białe, jakby posypane mąką, i jak zdmuchnięte wiatrem nikły w ciemności. Motocykle, obsadzone żołnierzami w hennach, wynurzały się spod wiaduktu i trzepocząc skrzydłem cienia jak potworne motyle, znikwały z hukami za samochodami. Duszący dym spalinowych motorów słał się na jezdni. Kolumna szła w stronę mostu.

- Nałapali pod cerkwią - rzekł za mną sklepikarz. Położył mi ciężko ręce na ramionach. Biło od niego odorem wódki i śmierdziało machorką. - Żeby ich ziemia pochłonęła!

- Zabierają się do nas - rzekł ponuro policjant z paskiem zapiętym służbowo pod brodą. Zdjął czapkę i otarł czoło rękawem. Czerwona pręga, odcisnięta na łysinie przez czapkę, białała na chłodzie. - Ano, tak - dodał przez zęby.

- Ta Żydówka wyprowadza się od was? - szepnął konfidencyjnie sklepikarz. - Tak szybko?

- Wyprowadza się gdzie indziej.

- To co będzie z mieszkaniem? - zaniepokoił się sklepikarz. Nachylił się do ucha. - Ja

już z ludźmi gadałem. Pan kierownik miał dzisiaj dać zadatek.

- To szukaj pan kierownika - powiedziałem niecierpliwie i otrząsnąłem jego łapy.

- Przepraszam - szepnął sklepikarz. Światło reflektora przejechało po jego twarzy. Zamrugał powiekami, opędzając się od blasku. Reflektor oświetlił wnętrze ulicy, twarz sklepikarza oblekła się w mrok.

- Ona wraca do getta. Ma tam córkę, która nie może się wydostać.

- No pewno - rzekł z przekonaniem sklepikarz. - Przynajmniej umrze z nią jak człowiek... - westchnął ciężko i zapatrzył się w ulicę.

Na zakręcie alei powstał zator. Kolumna zatrzymała się, samochody zbliżyły się do siebie. Padły gardłowe nawoływania. Motocykle wytoczyły się z za aut i oświetliły reflektorami jezdnię, tramwaje, trotuar i tłum. Reflektory prześliznęły się po twarzach ludzkich jak po zbiegających kościach; zajrzały w czarne, ślepe okna mieszkań; ogarnęły jarzącą się zielonymi lampionami, zatrzymaną w pół taktu karuzelę z chwiejącymi się na linach pstrokatymi końmi na biegunach, łabędziami o łagodnie wygiętych szyjach, drewnianymi autami, rowerami; pomacały głęb placu końskiego; otarły się o namiot ogrodu zoologicznego z krokodylem, wilkiem i wielbłądem, zbadały wnętrze tramwajów stojących ze zgaszonymi światłami, zawahały się na lewo i na prawo jak głowa rozdrażnionego węża, powróciły do ludzi, oślepiły jeszcze raz oczy i skierowały się na auta.

Twarz Marii otoczona szerokim rondem czarnego kapelusza była biała jak wapno. Trupioblade, kredowe dłonie podniosła spazmatycznie ku piersiom jak w geście pożegnania. Stała w aucie, wciśnięta w tłum tuż przy żandarmie. Patrzyła z natężeniem w moją twarz jak ślepa, prosto w reflektor. Poruszała wargami, jakby chciała zawołać. Zachwiała się, omal nie upadła. Samochód zatrząsł się, zawarczał i nagle szarpnął. Nie wiedziałem zupełnie, co robić.

Jak się później dowiedziałem, Marię, jako aryjsko-semickiego mischlinga<sup>19</sup>, wywieziono wraz z transportem żydowskim do osławionego obozu nad morzem, zagazowano w komorze krematoryjnej, a ciało jej zapewne przerobiono na mydło.

---

<sup>19</sup> Mischling (niem.) - mieszaniec



## CHŁOPIEC Z BIBLIĄ

Dozorca otworzył drzwi. Do celi wszedł chłopiec i zatrzymał się u progu. Drzwi zatrzęsły się za nim.

- Za co ciebie zamknęli? - zapytał Kowalski, zecer z Bednarskiej.

- Za nic - odpowiedział chłopiec i przeciągnął dłonią po ostrzyżonej głowie. Ubrany był w wytarty czarny garniturek uczniowski. Przez ramię miał przewieszane palto z barankowym kołnierzem.

- Za co go mogli zamknąć? - rzekł Kozera, przemytnik z Małkini. - Przecież to jeszcze szczeniak. I Żyd pewnie?

- Nie mówilibyście takich rzeczy. Kozera - odezwał się spod ściany Szrajer, urzędnik z Mokotowskiej. - Wcale chłopak na to nie wygląda.

- Nie gadajcie, pomyśli, że sami bandyci tu siedzą - rzekł zecer Kowalski. - Siadaj, chłopiec, na sienniku. Nie ma co myśleć.

- Niech nie siada, bo to miejsce Mławskiego. Może zaraz wrócić z badania - rzekł Szrajer z Mokotowskiej, u którego znaleźli gazetki.

- Cóżecie, stary, zwariowali do reszty? - zdziwił się zecer Kowalski. Posunął się, robiąc chłopcu miejsce. Chłopiec usiadł i położył palto na kolanach.

- Co się patrzysz? Piwnica, i tyle. Nie widziałeś nigdy? - zapytał Matula, który, udając gestapowca, chodził w długich butach i skórzanej kurtce po chłopach i rekwirował świnię.

- Nie widziałem nigdy - odburknął chłopiec. Cella była mała i niska. Na ścianach piwnicy błyszczała w mroku wilgoć. Brudne, wypaczone drzwi pokryte były datami i imionami wyrżniętymi scyzorykiem. Koło drzwi stał kubeł. Pod ścianą na betonowej podłodze leżały dwa sienniki. Ludzie siedzieli skuleni, dotykając się kolanami.

- Przyjrzyj się, ale dobrze - roześmiał się Matula. - Byle gdzie tego nie zobaczysz. - Poprawił się na sienniku. - Ciągniesz jeszcze?

- zapytał.

- Ciągnę. - Dobrałem kartę. - Sobie. Wziął trzy karty. Popatrzył w nie.

- Było nie było. Dosyć.

- Dwadzieścia. - Wyłożyłem karty.

- Przegrałem - rzekł Matula. Strzepnął kurz z kolana. Jego bryczesy zachowały jeszcze kanty. - Pajdka twoja. Ale karty są i tak znaczne.

Na korytarzu trzaskały wyłączniki. Pod sufitem zapaliło się mdłe światło. W okienku

pod sufitem tkwił granatowy kawałek nieba i fragment dachu od kuchni. Kraty w otworze były zupełnie czarne.

- Jak się nazywasz, chłopcze? - zapytał urzędnik Szrajser. Oprócz gazetek wyszperali u niego jeszcze jakieś pokwitowania ze zbieranych pieniędzy na organizację. Przez cały dzień nie ruszał się z siennika i bezustannie żuł sztuczną szczękę. Z głodu uszy odstawały mu coraz bardziej.

- A tam, jak się nazywam - rzekł chłopiec z lekceważeniem.

- Mój ojciec jest dyrektorem banku.

- To ty w takim razie jesteś synem dyrektora banku - powiedział, odwracając się do niego.

Chłopiec siedział pochylony nad książką. Trzymał ją blisko oczu. Palto miał porządnie złożone na kolanach.

- Aha, książka. Co to za książka?

- Biblia - rzekł chłopiec, nie podnosząc oczu znad książki.

- Biblia? Myślisz, że ci tu pomoże? Cholerę w bok pomoże - odezwał się przemytnik Kozera spod drzwi. Chodził szerokimi krokami od ściany do ściany, dwa kroki w przód, dwa w tył, obrót w miejscu. - Tak i tak w czapę.

- Jak kogo - rzekłem, biorąc znów karty od Matuli. - Oczko.

- Ciekawe, kogo dziś wywołają z naszej celi? - rzekł Szrajser z Mokotowskiej. Wciąż oczekiwał, że go rozstrzelają.

- Znowu? - rzekł wrogo zecer Kowalski.

- Dawaj jeszcze raz - rzekł gestapowiec Matula. Zaciął mu się rewolwer przy ostatniej rekwizycji. - Ryzyka, fizyka, a żyć trzeba.

Karty były zrobione z tekturowego pudełka po paczce. Figury narysowali chemicznym ołówkiem ci, co tu byli przed nami. Każda karta była znaczna.

- Nic mu nie będzie - rzekłem, tasując. - Posiedzi, tata forszę wybuli, mamusia uśmiechnie się do kogo trzeba, i chłopaka puszcza.

- Ja nie mam matki - rzekł chłopiec z Biblią. Przybliżył książkę jeszcze bardziej do oczu.

- Tak, tak - rzekł zecer Kowalski i ciężko położył rękę na głowie chłopca. - Kto wie, czy my jutro będziemy jeszcze żyli?

- Znowu? - odezwał się urzędnik Szrajser z Mokotowskiej.

- Nic się nie martw - rzekłem do chłopca. - Grunt, aby się po tobie nie martwili. To najgorzej. Kiedy ciebie aresztowali?

- Mnie nie aresztowali - odrzekł chłopiec.
- Nie byłeś w Polizcie - zapytał zdziwiony Kozera, przemytnik z Małkini.
- Nie byłem - odpowiedział chłopiec. Złożył starannie książkę i schował ją do kieszeni palta. - Zostałem złapany na ulicy.
- Była łapanka dzisiaj? Na jakiej ulicy? - spytał niespokojnie urzędnik Szrajer, u którego znaleźli gazetki i pokwitowania. Miał dwie córki, które chodziły na gimnazjalne komplety. Miał nadzieję, że dostanie z domu paczkę żywnościową.
- To coś nie tak - rzekł zecer Kowalski. - Gdyby była łapanka, toby przywieźli całą kupę ludzi, a nie tylko jego jednego. Coś by się i tu słyszało.
- Albo zobaczysz bramę z tej dziury? - powiedziałem, kiwając głową w stronę okna pod sufitem. - Masz tylko dach kuchni i kawałek warsztatu.
- Pokazałem gestapowcowi Matuli karty:
- Dziewiętnaście.
- Jak stąd - rzekł Kozera, przemytnik z Małkini. Wiózł słoninę do Guberni i został złapany w klasycznym miejscu, na granicy. Stał pod drzwiami i patrzył w okno. - Od drzwi widać więcej. Pod kuchnią chodzi wachman<sup>20</sup> z psem. Wyładowują kartofle na jutro.
- Znowu fura - rzekł Matula, rzucając karty na siennik. - Nie mam szczęścia. Pewno przyjdą po mnie. Bo po co by mnie tutaj przynosili. Tylko na czapę, no nie?
- Myślałeś, że na wolność? - odezwał się przemytnik Kozera. Chodził wielkimi krokami od sienników do drzwi i z powrotem.
- Ano - rzekł z westchnieniem Matula. - Może się odegram. Jak nie, to jutrzejsza pajdka twoja.
- Począł przekładać karty, zrobione z tekturowego pudełka po paczce.
- Jeśli dziś przyjdą po ciebie, to co mi jutro po twojej pajdce?
- Wyciągnąłem rękę. - Dawaj karty.
- Mnie złapał policjant na ulicy Koziej - rzekł chłopiec.
- Granatowy? Mnie też - powiedział przemytnik Kozera.
- Zwyczajny policjant. I przyprowadził mnie tutaj.
- Prosto do bramy? Przez getto? Nieprawda - rzekł Szrajer, urzędnik z Mokotowskiej.
- Przywiózł dorożką. Mówił, że jest bardzo późno, boby mnie zawiózł na Polizei. A tak dostawił mnie do bramy - powiedział chłopiec i uśmiechnął się do wszystkich.
- Miał poczucie humoru - rzekłem do chłopca. - Pewnie pisałeś farbą na murze?

---

<sup>20</sup> Wachman (z niem. Wachmann) - wartownik

- Kredą - odpowiedział chłopiec.

- Trzeba ci było malować? - rzekł Kowalski, zecer z Bednarskiej. - Dozorca domu będzie miał przez ciebie robotę. Żebym był tak twoim ojcem. - Poglaskał chłopca po ostrzyżonej do skóry głowie.

- Kowalski, a po coś ty gazetkę drukował na Bednarskiej? - zapytał przemytnik Kozera. Chodził szerokimi krokami od ściany do ściany.

- Nie drukowałem żadnej gazetki. Poszedłem kupić otomanę.

- Akurat w podziemnej drukarni, co? - Fura. - Podałem karty gestapowcowi Matuli. - „Pasowałeś do niej jak francuski dukat do dłoni ulicznicy”. To Szekspir, zecerze Kowalski.

- Jeszcze raz, to się odegram - rzekł Matula i począł tasować karty.

- Wystarczy. Dwie pajdki moje. - Odsunąłem karty.

- Wpadłem tak samo niewinnie jak ty - rzekł Kowalski, zecer z Bednarskiej.

- Wiesz dobrze, że ja tylko poszedłem szukać narzeczonej, bo dwa dni nie wracała do domu.

- Do rusznikarzy, co? - zaśmiał się zecer Kowalski. Przechyliłem się w stronę chłopca i dotknąłem go ręką.

- Dasz mi potem poczytać? Chłopiec potrząsnął przecząco głową.

- A zresztą skąd ja mogłem wiedzieć? - rzekł zecer Kowalski. - Ogłoszenie było przecież na słupie.

Zamilkliśmy. Pod sufitem paliło się mdłe światło. Siedzieliśmy na dwu porwanych siennikach. W kącie pod oknem siedział z głową na kolanach urzędnik Szrajjer z Mokotowskiej, którego dwie córki chodziły na tajne komplety gimnazjalne. Uszy odstawały mu coraz bardziej. Gestapowiec Matula, który chodził na rekwizycje, siedział plecami do drzwi i zasłaniał rozłożone na sienniku karty. Na drugim sienniku siedział Kowalski, zecer z Bednarskiej, który w podziemnej drukarni kupował otomanę. Obok niego siedział chłopiec, który pisał kredą na murach i czytał Biblię. Kozera, przemytnik z Małkini, chodził od sienników do drzwi i z powrotem.

Drzwi były czarne i niskie, pełne wydrapanych imion i dat. Za czarnymi kratami wybitego okna błyszczał rudy fragment dachu kuchni i jaśniało fioletowe niebo. Niżej był mur. Na murze wznosiły się wieżyczki z karabinami maszynowymi.

Dalej za murem leżały bezludne domy getta o pustych oknach, w których unosiło się pierze z rozdartych poduszek i pierzyn.

Urzędnik Szrajjer podniósł głowę znad kolan i patrzył na chłopca z Biblią.

Chłopiec czytał znowu, trzymając książkę blisko oczu. Na korytarzu rozległy się

kroki. Żelazne płyty pokrywające podłogę dźwięczały. Drzwi od cel poczynały szczekać.

- Nareszcie przyjechali - rzekł zecer Kowalski, który nasłuchiwał razem ze Szrajerem.

- Ciekawym, ilu nowych.

- Tego towaru nigdy nie zabraknie. Nie trzeba szmuglować. Sam przyjdzie - rzekł Kozera, przemysłowiec z Małkini.

- Chociaż taka korzyść, że powiedzą, co słyhać na świecie - rzekł Matula, który chodził na rekwizycje i czekał na wykonanie wyroku śmierci.

- Byliście na tym świecie jeszcze dwa tygodnie temu - rzekł urzędnik Szrajer. - Dużoście wiedzieli, co słyhać?

- Ale nie wiem, czy za dwa tygodnie będę jeszcze na świecie - odrzekł Matula.

- To co ciebie może obchodzić, co słyhać? I tak w czapę, i tak w czapę, no nie? - rzekł Kozera.

- A jakby wojna skończyła się niedługo, to może nie dadzą w czapę?

- Polski sąd też by ciebie rozwalił za rabunek - rzekł zecer Kowalski.

- A tobie da Krzyż Zasługi za to, żeś kupował otomanę. Drzwi celi otwarły się znowu.

Wszedł Mławski, który jeździł na badanie. Drzwi zatrzasnęły się za nim.

- Jak tam, chłopaki? - zapytał. - Miałem dzisiaj pietra. Myślałem, że zostanę na noc. Przyjechali drugim samochodem.

- Drzewa pewnie już kwitną, co? Ludzie chodzą po ulicach, jakby nic? Prawda? - zapytałem, obracając w rękę karty.

- Nie widziałeś sam, jak jechałeś? Ludzie żyją, żyją.

- Masz tutaj zupę. - Zecer Kowalski podał mu miskę z kolacją.

- Obiadową ci zjedli.

- Dali grochówki z chlebem na obiad. Nieźle dają zjeść.

- Za to grzeją luksusowo - rzekł Mławski. Stał przy sienniku i krajał łyżką zupę, która zsiadła się jak galareta.

- Jak ci poszło? Możesz siedzieć?

- Co tam dostałem! Jakby nic. Tylko w tramwaju. Mieliśmy znajomego referenta. Robił interesy z ojcem w Radomiu. Wiesz, jak to jest, nie? - bez pośpiechu zagarniał zupę łyżkami. - Lubię ten żurek. Czasami ma dobry smak, chociaż zimny. Jak w domu. Kartofli dziś sporo.

- Powiedziałem kalifaktorowi<sup>21</sup>, że to dla ciebie. Zaczepnął z samego dna -

---

<sup>21</sup> Kalifaktor - porządkowy

odpowiedziałem.

- A co powiedział referent? - zapytał urzędnik Szrajera, u którego znaleźli gazetkę i pokwitowania.

- Nic nie powiedział - odrzekł opryskliwie Mławski. Odstawił miskę pod kubek i zdjął palto. - Dostałem po pysku za twoje palto. Szkło wypadło spod podszewki. Różnić się będziesz czy co?

- Na wszelki wypadek - odrzekłem i podłożyłem palto pod plecy. Pożyczył je ode mnie na badanie, bo bał się, że mu na Polizei odbiorą jego skórzaną, prawie nową kurtkę. Mławski usiadł koło mnie.

- Wiesz - rzekł szeptem - zaproponował ojcu, żeby ojciec został konfidentem. Jak myślisz?

- Jak ojciec myśli? - zapytałem.

- Ojciec się zgodził. Co miał robić, powiedz? Wzruszyłem ramionami. Mławski odwrócił się do chłopca z Biblią.

- Nowy, co? Ja ciebie widziałem chyba na Polizei, nie? Nie siedziałeś ze mną razem w tramwaju?

- Nie - odrzekł chłopiec znad Biblii. - Nie siedziałem w żadnym tramwaju.

- On mówi, że złapał go na ulicy granatowy glina i dorożką przywiózł do więzienia - rzekł do Mławskiego Kozera spod drzwi.

- Założyłbym się, że ciebie widziałem na Polizei - rzekł Mławski do chłopca - ale jak mówisz, że cię policjant złapał... Dziwne, ale może być.

Milczeliśmy. Pomiędzy niebem i czarnymi kratami leżał wiosenny wieczór, oświetlony z dołu latarniami więzienia. Szrajera siedział z twarzą w dłoniach, pomiędzy których sterczały coraz bardziej odstające z głodu uszy. Kozera chodził od drzwi do sienników i z powrotem. Chłopiec czytał Biblię.

- Zagrasz w oczko? - zapytał mnie Matula. - Człowiek siedzi jak pień. Może się odegram?

- Dajcie spokój z graniem - rzekł Szrajera, nie podnosząc twarzy. - Rodzoną matkę byście przegrali. Tu człowiek... - umilkł. Ruszał sztuczną szczęką.

- Odezwał się. Inteligent od gazetki - rzekł Matula. - Zagrasz?

- Stawajcie lepiej do apelu. Kalifaktor już się drze - rzekł Kowalski, zecer z Bednarskiej.

Wstaliśmy z sienników. Ustawiliśmy się w szeregu, twarzą do drzwi.

- Dziś ma służbę Ukrainiec. Ale może będzie spokojnie - mruknąłem do Mławskiego.

Kiwnął głową.

Otwarto drzwi naszej celi. W drzwiach stanął gruby, niski esman o czerwonej kwadratowej twarzy i rzadkich jasnych włosach. Usta miał mocno zaciśnięte. Na krzywych nogach miał świecące długie buty. Za pasem nosił siódmkę. W ręku trzymał pejcz. Za nim stał wysoki Ukrainiec z kluczami. Czarną furażerkę miał zawadiacko zsuniętą na ucho. Koło niego stali kalifaktor i Szrajber<sup>22</sup>, mały zasuszony Żyd, adwokat z getta. Szrajber trzymał w ręku papiery.

Szrajber z Mokotowskiej wymamrotał po niemiecku kilka wyuczonych słów. Cela taka a taka, obłożona tyłoma a tyłoma więźniami. Wszyscy obecni.

Czerwony wachman policzył starannie palcem.

- Ja - rzekł. - Stimmt<sup>23</sup>. Szrajber, kto stąd? Szrajber podniósł papiery do oczu.

- Benedykt Matula - odczytał i popatrzył po nas.

- O rany boskie, chłopcy, dadzą w czapę! - szepnął głośno Matula, który przebrany za gestapowca chodził na rekwizycje.

- Los, wychodź, raus<sup>24</sup> - krzyknął wachman i chwyciwszy go jedną ręką za hals<sup>25</sup>, wyrzucił przez drzwi na korytarz. Drzwi otwarły się na całą szerokość.

Dalej na korytarzu stali wachmani w pełnym uzbrojeniu. Hełmy świeciły się ponuro w nikłym świetle żarówki. Za pasem mieli wetknięte granaty.

Wachman obrócił się do szrajbera.

- Wszystko? Idziemy?

- Nie, nie wszystko - rzekł szrajber, Żyd, adwokat z getta.

- Jeszcze jeden. Namokel. Zbigniew Namokel.

- Jestem - rzekł chłopiec z Biblią.

Podszedł do siennika i wziął palto. Od drzwi odwrócił się do nas. Ale nie rzekł nic. Wyszedł na korytarz. Drzwi celi zatrzasnęły się za nim.

- I już po apelu! Jeden dzień więcej! Dwoje ludzi mniej! Dawaj następny dzień! - krzyknął Kozera, przemytnik z Małkini.

- Dużo nam ich jeszcze zostało? - rzekł bezbarwnie Kowalski.

- Był chłopak, nie ma chłopaka. Rozkraczył się nad paraszką<sup>26</sup>!

- Lać, chłopcy, bo rozkładamy sienniki. Żeby nikt potem po głowach nie deptał. Jazda,

---

<sup>22</sup> Szrajber (z niem. Schreiber) - pisarz, kancelista

<sup>23</sup> Stimmt (niem.) - zgadza się

<sup>24</sup> Los (...) raus (niem.) - dalejże, (...) wylazić

<sup>25</sup> Hals (niem.) - szyja, tu: za kark

<sup>26</sup> Paraszka (z roś. parasza) - w grypszerze kubel na nieczystości w celi

ścielić, póki jest światło. Poczuliśmy rozkładać sienniki.

- Szkoda, że Biblii nie zostawił - rzekłem do Mławskiego.

- Byłoby co czytać.

- Na nic mu już Biblia. Ale ja go widziałem dziś na Polizei, przysięgam - rzekł Mławski. - Co on mógł zrobić, taki mały? I czemu kłamał, że go na ulicy policjant złapał?

- Wyglądał na Żyda, to i pewnie był Żyd - rzekł Szrajner spod okna. Położył się już na sienniku i postępując, otulał paltem nogi. Sepłenił, bo wyjął sztuczne zęby z ust. Zawinał je w kawałek papieru z paczki i włożył do kieszeni.

- Tylko po co była jemu Biblia w takim razie?

- Pewnie był Żyd. Nie wzięliby inaczej na rozwałkę - rzekł Kowalski, kładąc się na boku przy Kozera. - Chociaż Matulę też wzięli.

- Kryminalista, cholera, rekwizytor, nocą z rewolwerem po kweście chodził - rzekł Kozera. - Należało mu się już dawno.

Położyliśmy się z Mławskim. Nogi okryliśmy jego kurtką skórzaną, resztę ciała moim paltem. Wtuliłem głowę w miękki futrzany kołnierz. Szło od niego przyjemne ciepło.

Od wybitego okna wiało wilgotnym chłodem. Niebo poczerniało już zupełnie. Przestrzeń między niebem a oknem, leżącym na poziomie ziemi, wypełniona była złotawym światłem. Paliły się wszystkie więzienne lampy. Przez blask ich przeświecały nikle, mrugające gwiazdy.

- Pięknie jest, bracie, na świecie, tylko że nas na nim nie ma - rzekłem półgłosem do Mławskiego. Leżeliśmy tuż przy sobie, żeby było cieplej.

- Ciekawym - szepnął do mnie - czy mego ojca wzięli? Odwróciłem się do niego i spojrzałem mu w twarz.

- Wyszło dziś na jaw, że jest Żydem - rzekł Mławski. - Ten referent go poznał. Robili razem interesy w getcie w Radomiu.

- Toby ciebie też ruszyli - odrzekłem szeptem.

- Mnie na razie nie, bo jestem mieszańcem. Moja matka była Polką.

- Ale jak ojciec ma być konfidentem? Nie powinni wziąć.

- Daj Boże, żeby nim został. To by było dobrze.

- Stulcie pyski po nocy - rzekł Kozera, podnosząc się z siennika. - Chcecie mieć sport przed snem?

Umilkliśmy i zaczęliśmy drzemać. Gdzieś z niedaleka padł głuchy, tępy strzał. Potem drugi. Podnieśliśmy się wszyscy na siennikach.

- Widać nie wywieźli ich do lasu. Rozwalają gdzieś tu, pod więzieniem - rzekłem



półgłosem i począłem liczyć: - Czternaście, piętnaście, szesnaście...

- Rozwalają naprzeciw bramy - rzekł Mławski. Ścisnął mi rękę z całej siły.

- To musiał być Żyd, ten chłopiec z Biblią. Który to strzał był dla niego? - rzekł zecer Kowalski.

- Kładźcie się lepiej spać - zasępieni! urzędnik z Mokotowskiej, Szrajer. - Boże! Kładźcie się lepiej spać.

- Trzeba spać - rzekłem do towarzysza.

Położyliśmy się znowu, przykrywając się skórzaną kurtką i paltem. Przytuliliśmy się szczelniej do siebie. Od okna szedł przejmujący, wilgotny ziąb.

## U NAS W AUSCHWITZU...

### I

...a więc jestem już na kursach sanitarnych. Wybrano nas kilkunastu z całego Birkenau i będą uczyć prawie na doktorów. Mamy wiedzieć, ile kości ma człowiek, jak krąży krew, co to jest otrzewna, jak się zwalcza gronkowce, a jak paciorkowce, jak się sterylnie przeprowadza operację ślepej кишки i po co jest odma<sup>27</sup>.

Mamy posłannictwo bardzo wzniosłe: będziemy leczyć kolegów, których „zły los” gnębi chorobą, apatią lub zniechęceniem do życia. Mamy - właśnie my, kilkunastu ludzi na dwadzieścia tysięcy mężczyzn w Birkenau, zmniejszyć śmiertelność w obozie i podnieść ducha więźniów. Tak mówił na wyjezdnym lagerarzt<sup>28</sup>, spytał się jeszcze każdego z nas o wiek i zawód, a gdy odpowiedziałem mu:

- Student.

Podniósł ze zdziwieniem brwi:

- Cóż pan studiował?

- Historię literatury - odrzekłem skromnie. Kiwnął ze zniechęceniem głową, wsiadł do samochodu i odjechał. Później szliśmy bardzo piękną drogą do Oświęcimia, widzieliśmy kupę krajobrazu, potem ktoś nas przydzielał gdzieś, na jakiś szpitalny blok jako gości - flegarów<sup>29</sup>, ale nie bardzo się tym interesowałem, bo poszedłem ze Staszkiem (wiesz, tym, co mi dał brązowe spodnie) na obóz, ja - szukać kogoś, kto by Ci ten list zaniósł, a Staszek pod kuchnię i magazyn, żeby zorganizować na kolację białego chleba, kostkę margaryny i choć z jedną kielbasę, bo jest nas pięciu.

Oczywiście nikogo nie znalazłem, bo jestem milionowiec, a tu same stare numery i na mnie patrzą bardzo z góry. Ale Staszek obiecał przez swoje koneksje list przesłać, tylko żeby nie był długi, „bo to musi być nudne tak do dziewczyny co dzień pisać”.

Więc jak się nauczę, ile kości ma człowiek i co to jest otrzewna, to może poradzę coś na Twoją piodermię<sup>30</sup> i na gorączkę sąsiadki z Twego łóżka. Obawiam się tylko, że nawet wiedząc, jak się leczy ulcus duodeni<sup>31</sup>, nie potrafię Ci ukraść głupiej maści Wilkinsona na

---

<sup>27</sup> Odma - zabieg leczniczy polegający na wprowadzeniu powietrza do jamy ciała i uciśnięciu w ten sposób narządu, zwykle w celu ograniczenia jego czynności

<sup>28</sup> Lagerarzt (niem.) - lekarz obozowy

<sup>29</sup> Wyrazy i zwroty języka obozowego, nie uwzględnione w przypisach, objaśnione są w słowniczku „Określenia oświęcimskie”, s.229

<sup>30</sup> Piodermia (z łac.) - ropna choroba skóry

<sup>31</sup> Ulcus duodeni (łac.) - wrzód dwunastnicy

świerzb, bo aktualnie nie ma jej w całym Birkenau. U nas polewało się chorych herbatą z mięty, odmawiając przy tym pewne nader skuteczne zaklęcia, niestety, nie do powtórzenia.

A co do ograniczenia śmierci: chorował na moim bloku prominent, miał się źle, gorączkował, mówił coraz częściej o śmierci. Pewnego razu zawołał mnie do siebie. Usiadłem na brzeżku łóżka.

- Byłem przecie znany na lagrze, nie? - zapytał, niespokojnie patrząc mi w oczy.

- Któż by ciebie nie znał... i nie zapamiętał - odpowiedziałem niewinnie.

- Patrzaj - rzekł, wskazując ręką na zaczerwienione ogniem szyby.

Paliło się tam, za lasem.

- Wiesz, chciałbym, żeby mnie położyli osobno. Żeby nie razem. Nie na kupie.

Rozumiesz?

- Nie miej strachu - rzekłem mu serdecznie. - Już ja ci nawet prześcieradło dam. A z trupiarzami też pogadam.

Uścisnął mi rękę w milczeniu. Ale na nic się nie zdało. Wyzdrowiał i z lagru przysłał mi kostkę margaryny. Smaruję nią buty, bo to taka z ryb. Tak przyczyniłem się do zmniejszenia śmiertelności w obozie. Ale chyba dosyć o tym, bo to zbyt obozowe. Od prawie miesiąca nie mam listu z domu...

## II

Rozkoszne dni: bez apelów, bez obowiązków. Cały obóz stoi na apelu, a my w oknie, wpółwychyleni widzowie z innego świata. Uśmiechają się do nas ludzie, my uśmiechamy się do ludzi, mówią do nas: „Koledzy z Birkenau”, trochę ze współczuciem, że nasz los taki marny, a trochę ze wstydem, że ich taki dobry. Pejzaż z okna niewinny, kremu nie widać. Ludzie są w Oświęcimiu zakochani, z dumą mówią: „U nas, w Auschwitzu...”

Ostatecznie mają się czym chwalić. Wyobraź sobie, czym jest Oświęcim. Weź Pawiak, tę okropną budę, dodaj Serbię<sup>32</sup>, pomnóż przez dwadzieścia osiem i ustaw wszystko tak blisko koło siebie, aby między Pawiakami było tylko trochę miejsca, wszystko otocz podwójnym drutem naokoło, a z trzech stron betonowym murem, błoto wybrukuj, wyhoduj anemiczne drzewka - a między tym wszystkim posadź kilkanaście tysięcy ludzi, którzy byli po kilka lat w obozie, cierpieli fantastycznie, przetrwali najgorszy czas, a teraz mają uprasowane na zabójczy kant spodnie i chodzą, kołysząc się w biodrach - zrób to wszystko, a zrozumiesz, dlaczego mają oni w wielkiej pogardzie i politowaniu nas, ludzi z Birkenau,

---

<sup>32</sup> Serbia - oddział kobiecy Pawiaka

gdzie są tylko drewniane końskie baraki, nie ma chodników, a zamiast łaźni z gorącą wodą - cztery krematoria.

Z flegemi<sup>33</sup>, która ma bardzo białe, takie trochę niemiejskie ściany, betonową więzienną podłogę i dużo, dużo trzypiętrowych prycz, widać doskonale drogę wolnościową, po której czasem przejdzie człowiek, czasem przejedzie samochód, czasem drabiniasty wóz, a czasem - rowerzysta, pewnie robotnik wracający z pracy. Dalej, ale bardzo daleko (nie masz pojęcia, ile przestrzeni zmieści się w takim małym oknie, chciałbym mieszkać po wojnie, jak przeżyję, w wysokim domu z oknami na pole), są jakieś domy, a potem siny las. Ziemia jest czarna i musi być wilgotna. Jak w sonecie Staffa, pamiętasz Wiosenny spacer”!

Ale są na naszej flegerni rzeczy bardziej cywilne: piec kaflowy z kolorowych, majolikowych kafli, takich, jakie leżały u nas na składzie. Piec ten ma chytrze urządzone ruszta do pieczenia: niby nic nie ma, a piecz choćby prosię. Są na pryczach „kanadyjskie” koce, puszyste jak futro kota. Są prześcieradła białe i bez zmarszczek. Jest stół czasem zaścielony obrusem, ale tylko od święta i do jedzenia.

Okno wychodzi na drogę brzozową - Birkenweg. Szkoda, że zima i że bezlistne brzozy „płaczące” zwisają na dół jak postrzępione miotły, a zamiast trawników leży pod nimi lepkie błoto, pewnie takie samo jak w „tamnym” świecie zza drogi, tylko że trzeba je miesić nogami.

Po dróżce brzozowej przechadzamy się wieczorem po apelu godnie, z powagą, witając pochYLENIEM głowy znajomych. Na jednym ze skrzyżowań stoi drogowskaz z płaskorzeźbą, a płaskorzeźba przedstawia takich dwóch, co siedzą na ławce i szepczą sobie na ucho, a trzeci pochyla się ku nim, nadstawia swoje i nad słuchuje. Ku przestrodze: każda twoja rozmowa jest podsłuchana, skomentowana, doniesiona, gdzie należy. Tu jeden o drugim wie wszystko: kiedy był muzuhnanem, co i od kogo zorganizował, kogo zadusił i kogo zakapował, i każdy uśmiecha się drwiąco, gdy chwalisz drugiego.

Więc wyobraź sobie Pawiak, ileś tam razy uwielokrotniony, otoczony podwójnym drutem kolczastym. Nie tak jak w Birkenau, gdzie i zwyżki<sup>34</sup> stoją naprawdę jak bociany na wysokich, długich tyczkach, i lampy świecą co trzy słupy, i drut jest pojedynczy, ale za to odcinków - na palcach nie policzyłabyś!

Więc tu nie tak: lampy świecą co dwa słupy i zwyżki są solidnie podmurowane, drut jest podwójny i jeszcze mur.

Chodzimy więc po Birkenwegu w naszych cywilnych, prosto z zauny ubraniach -

---

<sup>33</sup> Flegemia (z niem. Pflegerraum) - izba pielęgniarska

<sup>34</sup> Zwyżki (z roś. wyszka) - wieże strażnicze

jedyna piątka ludzi, którzy nie mają pasiaków.

Chodźmy po Birkenwegu, wygoleni, świeży i beztroscy. Tłumek łązi grupkami, wystaje przed blokiem dziesiątym, gdzie za kratami i zabitymi na glucho oknami siedzą dziewczęta - króliki doświadczalne, ale najczęściej gromadzi się przed blokiem szrajbsztuby<sup>35</sup>, nie dlatego że tam jest sala orkiestry, biblioteka i muzeum, lecz po prostu, że na piętrze - puff. Co to jest puff, napiszę Ci innym razem, tymczasem bądź ciekawa...

Wiesz, jak dziwnie pisać do Ciebie, której twarzy nie widziałem od tak dawna. Obraz Twój rozpiercha mi się w pamięci i nawet dużym wysiłkiem woli nie daje się przywołać. Jest coś niesamowitego w śnie, że śnisz mi się tak wyraźnie i plastycznie. Wiesz, sen nie jest jak obraz, ale jak przeżycie, w którym jest przestrzeń i czuje się ciężar przedmiotów i ciepło Twojego ciała...

Trudno mi sobie Ciebie wyobrazić na obozowej pryczy, z obciętymi włosami po tyfusie... Pamiętam Ciebie z Pawiaka: wysoką, smukłą pannę o lekkim uśmiechu i smutnych oczach. Na alei Szucha siedziałaś z pochyloną głową i widziałem tylko Twoje czarne włosy, które teraz są obcięte.

I to jest najsilniejsze, co we mnie pozostało stamtąd, z tamtego świata: Twój obraz, choć tak trudno mi Ciebie przypomnieć. I dlatego piszę Ci tak długie listy: bo to są moje z Tobą rozmowy wieczorne, jak wtedy na Skary szewskiej. I dlatego te listy są pogodne. Zachowałem w sobie dużo pogody i wiem, że i Ty jej nie straciłaś. Mimo wszystko. Mimo pochylonej głowy na gestapo, mimo tyfusu, zapalenia płuc i - krótko obciętych włosów.

A ci ludzie... Widzisz, oni przeszli straszną szkołę obozu, tego obozu z początku, o którym krążą legendy. Ważyli po trzydzieści kilo, byli bici, wybierani do gazu - rozumiesz, dlaczego mają teraz śmieszne, wcięte marynarki, swoisty, kołyszący się chód i pochwałę Oświęcimia na każdym kroku?

A to jest tak... Chodzimy po Birkenwegu, elegancy, w cywilnych garniturach. Ale cóż - milionowcy! Sto trzy tysiące, sto dziewiętnaście tysięcy, czarna rozpacz, żeśmy nie zdążyli po wcześniejsze numery! Podszedł do nas ktoś w pasiaku, dwadzieścia siedem tysięcy, stary numer, aż się w głowie kręci. Młody chłopak o mętym spojrzeniu onanisty i chodzie zwierzęcia wietrzącego niebezpieczeństwo.

- Koledzy, skąd wy jesteście?

- A z Birkenau, proszę kolegi.

- Z Birkenau? - popatrzył po nas krytycznie. - I tak dobrze wyglądacie? Przecież to

---

<sup>35</sup> Szrajbsztuba (z niem. Schreibstube) - kancelaria

straszne... Jak wy możecie tam wytrzymać?

Witek, mój wysoki przyjaciel i doskonały muzyk, odrzekł podciągając mankiety:

- Fortepianu u nas, niestety, nie ma, ale wytrzymać idzie. Stary numer popatrzył na nas jak przez mgłę:

- Bo my boimy się Birkenau...

### III

Kursy wciąż się odwlekają, bo czekamy na flegerów z okolicznych obozów: z Janiny, z Jaworzna, z Bunu. Mają być także flegerzy z Gliwic i z Mysłowic, dalszych obozów, ale należących jeszcze do Oświęcimia. Tymczasem wysłuchaliśmy paru wzniosłych przemów czarnego kierownika od kursów, małego zasuszonego Adolfa, który przyjechał niedawno z Dachau i jest nasiąkły aż po uszy kameradschaftem.<sup>36</sup> Będzie podnosił zdrowotność obozu przez kształcenie flegerów i obniżał śmiertelność przez nauczanie, co to jest system nerwowy. Adolf jest niezwykle sympatyczny i nie z tego świata, ale jako Niemiec, nie zna proporcji między rzeczami i zjawiskami i czepia się znaczenia słów, jakby one stanowiły rzeczywistość. Mówi „Kameraden”<sup>37</sup> i myśli, że my istotnie jesteśmy Kameraden, mówi „zmniejszyć cierpienie” i myśli, że to jest możliwe. Na bramie obozu spleciono z żelaza litery: „Praca czyni wolnym”. Oni chyba w to wierzą, ci esmani i ci więźniowie, którzy są Niemcami. Ci, co się wychowali na Lutrze, Fichtem, Heglu, Nietzschem. Więc kursów na razie nie ma i włóczę się po obozie, czyniąc wycieczki krajo- i psychoznawcze. Właściwe włóczyliśmy się w paru: Staszek, Witek i ja. Staszek kręci się zazwyczaj koło kuchni i magazynu, wyszukując tych, którym kiedyś coś dał i którzy teraz jemu dać powinni. Jakoż wieczorem zaczyna się procesja. Schodzą się jakieś typy, którym źle z oczu patrzy, uśmiechają się życzliwie wygolonymi szczękami i wyciągają spod wciętych marynarek: ten kostkę margaryny, ów biały chleb szpitalny, inny kielbasę, tamten papierosy. Rzucają to wszystko na dolne łóżko i znikają jak w filmie. Dzielimy łupy, uzupełniamy z paczek i gotujemy w piecu, który ma kafle barwne i majolikowe.

Witek łązi za fortepianem. Stoi czarne pudło w sali muzycznej w bloku, tam gdzie i puff, ale w arbeitszeicie<sup>38</sup> grać nie wolno, a po apelu grają sobie muzycy, którzy poza tym dają co niedziela koncerty symfoniczne. Koniecznie pójde posłuchać.

Naprzeciw sali muzycznej znaleźliśmy drzwi z napisem „biblioteka”, ale

---

<sup>36</sup> Kameradschaft (niem.) - koleżeństwo

<sup>37</sup> Kameraden (niem.) - koledzy

<sup>38</sup> W arbeitszeicie (z niem. Arbeitzeit) - w czasie pracy

wtajemniczeni twierdzą, że to tylko dla reichsdeutschów<sup>39</sup> parę kryminalnych powieści. Nie sprawdzałem, bo drzwi są zamknięte na amen.

Obok biblioteki w owym bloku kultury jest oddział polityczny, a koło niego - sala muzeum. Są tam fotografie skonfiskowane z listów i ponoć nic więcej. A szkoda, mogliby pomieścić tam ową nie dopieczoną wątrobę ludzką, za której nadjedzenie mój przyjaciel, Grek, dostał dwadzieścia pięć na de.

Ale najważniejsza rzecz mieści się na piętrze. Jest to puff. Puffsą to okna, nawet w zimie na wpół uchylone. W oknach - po apelu wychylają się główki kobiece o różnych odcieniach, a spod niebieskich, różowych i seledynowych (bardzo lubię ten kolor) szlafroczków wynurzają się śnieżne jak piana morska ramiona. Główek jest, zdaje się, piętnaście, a ramion - trzydzieści, jeśli nie liczymy starej Madame o potężnym, epickim, legendarnym biuście, która czuwa nad główkami, szyjkami, ramionami etc... Madame oknem się nie wychyla, ale za to urzęduje na piętrze jako cerber u wejścia do puffu.

Naokoło puffu stoi tłum prominencji lagrowej. Jeśli Julii jest dziesięć, to Romeów (i to nie byle jakich) z tysiąc. Stąd przy każdej Julii tłok i konkurencja. Romeowie stoją w oknach przeciwległych bloków, krzyczą, sygnalizują rękoma, wabią. Jest lageraltester<sup>40</sup> i lagerkapo<sup>41</sup>, są lekarze ze szpitala i kapowie z komand. Niejedna z Julii ma stałego adoratora i obok zapewnień o wiecznej miłości, o szczęśliwym wspólnym życiu po obozie, obok wyrzutów i przekomarzań się słychać bardziej konkretne dane dotyczące mydła, perfum, jedwabnych majtek i papierosów.

Jest wśród ludzi duże koleżeństwo: nie konkurują nielojalnie. Kobiety z okien są bardzo czule i ponętne, ale jak złote ryby w akwarium niedosiężne.

Tak wygląda puff z zewnątrz. Do środka można się dostać jedynie przez szrajbsztubę za karteczką, która stanowi nagrodę za dobrą i pilną pracę. Wprawdzie my, jako goście z Birkenau, i tu mamy pierwszeństwo, ale odmówiliśmy, mamy czerwone winkle, a niech kryminaliści korzystają z tego, co dla nich. Dlatego żałuj, ale ten opis będzie tylko pośredni, choć oparty na tak dobrych świadkach i tak starych numerach, jak fleger (co prawda już honorowy) M... z naszego bloku, który ma numer prawie trzy razy mniejszy niż dwie ostatnie cyfry mojego. Rozumiesz - członek założyciel! Dlatego kołysze się jak kaczką i ma szerokie spodnie z klinami, spięte z przodu agrafkami. Wieczorem wraca podniecony i wesoły. Oto idzie do szrajbsztuby i gdy czytają numery tych „dopuszczonych”, czyha na nieobecnego;

---

<sup>39</sup> Reichsdeutsch (niem.) - obywatel Rzeszy, rdzenny Niemiec

<sup>40</sup> Lageraltester (niem.) - starszy obozu, funkcja w samorządzie więźniów

<sup>41</sup> Lagerkapo (niem.) - więzień koordynator składu i porządku komand roboczych w obrębie ścisłego obozu

krzyczy wtedy hier<sup>42</sup>, łapie przepustkę i gna do Madame. Wsuwa jej w łapę parę paczek papierosów, ona czyni koło niego szereg zabiegów natury higienicznej i wyszprycowany flegger gna wielkimi susami na górę. Po korytarzyku przechadzają się owe Julie z okna, w szlafroczkach niedbale owiniętych dookoła ciała. Czasem któraś przejdzie obok flegera i zapyta od niechcienia:

- Który pan ma numer?

- Osiem - odpowie flegger, dla pewności patrząc na karteczkę.

- A to nie do mnie, to do tej Inny, blondyneczki - mruknie rozczarowana i powłóczytym krokiem odejdzie ku oknu.

Wtedy flegger wchodzi pod ósemkę. Na drzwiach czyta jeszcze, że takich a takich zdrożności uskutecznić nie wolno, bo bunkier, że dozwolone tylko to a to (szczegółowy wykaz) i tylko na tyle a tyle minut, wzdycha w kierunku judasza, przez który czasem zaglądną koleżanki, czasem Madame, czasem komandoführer od puffu, a czasem nawet sam komendant obozu, kładzie na stole paczkę papierosów i... aha, jeszcze dostrzega, że na szafeczce leżą dwie paczki angielskich. Wtedy dopiero jest to i..., po którym flegger wychodzi, przez roztargnienie wsadzając do kieszeni owe dwie paczki angielskich papierosów. Podlega znów dezynfekcji i wesół i szczęśliwy opowiada nam o tym wszystkim.

Ale dezynfekcja czasami zawodzi, w związku z czym wybuchła onegdaj w puffie zaraza. Puff zamknięto, po numerach sprawdzano, kto był, wezwano ich urzędowo i zaaplikowano kurację. Ponieważ handel przepustkami jest szeroko uprawiany, wykurowano nie tych, co trzeba. Ha, takie jest życie. Kobiety z puffu czyniły również wycieczki na lager. W nocy wychodziły po drabinie w męskich ubraniach na pijatyki i orgie. Ale nie podobało się to postowi z pobliskiej budki i wszystko się urwało.

Są i gdzie indziej kobiety: blok dziesiąty, doświadczalny. Tam się je sztucznie zapładnia (jak powiadają), szczepi się tyfus, malarię, robi się zabiegi chirurgiczne. Przelotnie widziałem tego, który tę robotę prowadzi: w zielonym myśliwskim ubraniu, w tyrolskim kapelusiku z natkanymi odznakami sportowymi, o twarzy dobrotliwego satyra. Podobno profesor uniwersytetu.

Kobiety te bronione są kratami i deskami, ale często gęsto włamują się i tam i zapładniają je zgoła niesztucznie. Musi się wściekać stary profesor.

Zrozum: to nie są ludzie zboczeni, którzy to czynią. Cały obóz, jak się naje i wyśpi, mówi o kobietach, cały obóz marzy o kobietach, cały obóz dobiera się do nich. Lageraltester

---

<sup>42</sup> Hier (niem.) - tutaj



wyleciał w karny transport za to, że włożył nagminnie przez okno do puffu. Dziewiętnastoletni esman złapał w ambulansie kapelmistrza, grubego, poważnego jegomościa, oraz kilku lekarzy w pozycjach niewątpliwych z partnerkami, które przyszły rwać zęby, i trzymanym w rękę kijem wymierzył doraźnie odpowiednią porcję w odpowiednie miejsce. Takie zdarzenie nikogo nie blamuje: po prostu nie mieli szczęścia.

W obozie rośnie psychoza kobiety. Dlatego kobiety z puffu są traktowane jak normalne, którym się mówi o miłości i o życiu domowym. Tych kobiet jest dziesięć, a obóz liczy kilkanaście tysięcy ludzi.

Dlatego oni tak bardzo rwą się na FKL<sup>43</sup>, do Birkenau. Ci ludzie są chorzy. I pomyśl: to nie jest tylko jeden Oświęcim. To są setki „wielkich obozów” koncentracyjnych, to są oflagi<sup>44</sup> i stalagi<sup>45</sup>, to są...

Wiesz, o czym myślę, pisząc Ci to wszystko?

Jest głęboki wieczór; oddzielony szafą od wielkiej sali pełnej ciężko oddychających we śnie chorych, siedzę w małym pokoiku pod czarnym oknem, które odbija moją twarz, seledynowy klosz lampy i białą kartkę papieru leżącą na stole. Franz, młody chłopiec z Wiednia, dogadał się ze mną już pierwszego wieczoru i - siedzę teraz za jego stołem, palę jego lampę i na jego papierze piszę do Ciebie. Ale nie piszę Ci o tym, co mówiliśmy dzisiaj: o literaturze niemieckiej, o winie, filozofii romantycznej, o problemach materializmu.

Wiesz, o czym myślę, kiedy Ci o tym piszę?

Myślę o ulicy Skaryszewskiej. Patrzę w ciemne okno, widzę swoją twarz odbitą w szybie, a za szybą noc i nagłe błyski reflektorów z budek strażniczych, wyrzynających w ciemności fragmenty przedmiotów. Patrzę i myślę o Skaryszewskiej. Przypominam sobie niebo, blade i wyiskrzone, spalony dom z naprzeciwka i kratę ramy okiennej, która przecinała obraz jak witraż.

Myślę o tym, jak bardzo tęskniłem do Twego ciała w te dni, i czasem uśmiecham się lekko, gdy przyjdzie mi na myśl, jak wielki krach musiał być tam, gdy po naszym aresztowaniu znaleziono u nas obok moich książek i wierszy - Twoje perfumy i szlafrok, czerwony jak brokat z obrazów Velasqueza, ciężki, długi (strasznie go lubiłem, w jego ramach wyglądałaś najwspanialej, choć Ci o tym nigdy nie mówiłem).

Myślę o tym, jak bardzo byłaś dojrzała, jak dużo dobrej woli i - wybacz, że Ci to teraz piszę - poświęcenia włożyłaś w nasz stosunek, jak dobrowolnie wchodziłaś w moje życie

---

<sup>43</sup> FKL Birkenau (z niem. Frauenkonzentrationslager Birkenau) - kobiecy obóz koncentracyjny Birkenau w Brzezince

<sup>44</sup> Oflagi (z niem. Omzierslager) - obozy jenieckie dla oficerów

<sup>45</sup> Stalagi (z niem. Soldatenlager) - obozy jenieckie dla szeregowców i podoficerów

małego pokoiku bez wody, wieczorów z zimną herbatą, paru na wpół uwiędłych kwiatów, psa, który wiecznie gryzł, i lampy naftowej u moich rodziców.

Myślę o tym i uśmiecham się pobłaźliwie, gdy mi mówią o moralności, o prawie, o tradycji, o obowiązkach... Albo gdy wyrzekają się wszelkiej miękkości i sentymentalizmu i pokazując pięść, mówią o wieku twardości. Uśmiecham się i myślę, że człowiek zawsze na nowo odnajduje człowieka - przez miłość. I że to jest rzecz najważniejsza i najbardziej trwała w życiu ludzkim.

Myślę o tym i przypominam celę na Pawiaku. W pierwszym tygodniu nie mogłem pojąć dnia bez książki, bez wieczornego kręgu światła, bez kartki papieru, bez Ciebie...

I popatrz, czym jest przyzwyczajenie: chodziłem po celi i w rytm kroków układałem wiersze. Jeden z nich wpisałem towarzyszowi z celi więziennej do Biblii, ale z innych - były to pieśni horacjańskie - pamiętam tylko strofki, jak ta z wiersza do przyjaciół z wolności:

Przyjaciele z wolności! Pieśnią więzienną was żegnam po to, byście wiedzieli, że nie odchodzę z rozpaczą. Bo wiem, że po mnie zostanie i miłość, i moja poezja, i póki życia waszego, wspomnienie u przyjaciół.

#### IV

Dziś - niedziela. Przed południem było się na spacerze, oglądało się z wierzchu doświadczalny blok kobiet (wystawiają głowy przez kraty zupełnie jak króliki mego ojca, pamiętasz, szare, z jednym oklapniętym uchem), potem oglądało się uważnie blok SK<sup>46</sup> (tam na podwórzu jest owa czarna ściana, przed którą dawniej rozstrzeliwano, obecnie robią to ciszej i dyskretniej - w krematorium).

Widzieliśmy paru cywilów: dwie zastraszone kobiety w futrach i mężczyznę o zmiętej, niewyspanej twarzy. Prowadził ich esman, nie przerażaj się tylko, do tymczasowego miejskiego aresztu, który właśnie mieści się w bloku SK. Kobiety patrzyły z przerażeniem na pasiastych ludzi i na potężne urządzenia obozu: piętrowe domy, podwójne druty, mur za drutami, solidne budy strażnicze. A gdyby jeszcze wiedziały, że mur idzie - jak powiadają - dwa metry w głąb, żeby się nie podkopać! Uśmiechaliśmy się do nich, bo to frazka: posiedzą parę tygodni i wyjdą. Chyba że im naprawdę dowiodą, że handlowali na czarno. Wtedy pojedą do krematorium. Ci cywile są śmieszni. Reagują na obóz jak dziki na widok broni palnej. Nie rozumieją mechanizmu naszego życia i wietrzą w tym wszystkim nieprawdopodobne, mistyczne, coś ponad ludzkie siły. Pamiętasz, jak usiadłaś w przerażeniu,

---

<sup>46</sup> SK (z niem. Strafkompagnie) - kompania karna

gdy Cię aresztowano, pisałaś mi o tym? Ja czytałem u Marii Wilka stepowego (ona też dobierała lekturę), ale nie bardzo wiem, co i jak.

Dziś za pan brat z nieprawdopodobnym i mistycznym, mając na co dzień krematorium, tysiącami flegmony i gruźlicę, poznawszy, co to jest deszcz i wiatr, i słońce, i chleb, i zupa z brukwi, i praca, aby nie podpaść, i niewolnictwo, i władza, będąc, że tak powiem, pod rękę z bestią - patrzę na nich z odrobiną pobłażania, jak uczonego na laika, wtajemniczony na profana.

Wysupłaj ze zdarzeń codziennych całą ich codzienność, odrzuć przerażenie i wstręt, i pogardę i znajdź na to wszystko formułę filozoficzną. Na gaz i na złoto, na apele i na puff, na cywila i na stary numer.

Gdybym Ci powiedział wtedy, gdy tańczyliśmy we dwoje w małym pokoiku o pomarańczowym świetle: słuchaj, masz milion ludzi albo dwa, albo trzy miliony, zabij ich tak, żeby nikt o tym nie wiedział, nawet oni, uwięź kilkaset tysięcy, złam ich solidarność, poszczuj człowieka na człowieka i... - przecież miałabyś mnie za szalonego i kto wie, czy nie przerwalibyśmy tańca. Ale pewnie tak bym nie powiedział, nawet gdybym znał obóz, bo nie zmąciłbym nastroju.

A tu patrz: najpierw jedna wiejska stodoła pomalowana na biało i - duszą w niej ludzi. Potem cztery większe budynki - dwadzieścia tysięcy jak nic. Bez czarów, bez trucizn, bez hipnozy. Paru ludzi kierujących ruchem, żeby tłoku nie było, i ludzie płyną jak woda z kranu za odkręceniem kurka. Dzieje się to wśród anemicznych drzew zadymionego lasu. Zwykle ciężarowe samochody podwożą ludzi, wracają jak na taśmie i znów podwożą. Bez czarów, bez trucizn, bez hipnozy.

Jakże to jest, że nikt nie krzyknie, nie plunie w twarz, nie rzuci się na pierś? Zdejmujemy czapkę przed esmanami wracającymi spod lasu, jak wyczytają, idziemy z nimi na śmierć i - nic? Głodujemy, mokniemy na deszczu, zabierają nam najbliższych. Widzisz: to mistyka. Oto jest dziwne opętanie człowieka przez człowieka. Oto jest dzika bierność, której nic nie przełamie. A jedyna broń - to nasza liczba, której komory nie pomieszczą.

Albo jeszcze tak: kij od łopaty na gardło i stu ludzi dziennie. Albo zupa z pokrzywy i chleb z margaryną, a potem młody, wyrośnięty esman z pomiętym kawałkiem papieru w łapie, numer wytatuowany na ręce, potem samochód, jeden z tych - wiesz, kiedy ostatni raz wybierano „Aryjczyków” do gazu? czwartego kwietnia; a pamiętasz, kiedy przyjechaliśmy do obozu? dwudziestego dziewiątego kwietnia. A co byłoby z Twoim zapaleniem płuc, gdybyśmy przyjechali trzy miesiące wcześniej?

... Wiem, że leżysz na wspólnej pryczy z przyjaciółkami, które pewno bardzo dziwią

się moim słowom. „Mówiłaś, że ten Tadeusz jest pogodny, a patrz, pisze same ponure rzeczy”. I pewnie są bardzo oburzone na mnie. Ale przecież i o tych sprawach, które się dzieją wokół nas, możemy mówić. Nie wywołujemy zła na próżno i nieodpowiedzialnie, przecież tkwimy w nim - widzisz, jest znów głęboki wieczór po dniu pełnym dziwnych wydarzeń.

Po południu wybrałem się na mecz bokserski do wielkiego baraku waschraumu, tam, skąd wprawdzie odchodziły transporty do gazu. Wpuszczono nas do środka z ceremoniami, choć sala była nabita po brzegi. W dużej poczekalni urządzono ring. Światło z góry, sędzia (nb. polski sędzia olimpijski), bokserzy o sławie międzynarodowej, ale tylko Aryjczycy, bo Żydom występować nie wolno. I ci sami ludzie, którzy dzień w dzień wybijali dziesiątki zębów, ludzie, z których niejeden sam ma pustą szczękę - pasjonowali się Czortkiem, Walterem z Hamburga i jakimś młodym chłopcem, który, trenowany w obozie, wyrósł, jak powiadają, na dużą klasę. Jeszcze tkwi tu pamięć o numerze 77, który niegdyś boksował Niemców, jak chciał, biorąc na ringu odwet za to, co inni dostali na polu. Sala była zadymiona od papierosów, a bokserzy tłukli się, ile wlicze. Ale robili to niefachowo, choć z dużym uporem.

- Taki Walter - mówił Staszek - popatrzcie tylko! Na komandzie, jak chce, to jednym uderzeniem kładzie muzułmana! A tu, patrz, trzy rundy, i nic! Jeszcze jemu mordę nabili. Widocznie za dużo widzów, nie?

Swoją drogą widzowie byli rozanieleni, a my w pierwszym rzędzie, wiadomo, goście.

Zaraz po boksie poszedłem do konkurencji, na koncert. Wy tam, w waszym Birkenau, ani pojęcia nie macie, jakie tu się dzieją cuda kultury o parę kilometrów od kominów. Wyobraź sobie, grają uwerturę do Tancreda i coś z Berlioza, i jeszcze jakieś tańce fińskie takiego kompozytora, co miał dużo aaa w nazwisku. Kudy Warszawie do takiej orkiestry! Ale, ale, po kolei Ci opowiem, a Ty słuchaj, bo warto. Więc wyszedłem z boksu, podniecony radośnie, i natychmiast wszedłem na blok, na którym i puff. Pod puffem jest sala muzyczna. Było w niej tłoczno i gwarno, pod ścianami stali słuchacze, muzycanci stroili instrumenty rozsiadłszy się po całej sali. Naprzeciw okna - podwyższenie, stanął na nim kapo kuchni (razem i kapelmistrz), a kartoflarze i rollwaga (zapomniałem Ci napisać, że orkiestra w czasie pracy obiera kartofle i popycha wozy) poczęli grać. Ledwom zdążył dopaść między klarnet II a fagot. Tam przycupnąłem przy nie obsadzonym krzeselku klarnetu I i oddałem się zasluchaniu. Nie pomyślałabyś nigdy, jak potężnie brzmi symfoniczna orkiestra trzydziestu osób w dużym pokoju! Kapelmistrz machał umiarkowanie, żeby nie uderzyć dłonią o ścianę, i wyraźnie groził tym, którzy fałszowali. Da im przy kartoflach. Ci z końców sali (z jednego

bęben, a z drugiego basetla) nadrabiali, jak mogli. Wszystko głużył fagot, może dlatego, że stałem tuż przy nim. Ale basetla! Piętnastu słuchaczy (więcej się nie pomieściło) zagłębiało się w muzyce ze znanstwem i nagradzało orkiestrę skąpymi oklaskami.

- Ktoś nazwał nasz obóz: Betrugslager, obóz oszustw. Skąpy żywołot przy białym domku, podwórko podobne do wiejskiego, tablice z napisami „kąpiel” wystarczą, aby otumanić miliony ludzi, oszukać aż do śmierci. Jakiś tam boks, jakieś trawniczki przy blokach, dwie marki na miesiąc dla najpilniejszych więźniów, musztarda w kantynie, cotygodniowa kontrola wszy i uwertura do Tancreda wystarczy, aby oszukać świat i - nas. Ci tam z zewnątrz myślą, że to jest potworne, ale przecież nie jest tak źle, skoro i orkiestra, i boks, i trawniczki, i koce na łóżkach... Oszukańcza jest porcja chleba, do której trzeba dokładać, aby żyć.

Oszukańczy jest czas pracy, przy którym nie wolno mówić, siadać, odpoczywać. Oszukańcza jest każda szufla ziemi, którą niepełną rzucamy na wał rowu.

Patrz na to wszystko uważnie i nie trać siły, gdy Ci jest źle.

Bo może z tego obozu, z tego czasu oszustw będziemy musieli zdać ludziom żywym relację i stanąć w obronie zmarłych.

Kiedyś chodziliśmy komandami do obozu. Grała orkiestra do taktu idącym szeregiem. Nadeszło DAW i dziesiątki innych komand i czekały przed bramą: dziesięć tysięcy mężczyzn. I wtedy z FKL-u nadjechały samochody pełne nagich kobiet. Kobiety wyciągały ramiona i krzyczały:

- Ratujcie nas! Jedziemy do gazu! Ratujcie nas! I przejechały koło nas w głębokim milczeniu dziesięć tysięcy mężczyzn. Ani jeden człowiek się nie poruszył, ani jedna ręka nie podniosła się.

Bo żywi zawsze mają rację przeciw umarłym.

## V

Najpierw byliśmy na kursie. W ogóle na kursie jesteśmy już od dawna, tylko nic Ci o tym nie pisałem, bo to na poddaszu i bardzo zimno. Siedzimy na zorganizowanych stołkach i bawimy się doskonale, zwłaszcza wielkimi modelami ciała ludzkiego. Ciekawi patrzą, jak to jest, ale my z Witkiem rzucamy sobie gąbką i fechtujemy się linijkami, co do rozpacz doprowadza czarnego Adolfa. Macha nad nami rękoma i mówi o kameradschafcie i o obozie. Siadamy cicho w kącie, Witek wyciąga fotografię żony i pyta się przyciszonym głosem:

- Ciekawym, ilu on zabił w tym Dachau? Inaczej by się nie reklamował... Uduśliłbyś

go?...

- Uhm... ale ładna kobieta. Jakżeś ty do niej?

- Kiedyś byliśmy na spacerze w Pruszkowie. Wiesz, zieleń, boczne dróżki, las na widnokręgu. Idziemy przytuleni do siebie, a tu z boku wypada pies esmański...

- Już nie bujaj, przecież to w Pruszkowie, a nie w Oświęcimiu.

- Naprawdę pies esmański, bo obok była willa zajęta przez SS. I to bydlę dawaj do dziewczyny! I co byś zrobił? Wywaliłem z rewolweru do bestii, łapię żonę za rękę i powiadam: „Irka, chodu!” A ta stoi jak wkopana i patrzy na spluwę. „Skąd to masz?” Ledwom ją wyrwał, bo od willi było słycać jakieś głosy. Przez pola na przełaj gnaliśmy jak dwa zające. Długo musiałem Irce tłumaczyć, że ten kawałek żelaza jest potrzebny w moim zawodzie.

W międzyczasie któryś z kolejnych doktorów gada o przełykach i o takich rzeczach, co są w środku człowieka, a Witek beztróska referuje mi dalej:

- Pokłóciłem się kiedyś z przyjacielem. Albo on, albo ja, pomyślałem. On też tak zresztą pomyślał, znałem go dobrze. Łaziłem za nim coś ze trzy dni i tylko patrzyłem, czy mi kto za plecami nie siedzi. Przy dybałem go na Chmielnej wieczorkiem i wyrznąłem, ale nie trafiłem, jak trzeba. Przychodzę nazajutrz, ma rękę obwiązaną i patrzy na mnie spode łba. „Upadłem” mówi.

- I co ty - pytam, bo historia bardzo współczesna.

- Nic, bo mnie zaraz wsadzili.

Czy się ów kolega do tego przyczynił, czy nie, trudno rozsądzić, ale Witek losowi się nie dał. Na Pawiaku był oddziałowym czy kąpielowym - taki pipel od Kronsztmidta, który wspólnie z pewnym Ukraincem na każdej wachcie katował Żydów. Znasz piwnice Pawiaka? Te żelazne podłogi? Otóż Żydzi nadzy, z rozparzoną po kąpieli skórą, czołgali się po nich tam i z powrotem, tam i z powrotem. Widziałaś kiedy buty żołnierskie od spodu? Ile tam gwoździ? Otóż Kronsztmidt włożył takimi butami na gołe ciało i jeździł na czołgającym się człowieku. Dla Aryjczyków było z tym łagodniej, czołgałem się wprawdzie, ale na innym oddziale i nikt na mnie nie włożył. I nie z zasady, ale za zły meldunek. Dla nas była gimnastyka: godzina na dwa dni. Godzina: to bieg naokoło podwórka, a potem „padnij” i podnoszenie się na rękach, dobre ćwiczenie ze szkoły.

Mój rekord: 76 razy pod rząd i ból rąk do następnego razu. Najlepsze ćwiczenie, jakie znam, to zespołowy „lotnik, kryj się!” Dwuszerę ludzi, pierś o plecy, niesie drabinę na barkach, podtrzymując ją jedną ręką. Na okrzyk: „lotnik, kryj się!”, padają na ziemię nie puszczając z barków drabiny. Kto puści, ginie pod kijem lub zaszczuty przez psa. Następnie

po szczeblach leżącej na ludziach drabiny zaczyna chodzić esman, tam i z powrotem, tam i z powrotem. Potem trzeba wstać i nie mieszając szyków znów padać.

Widzisz, wszystko nieprawdopodobne: kilometrami koziółkować jak w Sachsenhausen, toczyć się godzinami po ziemi, robić setki przysiadów, całe dni i noce stać w jednym miejscu, miesiące siedzieć w betonowej trumnie, w bunkrze, wisieć na słupku przywiązany za rękę albo na drągu zawieszonym na dwu krzesłach, skakać jak żaba i czołgać się jak wąż, wiadrami pić wodę aż do uduszenia się, być bitym przez tysiące najrozmaitszych ludzi - patrz, zachłannie słucham historii więzień nikomu nie znanych, prowincjonalnych, Małkini, Suwałk, Radomia, Puław, Lublina - potwornie rozwiniętej techniki męczenia człowieka i uwierzyć nie mogę, żeby wyskoczyła ona z głowy ludzkiej nagle, jak Minerwa z głowy Jowisza. Nie mogę zrozumieć tego nagłego zachłyśnięcia się mordem, tego wylewu zapomnianego na pozór atawizmu.

A jeszcze i to: śmierć. Opowiadano mi o takim lagrze, do którego przychodziły co dzień transporty nowych więźniów, po kilkudziesięciu ludzi naraz. Ale obóz miał ustaloną liczbę porcji, już nie pamiętam wiele, może dwa, może trzy tysiące, i komendant nie życzył sobie, aby więźniowie głodowali. Każdy więzień musiał otrzymać jedną porcję. Co dzień więc było w obozie kilkudziesięciu ludzi za dużo. Każdego wieczoru na każdym bloku losowano kartami lub gałkami z chleba i wylosowani nie szli następnego dnia do pracy. Wyprowadzano ich w południe za druty i rozstrzeliwano.

I w tym wylewie atawizmu stoi człowiek z innego świata, człowiek, który konspiruje po to, aby nie było korszachtów między ludźmi, człowiek, który kradnie, aby nie było łupiestw na ziemi, człowiek, który zabija, aby nie mordowano ludzi.

Więc Witek był z tego innego świata i był piplem Kronsztmita, najgorszego kata z Pawiaka. A teraz siedzi przy mnie i słucha, co jest w człowieku, a jak się to coś zepsuje, to jak je naprawić domowymi środkami. Potem na kursach była awantura. Doktor zwrócił się do Staszka, który tak świetnie organizuje, i kazał mu powtórzyć wątrobę. Staszek powtórzył źle. Doktor rzekł:

- Odpowiadacie bardzo głupio, a poza tym moglibyście wstać.
- Siedzę w obozie, to mogę siedzieć i na kursach - odrzekł zaczerwieniwszy się Staszek. - A poza tym niech pan mnie nie obraża.
- Milczcie, jesteście na kursach.
- Pewnie, chcielibyście, żebym milczał, bo mógłbym za dużo powiedzieć, coście tu robili w obozie.

Na to myśmy zaczęli trzaskać w stolki i krzytać: „tak! tak!” i doktor wyleciał za

drzwi. Przyszedł Adolf, nawymyślał nam od kameradschaftu, a potem poszliśmy na blok, akurat w połowie systemu trawiennego. Staszek zaraz poleciał po swoich kolegach, żeby mu ten doktor nogi nie podstawił. A pewnie nie podstawi, bo Staszek ma dobre plecy. Tego jednego nauczyliśmy się z anatomii obozowej: kto ma dobre plecy, temu trudno nogę podstawić. A ten doktor to rzeczywiście różnie z nim było, uczył się chirurgii na chorych. Ilu ich pochłastał dla nauki, a ilu z nieuctwa - trudno policzyć. Ale chyba dużo, bo w szpitalu zawsze tłok, a i trupiarnia pełna.

Pomyślisz, czytając to, że już się zupełnie wyzbyłem tamtego świata z domu. Piszę i piszę Ci tylko o obozie, o jego drobnych zdarzeniach i z tych zdarzeń wyłuskuję ich sens, jakby już nic innego na nas nie czekało...

Pamiętasz nasz pokoik? Litrowy termos, który mi kupiłaś. Nie włożył do kieszeni i ostatecznie - ku Twemu oburzeniu - powędrował pod łóżko. A historię z łapanką na Żoliborzu, z której nadawałaś mi przez cały dzień reportaże przez telefon? Że wyciągali z tramwajów, ale wysiadłaś przystanek przedtem, że obstawili blok, ale wyszłaś na pola aż nad Wisłę? I to, jak mówiłaś mi, gdy narzekałem na wojnę, na barbarzyństwo, na pokolenie nieuków, które z nas wyrośnie:

- Pomyśl o tych, co są w obozach. My tylko marnujemy czas, a oni się męczą.

Dużo było naiwności w tym, co mówiłem, niedojrzałości i szukania wygody. Ale myślę, że chyba nie marnowaliśmy czasu. Wbrew namiętnościom wojny żyliśmy w innym świecie. Może dla tego, który nadejdzie. Jeśli są to zbyt śmiałe słowa - wybacz. A to, że teraz tu jesteśmy - to chyba też dla tego świata. Czy myślisz, że gdyby nie nadzieja, iż ten inny świat nadejdzie, że wrócą prawa człowieka - żylibyśmy w obozie choć jeden dzień? To właśnie nadzieja każe ludziom apatycznie iść do komory gazowej, każe nie ryzykować buntu, pograża w martwość. To nadzieja rwie więzy rodzin, każe matkom wyrzekać się dzieci, żonom sprzedawać się za chleb i mężom zabijać ludzi. To nadzieja każe im walczyć o każdy dzień życia, bo może właśnie ten dzień przyniesie wyzwolenie. Ach, i już nawet nie nadzieja na inny, lepszy świat, ale po prostu na życie, w którym będzie spokój i odpoczynek. Nigdy w dziejach ludzkich nadzieja nie była silniejsza w człowieku, ale nigdy też nie wyrządziła tyle zła, ile w tej wojnie, ile w tym obozie. Nie nauczono nas wyzbywać się nadziei i dlatego ginimy w gazie.

Patrz, w jakim oryginalnym świecie żyjemy: jak mało jest w Europie ludzi, którzy nie zabili człowieka! I jak mało jest ludzi, których by inni ludzie nie pragnęli zamordować!

A my tęsknimy do świata, w którym jest miłość drugiego człowieka, spokój od ludzi i odpoczynek od instynktów. Widać takie jest prawo miłości i młodości.



PS - ale przedtem, wiesz, tobym tak zarznął jednego i drugiego, tak na rozładowanie kompleksu obozowego, kompleksu zdejmowania czapki, beczynnego patrzenia na bitych i mordowanych, kompleksu strachu przed obozem. Boję się jednak, że ten kompleks na nas ciąży. Nie wiem, czy przeżyjemy, ale chciałbym, abyśmy kiedyś umieli nazywać rzeczy ich właściwym imieniem, jak czynią ludzie odważni.

## VI

Od paru dni mamy w południowych godzinach rozrywkę stałą: oto z bloku fur Deutsche<sup>47</sup> wymaszerowuje kolumna ludzi i ze śpiewem Morgen nach Heimat<sup>48</sup> obchodzi kilkakrotnie obóz. Dyryguje lager-altester i podaje laską Schritt und Tritt<sup>49</sup>.

Są to kryminaliści, czyli „ochotnicy” do wojska. Wyciągnięto wszystkie zielone winkle i co lżejszych wysłał na front. Taki, co to zarznął żonę i teściową, a kanarka na świeży luft wypuścił, żeby się ptaszek w klatce nie męczył, ma szczęście, bo zostanie. Na razie jednak są w kupie.

Ćwiczą ich w marszu i czekają, czy też wykażą oni zrozumienie życia społecznego, czy nie. Oni zaś wykazują społeczność, jak mogą. Są tu zaledwie parę dni razem, a już włamali się do magazynu, nakradli paczek, rozbili kantynę i zdemolowali puff (w związku z czym ówże znowu ku powszechnemu żalowi zamknięto) - po co, powiadają bardzo mądrze, mamy iść tłuc się i łba nadstawiać dla esmanów, kiedy nam tu dobrze? Vaterland<sup>50</sup> vaterlandem, zginie i bez nas, a kto nam będzie buty czyścił na froncie i czy tam są młode chłopaczki?

Idzie więc taka wataha przez drogę i śpiewa Jutro do domu. Wszyscy sławni zabijacy, jeden sławniejszy od drugiego: Seppel, postrach dachdeckerów<sup>51</sup>, ten, który bezlitośnie każe pracować na deszczu, śniegu i mrozie i zrzuca z dachu za źle przybity gwóźdź;

Arno Böhm, numer 8, wieloletni blokowy, kapo i lagerkapo, ten, który zabijał sztubowych, jeśli sprzedawali herbatę, i bił po dwadzieścia pięć za każdą minutę spóźnienia i każde słowo wymówione po wieczornym gongu; ten sam, który starym rodzicom we Frankfurcie pisywał krótkie, ale wzruszające listy o rozłące i powrocie. Poznajemy ich wszystkich: ten bił na DAW, ten - to postrach Buny, ów ciapa, ale, gdy był chory, czynił wyprawy do budy blokowego po tytoń, aż zбитy na perskie oko wyrzucony został na lager i

---

<sup>47</sup> Fur Deutsche (niem.) - dla Niemców

<sup>48</sup> Morgen nach Heimat (niem.) - Jutro w rodzinne strony, piosenka żołnierska

<sup>49</sup> Schritt und Tritt (niem.) - tu: krok, tempo

<sup>50</sup> Vaterland (niem.) - ojczyzna

<sup>51</sup> Dachdecker (niem.) - dekarz

dostał jakieś nieszczęsne komando w swe złodziejskie łapy. Idą w szeregu znani pederaci, alkoholicy, narkomani, sadyści - a na samym końcu idzie Kurt, elegancko ubrany, rozgląda się wokół, gubi krok i nie śpiewa. Ostatecznie pomyślałem, to ten, który Cię dla mnie odnalazł i nosił nam listy, zbiegłem więc w te pędy na dół, złapałem go za hals i powiadam:

- Kurt, pewnie jesteś głodny, przyjdź, ochotniku-kryminalisto, na górę - i pokazałem okno należące do nas.

Jakoż pod wieczór zjawił się u nas, wprost na obiad, nawarzony w piecu o majolikowych kaflach. Kurt jest bardzo miły (brzmi to egzotycznie, ale o inne określenie trudno) i umie dobrze opowiadać. Chciał kiedyś być muzykiem, ale ojciec, bogaty sklepikarz, wyrzucił go z domu. Kurt wyjechał do Berlina, poznał tam dziewczynę, córkę jakiegoś innego sklepikarza, żył z nią, pisywał do gazet sportowych, wpadł na miesiąc do ula za burdę ze Stahihelmem<sup>52</sup>, a potem się na oczy nie pokazał dziewczynie. Zdobył wóz sportowy i szmuglował dewizy. Na jakimś spacerze spotkał swoją dziewczynę, ale się jej nie śmiał przypomnieć. Potem jeździł do Austrii i Jugosławii, aż złapali i wsadzili. A że recydywa (ów nieszczęsny miesiąc), więc po więzieniu do obozu, czekaj końca wojny.

Zapada wieczór, na lagrze jest już po apelu. Siedzimy w paru przy stole i opowiadamy. Wszędzie się opowiadało: idąc po drodze na komando, wracając do obozu, przy łopacie i lorze<sup>53</sup>, wieczorem na pryczy, stojąc na apelu. Opowiadamy powieści i opowiadamy życie. I to, i tamto spoza drutów. Dziś nam zebrało się na obóz, może dlatego że Kurt niedługo z niego wyjedzie.

- Właściwie o obozie nikt dokładnie nic nie wiedział. Trochę bzdur o bezcelowej pracy, np. zrywanie i układanie asfaltu albo rozgarnianie piasku. No i oczywiście to, że jest okropnie. Gadki chodziły między ludźmi. Ale Bogiem a prawdą, człowiek tym wszystkim za bardzo się nie interesował. I tak wiadomo, że jak wpadnie, to nie wyjdzie.

- Jakbyś przyjechał dwa lata temu, toby cię na pewno wiatr wywiał kominem - wtrącił sceptycznie Staszek, który tak świetnie organizuje.

Wzruszyłem ramionami z niechęcią.

- Albo i nie. Nie wywiał ciebie, toby nie wywiał i mnie. Ale wiecie, na Pawiaku był jeden z Auschwitzu.

- Pewnie na rozprawę przyjechał.

- Właśnie. Pytali my go, a on nic, jakby wody do ust. Tylko mówił: „Przyjedziecie, to

---

<sup>52</sup> Stahihelm (niem.) - niemiecka nacjonalistyczna organizacja kombatancka (1918-1935), miała własne bojówki

<sup>53</sup> Lora (z niem. Lorę) - platforma, wózek

zobaczycie. A teraz - co wam gadać. Jak do dzieci.”

- Bałeś się obozu?

- Bałem się. Wyjechaliśmy z Pawiaka rano. Samochodami na dworzec. Żle: słońce świeci w plecy. Znaczy, że na Zachodni. Auschwitz. Władowali nas do wagonów w tempie, a droga! Jechaliśmy według alfabetu, po sześćdziesięciu w wagonie, nawet nie było tłoku.

- Klamoty wzięłeś?

- Pewnie, że wzięłem. Pled i bonzurkę od narzeczonej, i dwa prześcieradła.

- Frajer, trzeba było kolegom zostawić. Nie wiedziałeś, że wszystko zabiorą?

- Szkoda było. Potem wyjęliśmy wszystkie gwoździe z jednej ściany, wyrwaliśmy deski i fraka! Ale na dachu był karabin maszynowy, od razu utłukł trzech pierwszych. Ostatni wychylił łeb z wagonu i dostał kulę w kark. Pociąg od razu zatrzymano, a my w ką! Wrzask, krzyk, piekło! Trzeba było nie uciekać! Tchórze! Zabijają nas! I przekleństwa, ale jakie!

- Nie gorsze niż z babskiego lagru.

- Nie, nie gorsze. Ale zawsze mocne. A ja siedziałem pod kupą ludzi na samym dnie. Myślę: dobrze, jak będą strzelać, to nie mnie pierwszego. I dobrze, bo strzelali. Puścili w kupę serię, zabili dwóch, a trzeciego ranili w bok. I los, aus, bez rzeczy! No, myślę, teraz kaput! Nic, tylko w czapę! Trochę mi się żal zrobiło bonzurki, bo miałem w niej Biblię, i rozumiecie, zawsze od narzeczonej.

- Pled, zdaje się, też był od narzeczonej?

- Był. Też mi go było żal. Ale nic nie wzięłem, bo mnie zrzucili ze stopni. Nie macie pojęcia, jak wielki jest świat, gdy człowiek wyleci z zamkniętego wagonu! Niebo wysokie...

- ... niebieskie...

- Właśnie, niebieskie, drzewa aż pachną, las, że w ręce brać! Naokoło esmani, automaty w łapach. Czterech odprowadzili na bok, a nas zagonili do drugiego wagonu. Jechaliśmy stu dwudziestu, trzech zabitych, i jeden ranny. Mało cośmy się nie udusili w wagonie. Było tak duszno, że z sufitu lała się woda, ale dosłownie. Ni jednego okienka, nic, wszystko zabite deskami. Krzyczeliśmy za powietrzem i za wodą, ale jak zaczęli strzelać, tośmy się uspokoili od razu. Potem zwaliliśmy się na podłogę i leżeliśmy jak porzniete prosiaki. Zdjąłem z siebie sweter, potem dwie koszule. Ciało opływało potem. Z nosa ciekła powoli krew. W uszach szumiało. Tęskniłem do Oświęcimia, bo znaczyło to świeże powietrze. Gdy otworzono drzwi na rampie, z pierwszym łykiem odzyskałem zupełnie siły. Noc była kwietniowa, wygwieżdżona, zimna. Nie czułem zimna, choć naciągnąłem na siebie zupełnie mokrą koszulę. Ktoś z tym objął mnie i pocałował. „Bracie, bracie” - zaszeptał. W czarnej, przyziemnej ciemności szeregami błyszczały światła obozu. Nad nimi rwał się

niespokojny rudy płomień. Ciemność zbiegała się ku niemu. Zdawało się, iż płonie na niebotycznej górze. „Krematorium” - przeleciało szeptem po szeregach.

- Ale zavalasz, widać, żeś poeta - rzekł z uznaniem Witek.

- Szliśmy do obozu niosąc trupy. Słyszałem za sobą ciężkie oddechy ludzi i myślałem, że za mną idzie moja narzeczona. Raz po raz głuche uderzenia. Tuż przed bramą dostałem bagnetem w udo. Nie bolało, tylko zrobiło się bardzo ciepło. Krew spływała wzdłuż uda i łydki. Po paru krokach zdrętwiały mięśnie i zacząłem kuleć. Eskortujący esman uderzył jeszcze paru przede mną i rzekł, gdy wchodziliśmy w kratowaną bramę obozu:

- Tu będziecie mieli dobry odpoczynek.

To było w czwartek w nocy. A w poniedziałek poszedłem na komando, siedem kilometrów od obozu. Na Budy, nosić telegraficzne słupy. Noga bolała jak sto choler. Ale odpoczynek jest, i to dobry!

- A z tego nic - rzekł Witek - bo Żydzi jeżdżą jeszcze gorzej. I nie masz czym się chwalić. Zdania były podzielone i co do jazdy, i co do Żydów.

- Żydzi, wiecie, jacy są Żydzi! - dorwał się Staszek do głosu. - Zobaczysz, oni jeszcze geszeft zrobią na tym swoim obozie! Oni i w krematorium, i w getcie, a rodzoną matkę sprzeda za miskę brukwi! Stoimy kiedyś z rana na arbeitskomando, koło nas sonder, chłopcy jak byki, zadowolone z życia, bo jakże? Przy mnie mój przyjaciel, Mojsze, ten od gryzioków. On z Mławy i ja z Mławy, wiecie, jak to jest, przyjaciele i handlarze, pewność i zaufanie. „Co u ciebie, Mojsze? Coś taki nieswój?” „Dostałem fotografię swojej rodziny”. „To czego się martwisz, to dobrze”. „Żeby ty się wściekł z takim dobrze, ja ojca do komina posłałem!” „Nie może być!” „Może, bo posłałem. Przyjechał z transportem, zobaczył mnie przed komorą, zaganiałem ludzi, rzucił mi się na szyję, zaczął mnie całować i pytać, co to będzie i że on jest głodny, bo dwa dni jadą bez jedzenia. A tu komandoführer krzyczy, żeby nie stać, że trzeba pracować! Co miałem robić? «Idź, ojciec - mówię - wykąp się w łaźni, a potem pogadamy, widzisz, że teraz nie mam czasu.» I ojciec poszedł do komory. A zdjęcia wyciągnąłem potem z ubrania. I powiedz, gdzie tu jest dobrze, że mam fotografie?”

Roześmieliśmy się. Swoją drogą, dobrze, że Aryjczyków teraz nie gazują. Wszystko, byle nie to.

- Gazowali dawniej - rzekł „tutejszy” flegger, który się do nas zawsze przysiadł. - Ja na tym bloku jestem od dawna i dużo pamiętam. Ile przez moje ręce przeszło ludzi do gazu, kolegów i znajomych z jednego miasta! Już człowiek nawet twarzy nie pamięta. Ot, zwyczajnie - masa. Ale jeden wypadek będę pamiętał chyba przez całe życie. Byłem wtedy fleggerem w ambulansie. Opatrunków za bardzo delikatnie nie robię, wiadomo, czasu nie ma

na dyrdymałki. Pogmera się w łapie czy na plecach, czy tam gdzie jeszcze, lignina, bandaż i won! Następny! Nawet człowiek na twarz nie spojrzy. Nikt też nie dziękuje, bo nie ma za co. Ale raz zrobiłem opatrunek jakiejś flegmony, a ktoś mi od drzwi mówi: „Spasibo<sup>54</sup> panie flegler!” Takie to blade, mizerne, ledwo trzyma się na opuchniętych nogach. Poszedłem go odwiedzić i zaniósłem mu zupy. Miał flegmonę prawego pośladka, potem całego uda, kieszeń ropną. Cierpiał okropnie. Płakał i mówił o matce. „Cicho bądź - mówiłem mu - my przecież też mamy matki, a nie płaczemy”. Pocieszałem go, jak mogłem, bo skarżył się, że nie wróci. Cóż mu mogłem dać? Miskę zupy i czasem kawałek chleba. Ukrywałem Toleczkę, jak mogłem, przed wybiórkami, ale raz go znaleźli, zapisali. Przyszedłem zaraz do niego. Był w gorączce. Mówił do mnie: „To nic, że idę do gazu. Tak widać trzeba. Ale jak się skończy wojna i ty przeżyjesz...” „Nie wiem, Toleczka, czy przeżyję” - przerwałem mu. „Przeżyjesz - dorzucił z uporem - i pojedziesz do mojej matki. Po wojnie na pewno nie będzie granic, nie będzie państw, nie będzie obozów, ludzie nie będą się zabijać. Wied' eto poslednij boj - rzekł z naciskiem. - Poślednij, rozumiesz?<sup>55</sup> - „Rozumiem” - odrzekłem. „Pojedziesz do mojej matki i powiesz jej, że zginąłem. Żeby nie było granic. Ani wojny. Ani obozów. Powiesz?” „Powiem”. „Zapamiętaj: moja matka mieszka w Dalniewostocznym Kraju, gorod Chabarowsk, ulica Lwa Tolstowo dwadcat' piat', powtórz”. Powtórzyłem. Poszedłem do blokowego, Szarego, który mógł jeszcze Toleczkę wyciągnąć z listy. Strzelił mnie w pysk i wyrzucił z budy. Toleczka poszedł do gazu. Szary w parę miesięcy później pojechał w transport. Na odjezdnym prosił o papierosy. Poszczułem, żeby nikt mu nie dał. Nie dali. Może źle zrobiłem, bo jechał na wykończenie do Mauthausen. A adres matki Toleczki zapamiętałem dobrze: Dalniewostocznyj Kraj, gorod Chabarowsk, ulica Lwa Tolstowo...

Milczeliśmy. Zaniepokojony Kurt spytał, co się stało, ponieważ on i tak nic z rozmowy nie rozumie. Witek mu streścił:

- Gadamy o obozie i czy świat będzie lepszy. Mógłbyś i ty co opowiedzieć.

Kurt popatrzył na nas z uśmiechem i rzekł powoli, abyśmy wszyscy zrozumieli:

- Ja opowiem bardzo krótko. Jak byłem w Mauthausen, złapano tam dwóch uciekinierów, akurat w Wigilię. Postawiono szubienicę na placu, koło wielkiej choinki. Cały obóz był zebrany na apelu, gdy ich wieszano. Na choince akurat zapalono światła. Wtedy wystąpił lagerführer, zwrócił się do więźniów i zakomenderował:

- Häftlinge, Mützen ab!<sup>56</sup>

---

<sup>54</sup> Spasibo (ros.) - dziękuję

<sup>55</sup> Wied' eto poslednij boj (...) rozumiesz (ros.) - To ostatni bój (...) rozumiesz

<sup>56</sup> Häftlinge, Mützen ab (niem.) - więźniowie, czapki zdjąć

Zdjęliśmy czapki. Lagerführer rzekł na tradycyjną przemowę wigilijną:

- Kto się zachowuje jak świnia, będzie jak świnia traktowany. Häftlinge, Mützen auf!<sup>57</sup> Założyliśmy czapki.

- Rozejść się! Rozeszliśmy się.

Zapaliliśmy papierosy. Milczeliśmy. Każdy myślał o swoich rzeczach.

## VII

Gdyby opadły ściany baraków, tysiące ludzi zbitych, stłamszonych na pryczach zawisłoby w powietrzu. Byłby to widok wstrętniejszy niż średniowieczne obrazy sądów ostatecznych. Najbardziej wstrząsa człowiekiem widok drugiego człowieka śpiącego na swoim kawałku buksy, miejsca, które musi zajmować, bo ma ciało. Ciało wykorzystali, jak się da: wytatuowali na nim numer, żeby zaoszczędzić obroży, dali tyle snu w nocy, żeby człowiek mógł pracować, i tyle czasu w dzień, aby zjadł. I jedzenia tyle, żeby bezproduktywnie nie zdechł. Jedno jest tylko miejsce do życia: kawałek pryczy, reszta należy do obozu, do państwa. Ale ani ten kawałek miejsca, ani koszula, ani łopata nie jest twoja. Zachorujesz, odbiorą ci wszystko: ubranie, czapkę, przemycony szalik, chusteczkę do nosa. Jak umrzesz - wyrwą ci złote zęby, już poprzednio zapisane w księgi obozu. Spalą, popiołem wysypią pola albo osuszą stawy. Co prawda marnotrawią przy spalaniu tyle tłuszczu, tyle kości, tyle mięsa, tyle ciepła! Ale gdzie indziej robią z ludzi mydło, ze skóry ludzkiej abażury, z kości ozdoby. Kto wie, może na eksport dla Murzynów, których kiedyś podbijają?

Pracujemy pod ziemią i na ziemi, pod dachem i na deszczu, przy łopacie, lorze, kilofie i łomie. Nosimy wory z cementem, układamy cegły, tory kolejowe, grodzimy grunta, depczemy ziemię... Zakładamy podwaliny jakiejś nowej, potwornej cywilizacji. Teraz dopiero poznałem cenę starożytności. Jaką potworną zbrodnią są piramidy egipskie, świątynie i greckie posągi! Ile krwi musiało spłynąć na rzymskie drogi, wały graniczne i budowle miasta! Ta starożytność, która była olbrzymim koncentracyjnym obozem, gdzie niewolnikowi wypalano znak własności na czole i krzyżowano za ucieczkę. Ta starożytność, która była wielką złączy ludźmi wolnych przeciw niewolnikom!

Pamiętasz, i jak lubiłem Platona. Dziś wiem, że kłamał. Bo w rzeczach ziemskich nie odbija się ideał, ale leży ciężka, krwawa praca człowieka. To myśmy budowali piramidy, rwali marmur na świątynie i kamienie na drogi imperialne, to myśmy wiosłowali na galerach i ciągnęli sochy, a oni pisali dialogi i dramaty, usprawiedliwiali ojczyznami swoje intrygi,

---

<sup>57</sup> Häftlinge, Mützen auf (niem.) - więźniowie, czapki włożyć

walczyli o granice i demokracje. Myśmy byli brudni i umierali naprawdę. Oni byli estetyczni i dyskutowali na niby.

Nie ma piękna, jeśli w nim leży krzywda człowieka. Nie ma prawdy, która tę krzywde pomija. Nie ma dobra, które na nią pozwala.

Cóż wie starożytność o nas? Zna przebiegłego niewolnika z Terencjusza i Plauta, zna trybunów ludowych Grakchów i imię jednego tylko niewolnika - Spartakusa.

Oni robili historię i byle zbrodniarza - Scypiona, byle adwokata - Cycera czy Demostenesa, pamiętamy doskonale. Zachwycamy się wycięciem Etrusków, wybiciem Kartaginy, zdradami, podstępem i łupiestwem. Prawo rzymskie! I dziś jest prawo!

Co będzie o nas wiedzieć świat, jeśli zwyciężą Niemcy? Powstaną olbrzymie budowle, autostrady, fabryki, niebotyczne pomniki. Pod każdą cegłą będą podłożone nasze ręce, na naszych barkach będą noszone podkłady kolejowe i płyty betonu. Wymordują nam rodziny, chorych, starców. Wymordują dzieci.

I nikt o nas wiedzieć nie będzie. Zakrzyczą nas poeci, adwokaci, filozofowie, księża. Stworzą piękno, dobro i prawdę. Stworzą religię.

Trzy lata temu były tu wioski i osiedla. Były pola, drogi polne i grusze na miedzach. Byli ludzie, którzy nie byli lepsi ani gorsi od innych.

Potem przyszliśmy my. Wygnaliśmy ludzi, rozbiliśmy domy, zrównaliśmy ziemię, umiesiliśmy ją na błoto. Postawiliśmy baraki, płoty, krematoria. Przywlekliśmy ze sobą świerzb, flegmonę i wszy.

Pracujemy w fabrykach i kopalniach. Dokonujemy olbrzymiej pracy, z której ktoś ciągnie niesłychany zysk.

Dziwne są dzieje tutejszej firmy Lenz. Firma ta wybudowała nam obóz, baraki, hale, magazyny, bunkry, kominy. Obóz wypożyczał jej więźniów, a SS dawało materiały. Przy rozliczeniu rachunek okazał się tak fantastycznie milionowy, że za głowę złapał się nie tylko Auschwitz, ale sam Berlin. Panowie, powiedziano, to niemożliwe, za dużo zarobiliście, aż tyle a tyle milionów! A jednak, odrzekła firma, oto są rachunki. No tak, rzekł Berlin, ale my nie możemy. To połowę, zaproponowała patriotyczna firma. Trzydzieści procent, potargował się jeszcze Berlin, i na tym stanęło. Od tego czasu wszystkie rachunki firmy Lenz są odpowiednio obcinane. Lenz nie martwi się jednak: jak wszystkie firmy niemieckie powiększa kapitał zakładowy. Zrobił na Oświęcimiu olbrzymi interes i spokojnie czeka końca wojny. Tak samo firma Wagner i Continental od wodociągów, firma Richter od studzien, Siemens od oświetleń i drutów elektrycznych, dostawcy cegły, cementu, żelaza i drzewa, wytwórcy części barakowych i ubrań pasiastych. Tak samo olbrzymia firma samochodowa

Union, tak samo zakłady rozbiórki szmelcu DAW. Tak samo właściciele kopalń w Mysłowicach, Gliwicach, Janinie, Jaworznie. Ten z nas, który przeżyje, musi kiedyś zażądać równoważnika tej pracy. Nie pieniędzy, nie towaru, ale twardej, kamiennej pracy.

Kiedy ludzie chorzy i ci po pracy idą spać, rozmawiam z Tobą z daleka. Widzę w ciemności Twoją twarz i choć mówię z goryczą i nienawiścią obcą Tobie, wiem, że słuchasz uważnie.

Jesteś wprzęgnięta w mój los. Tyle tylko, że masz dłonie nie do kilofa i ciało nie przyzwyczajone do świerzbu. Wiąże nas nasza miłość i miłość bezgraniczna tych, co pozostali. Tych, co żyją dla nas i stanowią nasz świat. Twarze rodziców, przyjaciół, kształty przedmiotów, które pozostały. I jest to najdroższe, czym możemy się dzielić: przeżycie! I choćby nam zostawiono tylko ciała na szpitalnej pryczy, będzie jeszcze przy nas nasza myśl i nasze uczucie.

I sądzę, że godność człowieka naprawdę leży w jego myśli i w jego uczuciu.

## VIII

Nie masz pojęcia, jak jestem szczęśliwy. Przede wszystkim - długi elektryk. Chodzę do niego co rano z Kurtem (bo to jego znajomy) i oddajemy listy do Ciebie. Elektryk, fantastycznie stary numer, tysiąc z małym okładem, obładowuje się kiełbasami, woreczkami z cukrem, bielizną damską, a gdzieś do buta wkłada kupę listów. Elektryk jest łysy i nie ma zrozumienia dla naszej miłości. Elektryk się krzywi na każdy list, który mu przynoszę. Elektryk powiada, gdy chcę elektrykowi wręczyć papierosy:

- Kolego, u nas, w Auschwitzu, nie bierze się za listy! A odpowiedź, jak będę mógł, to przyniosę.

Jakoż wieczorem idę do niego. Następuje procedura odwrotna: elektryk sięga do buta, wyciąga kartkę od Ciebie, oddaje mi i krzywi się niechętnie. Bo elektryk nie ma zrozumienia dla naszej miłości. I na pewno nie lubi bunkra, klatki o wymiarach metr na półtora. Ponieważ elektryk jest bardzo długi i byłoby mu w bunkrze niewygodnie.

Więc przede wszystkim - długi elektryk. Po drugie zaś - ślub Hiszpana. Bronił Hiszpan Madrytu, uciekł do Francji i przywieźli go do Oświęcimia. Jak to Hiszpan: miał jakąś Francuzkę, a z nią dziecko. Jak dziecko nieźle podrosło, a Hiszpan wciąż w obozie, Francuzka w krzyk, że chce ślubu! Więc podanie do samego H., H. oburzył się: Taki nieporządek w nowej Europie, natychmiast dać im ślub!

Przywleczono Francuzkę z dzieckiem do obozu, z Hiszpana na gwałt ściągnięto



pasiaki, dopasowano elegancki, przez samego kapę pralni wyprasowany garnitur, z bogatych zbiorów obozowych dobrano starannie krawaty do skarpetek i dano ślub.

Potem szli nowożeńcy do zdjęcia: ona z synkiem i bukietem hiacyntów na ręku, a on z nią pod pachę. Za nimi orkiestra in corpore<sup>58</sup> za orkiestrą zaś wściekły esman od kuchni:

- Ja wam meldung zrobię, że gracie w czasie pracy zamiast obierać kartofle! Mnie zupa stoi bez kartofli! Ja wszystkie śluby mam w...

- Cicho... - zaczęli go uspokajać inni dostojnicy. - Berlin kazał. A zupa może być przecież bez kartofli.

Nowożeńców tymczasem sfotografowano i odstąpiono im na noc poślubną apartamentu pufu, który wygnano na dziesiątkę. Nazajutrz Francuzkę odesłano do Francji, a Hiszpana w pasiaczkach na komando.

Cały zaś obóz chodzi, jakby kija połknął.

- U nas, w Auschwitzu, to nawet śluby dają.

Więc przede wszystkim - długi elektryk. Po drugie - ślub Hiszpana. Po trzecie zaś - kończymy kursy. Niedawno skończyły je fleggerki z FKL. Żegnaliśmy je muzyką kameralną. Zasiadły wszystkie u okna dziesiątego bloku, a z okien naszego grały im wyjątki z orkiestry: bęben, saksofon i skrzypce. Najcudowniejszy jest saksofon: łka i płacze, śmieje się i błyska!

Szkoda, że Słowacki nie znał go, na pewno zostałby saksofonistą dla bogactwa jego wyrazu.

Najpierw kobiety, a teraz my. Zebraliśmy się na stryszku, przyszedł lagerarzt Rhode (ten „porządny”, co nie robi różnicy między Żydami a Aryjczykami), przyszedł, popatrzył na nas i nasze opatrunki, powiedział, że jest bardzo zadowolony i że teraz na pewno będzie u nas, w Auschwitzu, lepiej. I prędko wyszedł, bo stryszek zimny.

U nas, w Auschwitzu, żegnają nas dziś przez cały dzień. Franz, ten od Wiednia, zrobił mi ostateczny wykład o sensie wojny. Trochę zacinając się, mówił o ludziach, którzy pracują, i o ludziach, którzy niszczą. O zwycięstwie pierwszych i o klęsce drugich. O tym, że się bije za nas towarzysz z naszego pokolenia z Londynu i Uralska, z Chicago i Kalkuty, z łądu i wyspy. O nadchodzącym braterstwie ludzi tworzących. „Oto - myślałem - rodzi się mesjanizm wśród zniszczenia i śmierci, zwykła droga ludzkiej myśli”. Potem Franz rozłożył swoją paczkę, którą właśnie dostał z Wiednia, i piliśmy wieczorną herbatę. Śpiewał Franz pieśni austriackie, a ja mówiłem wiersze, których on nie rozumiał.

U nas, w Auschwitzu, dali mi na drogę trochę lekarstw i parę książek. Wtłamsiłem je

---

<sup>58</sup> In corpore (łac.) - w komplecie, wszyscy razem

do paczki pod jedzenie. Wyobraź sobie - myśli Anioła Ślązaka. Więc jestem szczęśliwy, bo wszystko do kupy: długi elektryk, ślub Hiszpana, kończymy kursy. Po czwarte zaś - dostałem wczoraj listy z domu. Długo mnie szukały, ale znalazły.

Od prawie dwu miesięcy nie miałem znaku życia z domu i niepokoiłem się strasznie, bo tu wieści są fantastyczne o stosunkach w Warszawie, począłem pisać już rozpaczliwe listy i właśnie wczoraj, pomyśl tylko! dwa listy: jeden od Staszka i jeden od brata.

Staszek pisze słowami bardzo prostymi, jak człowiek, który w obcym języku pragnie oddać treść od serca. „Lubimy cię i pamiętamy o tobie, pisze, i pamiętamy też o Tuście, twojej narzeczonej. Żyjemy, pracujemy i tworzymy.” Żyją, pracują i tworzą, tylko Andrzej zginął i Wacek „nie żyje”.

Jakże to fatalne, że ci dwaj najzdolniejsi z pokolenia, o największej pasji tworzenia, że właśnie ci musieli zginąć!

Wiesz, jak ostro stałem przeciw nim: ich imperialnej koncepcji budowania żarłocznego państwa, ich nieuczciwości w rozumowaniu społecznym, ich teoriom sztuki narodowej, ich filozofii mętnej jak sam mistrz Brzozowski, ich praktyce poetyckiej, czołem bijącej o mur Awangardy, ich stylowi życia świadomego i nieświadomego zakłamania.

I dziś, gdy oddziela nas próg dwu światów, próg, który i my przekroczymy, podejmuję ten spór o sens świata, styl życia i oblicze poezji. I dziś zarzucę im ugięcie się wobec sugestywnych idei potężnego, zaborczego państwa, podziw dla zła, którego wadą jest to, że nie jest naszym złem. I dziś zarzucę im bezideowość poezji, nieobecność w niej człowieka, nieobecność w niej poety.

Ale widzę ich twarze przez próg innego świata i myślę o nich, o chłopcach z mego pokolenia, i czuję, że pustka wokół nas robi się coraz większa. Odeszli tak niesłuchanie żywi, tak ze środka dzieła, które budowali. Odeszli tak bardzo należący do tego świata. Żegnaj ich, przyjaciel z innej barykady. Oby na drugim świecie znaleźli prawdę i miłość, której tu nie spotkali!

... Ewa, ta, która tak pięknie mówiła wiersze o harmonii i gwiazdach, i o tym, że „jeszcze nie jest tak źle”, też rozstrzelana. Pustka, pustka coraz większa. Odchodzą dalsi i bliżsi i już nie o sens walki, ale o życie dla ludzi kochanych niech modlą się ci, którzy modlić się umieją.

Myślałem, że na nas się skończy. Że jak wrócimy, wrócimy do świata, który nie zaznał tej okropnej atmosfery dławiącej nas. Że tylko my zeszlismy na dno. Ale stamtąd ludzie odchodzą - wprost ze środka życia, walki, miłości.

Jesteśmy niewrażliwi jak drzewa, jak kamienie. I milczymy jak ścinane drzewa, jak

rąbane kamienie.

Drugi list jest od brata. Wiesz, jak serdeczne listy pisuje Julek do mnie. I teraz pisze mi, że myślą o nas, że czekają, że chowają wszystkie książki i wiersze...

Jak wrócę, na moich półkach bibliotecznych zastanę nowy swój tomik. „Są to wiersze o twojej miłości” - pisze brat. Myślę, że to symbolicznie splata się miłość nasza i poezja i że te wiersze, które pisane były tylko dla Ciebie i z którymi Cię aresztowano, to pewne już z daleka zwycięstwo. Wydano je - może jako pamiątkę po nas? Jestem wdzięczny przyjaźni ludzkiej, że zachowuje po nas - poezję i miłość i że nasze prawo do nich uznała.

I pisze mi jeszcze brat o Twojej Matce, że myśli ona o nas i wierzy, iż wrócimy i będziemy zawsze razem, bo takie jest prawo ludzkie.

... W pierwszej kartce, którą dostałem od Ciebie w parę dni po przyjeździe do obozu, pamiętasz, co mi pisałaś? Pisałaś, że jesteś chora i że jesteś zrozpaczona, bo mnie „wtrąciłaś” do obozu. Że gdyby nie Ty, to ja itd. A wiesz, jak to było naprawdę?

Było tak, że czekałem na umówiony Twój telefon od Marii. Po południu był u mnie komplet - jak zwykle w środę - zdaje się, że mówiłem coś o swojej pracy językowej, i zdaje się, że zgasła karbidówka.

Potem czekałem na Twój telefon. Wiedziałem, że musisz zadzwonić, bo przyrzekłaś. Nie dzwoniłaś. Nie pamiętam, czy byłem na obiedzie. Jeśli byłem, to wróciwszy, siedziałem znów przy telefonie, bałem się, że może z sąsiedniego pokoju nie usłyszę. Czytałem jakieś wycinki gazetowe i nowelę Maurois o człowieku, który ważył dusze po to, aby nauczywszy się zamykać ludzkie dusze w naczynia wiecznotrwałe, zamknąć w nie duszę swoją i kochanej kobiety. Ale zamknął tylko dusze dwu przygodnych cyrkowych błaznów, a jego dusza i dusza kobiety musiały się rozwiać we wszechświecie. Nad ranem zasnąłem.

Z rana poszedłem do domu, jak zwykle z teczką, z książkami. Zjadłem śniadanie, powiedziałem, że będę na obiedzie i że się bardzo śpieszę, wykręciłem psu ucho i poszedłem do Twojej Matki. Matka była zaniepokojona o Ciebie. Pojechałem tramwajem do Marii. Przypatrywałem się długo drzewom Łazienek, bo je bardzo lubię. Dla odprężenia poszedłem piechotą przez Puławską. Na schodach leżały niezwykle ilości niedopałków i jeśli dobrze pamiętam, ślady krwi. Ale może to sugestia. Podeszedłem do drzwi i zadzwoniłem umówionym znakiem. Otworzyli mężczyźni z rewolwerami w ręku.

Od tego czasu minął rok. Ale piszę to po to, abyś wiedziała, że nigdy nie żałowałem, iż jesteśmy razem. I nigdy nie myślę, że mogłoby być inaczej. Lecz myślę często o przyszłości. O życiu, którym będziemy żyć, jeżeli... O wierszach, które napiszę, o książkach, które będziemy czytać, o przedmiotach, które będą u nas. Wiem, że to są głupstwa, ale myślę

o nich. Mam nawet pomysł na nasz ekslibris. Będzie to róża rzucona na zamkniętą grubą księgę z wielkimi średniowiecznymi okuciami.

## IX

Wróciliśmy już. Poszedłem po staremu na swój blok, nasmarowałem chorych na kręcę herbata z mięty, a dziś z rana umyliśmy pospołu podłogę. Potem postąłem z mądrą miną koło doktora, który robił punkcję. Potem wziąłem dwa ostatnie zastrzyki prontosilu<sup>59</sup> i posyłam Tobie. Wreszcie nasz fryzjer blokowy (z cywila restaurator spod Poczty w Krakowie) Heniek Liberfreund uznał, że teraz to na pewno będę najlepszym flegerem wśród literatów.

Poza tym cały dzień łażę za listem do Ciebie. List do Ciebie - to te kartki, ale żeby doszły, gdzie trzeba, muszę mieć nogi. A o te nogi się staram. Wreszcie znalazłem jedną parę - w długich, czerwonych sznurowanych butach. Nogi mają poza tym czarne okulary, są barczyste i chodzą co dzień na FKL po trupy dzieci płci męskiej. Te bowiem muszą przejść przez naszą szrajbsztubę, naszą trupiarnię i nasz SDG<sup>60</sup> musi je własnoręcznie obejrzeć. Na porządku świat stoi, czyli mniej poetycznie - Ordnung muss sein<sup>61</sup>.

Więc nogi chodzą na FKL i są wcale dla mnie życzliwe. Same, powiadają, mają żonę na babskim i wiedzą, jak jest ciężko. Dlatego list zabiorą ot tak, dla przyjemności. A mnie też, jak się nadarzy okazja. List tedy wysyłam natychmiast, a sam staram się przyjść do Ciebie. Czuję się nawet w nastroju podróznym. Moi przyjaciele radzą wziąć pled i - podłożyć go, gdzie należy. Przy moim szczęściu i obozowej zaradności, słusznie rozumują, przy pierwszej wycieczce muszę wpaść. Chyba że pójdę pod opieką. Radziłem im wysmarować się balsamem peruwiańskim na świerzb.

I jeszcze rozglądam się po krajobrazie. Nie zmieniło się nic, tylko błota dziwnie przybyło. Wiosną pachnie. Będą się ludzie topić w błocie. Z lasu ciągnie raz zapach sosen, a raz dymu. Raz jadą samochody z łachami, a raz muzulmani z Buny. Raz obiad na efekty, a raz esmani na zmianę warty.

Nie zmieniło się nic. Że wczoraj niedziela, byliśmy na lagrze na kontroli wszy. Okropne są bloki obozowe zimą! Brudne buksy, wymiecione klepiska i zastarzały zapach ludzki. Bloki nabite ludźmi, ale wszy ani jednej. Nie darmo odwszenia trwają przez całe noce.

Wychodziliśmy już z bloków po skończonej kontroli, gdy na lager wróciło z kremosonderkomando. Szli odymieni, nalani tłuszczem, uginając się pod ciężkimi tobołami. Im

---

<sup>59</sup> Prontosil (łac.) - lek przeciwbakteryjny

<sup>60</sup> SDG (z niem. Sanitätsdienstgrade) - sanitariusz SS

<sup>61</sup> Ordnung muss sein (niem.) - porządek musi być

wolno wszystko przynosić prócz złota, lecz tego szmuglują najwięcej.

Spod bloków wyrwały się grupki ludzi, wpadały w maszerujące szeregi i porywały upatrzone pakunki. Krzyki, przekleństwa i razy kotłowały się w powietrzu. Wreszcie sonder znikło w bramie swego, odgradzonego od reszty obozu murem, podwórza. Zaraz jednak chyłkiem poczęli się wymykać Żydzi na handel, na organizację i w odwiedzin.

Zahaczyłem jednego z nich, przyjaciela z naszego byłego komanda. Ja zachorowałem i poszedłem na KB<sup>62</sup>. On miał więcej „szczęścia” i poszedł do sonder. Zawsze lepiej niż łopata robić o misce zupy. Wyciągnął serdecznie rękę.

- A, to ty? Potrzebujesz czego? Jak masz jabłka...

- Nie, jabłek nie mam dla ciebie - odrzekłem przyjaźnie. - Nie umarłeś jeszcze, Abramek? Co słychać?

- Nic ciekawego. Czeski my zagazowali.

- To wiem i bez ciebie. A osobiście?

- Osobiście? Jakie u mnie może być „osobiście”? Komin, blok i znowu komin? Albo ja mam tu kogo? A, chcesz wiedzieć - osobiście: wykombinowali my nowy sposób palenia w kominie. A wiesz jaki?

Byłem bardzo uprzejmie ciekaw.

- A taki, że bierzemy cztery dzieciaki z włosami, przytykamy głowy do kupy i podpalamy włosy. Potem pali się samo i jest gemacht<sup>63</sup>.

- Winszuję - rzekłem sucho, bez entuzjazmu. Roześmiał się dziwnie i popatrzył mi w oczy:

- Te, fleger, u nas, w Auschwitzu, my musimy bawić się, jak umiemy. Jak by szło inaczej wytrzymać?

I wsadziwszy rękę w kieszeń odszedł bez pożegnania. Ale to jest nieprawda i groteska, jak cały obóz, jak cały świat.

---

<sup>62</sup> KB (z niem. Krankenbau) - szpital, rewir

<sup>63</sup> Gemacht (niem.) - zrobione

## LUDZIE, KTÓRZY SZLI

Najpierw budowaliśmy na pustym polu, leżącym za barakami szpitala, boisko do piłki nożnej. Pole leżało „dobrze” - z lewa cygański z jego wałęsającą się dzieciarnią, kobietami siedzącymi po ustępach i ślicznymi, wysztyftowanymi na ostatnią nitkę flegerkami, z tyłu - drut, za nim rampa z szerokimi torami kolei, wciąż zapelniona wagonami, a za rampą obóz kobiecy. Właściwie nie żaden obóz kobiecy. Tak się nie mówiło. Mówiło się FKL - i wystarczy. Z prawa od pola były krematoria, jedno za rampą, obok FKL-u, drugie bliżej, tuż przy drucie. Solidne budynki, mocno osadzone w ziemi. Za krematoriami lasek, którym szło się do białego domku.

Budowaliśmy boisko wiosną i jeszcze przed jego skończeniem poczęliśmy siać pod oknami kwiatki i wykładać tłuczoną cegłą czerwone szlaczki naokoło bloków. Siało się szpinak i sałatę, słoneczniki i czosnek. Zakładało się trawniczki z wycinanej koło boiska murawy. Podlewało się to co dzień wodą przywożoną beczkami z obozowej umywalni.

Kiedy podlewane kwiatki podrosły, skończyliśmy boisko.

Teraz kwiatki rosły same, chorzy sami leżeli w łózkach, a myśmy grali w nożną. Co dzień po rozdaniu wieczornych porcji na boisko przychodził kto chciał i kopał piłkę. Inni szli pod druty i rozmawiali przez całą szerokość rampy z FKL-em.

Raz stałem na bramce. Była niedziela, spory tłumek flegerów i podleczonej chorych otoczył boisko, ktoś po nim uganiał się za kimś i na pewno za piłką. Stałem na bramce - tyłem do rampy. Piłka poszła na aut i potoczyła się aż pod druty. Pobiegłem za nią. Podnosząc ją z ziemi, spojrzałem na rampę.

Na rampę zjechał właśnie pociąg. Z towarowych wagonów poczęli wysiadać ludzie i szli w kierunku lasu. Z daleka widać było tylko plamy sukienek. Widocznie kobiety były już ubrane w letnie stroje, pierwszy raz w tym sezonie. Mężczyźni zdjęli marynarki i świecili białymi koszulami. Pochód szedł wolno, dołączali do niego ciągle nowi ludzie z wagonów. Wreszcie się zatrzymał. Ludzie usiedli na trawie i patrzyli w naszą stronę. Wróciłem z piłką i wybiłem ją w pole. Przeszła od nogi do nogi i wróciła łukiem pod bramkę. Wybiłem ją na korner. Potoczyła się w trawę. Znow poszedłem po nią. I podnosząc z ziemi znieruchomiałem: rampa była pusta. Nie pozostał na niej ani jeden człowiek z barwnego, letniego tłumu. Wagony też odjechały. Widać było doskonale bloki FKL-u. Pod drutami znow stali flegerzy i krzyczeli pozdrowienia dla dziewcząt, które z drugiej strony rampy odkrzykiwały im.

Wróciłem z piłką i podałem na róg. Między jednym a drugim kornerem za moimi plecami zagazowano trzy tysiące ludzi.

Potem ludzie poczęli iść dwiema drogami do lasu: drogą wprost z rampy i tą drugą, z drugiej strony naszego szpitala. Obie wiodły do krematorium, ale niektórzy mieli szczęście iść dalej, aż do zauny, która dla nich nie oznaczała tylko łaźni i odwszenia, fryzjerni i nowych, pofarbowanych na olejno łachów, lecz również życie. Zapewne, życie w obozie, ale - życie.

Kiedy wstawałem z rana do mycia podłogi, ludzie szli - tą i tamtą drogą. Kobiety, mężczyźni i dzieci. I nieśli tłumoki.

Kiedy siadałem do obiadu, lepszego, niż jadałem w domu - ludzie szli - tą i tamtą drogą. W bloku było dużo słońca, pootwieraliśmy na oścież drzwi i okna, pokropiliśmy podłogę, aby nie było kurzu. Po południu przynosiłem paczki z magazynu, które były przywożone jeszcze z rana z głównej poczty, z obozu. Pisarz roznosił listy. Doktorzy robili opatrunki, zastrzyki i punkcje. Mieli zresztą jedną strzykawkę na cały blok. W ciepłe wieczory siadałem w drzwiach bloku i czytałem Monfrere Yves Pierre'a Loti - a ludzie szli i szli - tą i tamtą drogą.

Wychodziłem nocą przed blok - w ciemności świeciły lampy nad drutami. Droga leżała w mroku, lecz słyszałem wyraźnie oddalony gwar wielu tysięcy głosów - ludzie szli i szli. Z lasu podnosił się ogień i rozświetlał niebo, a wraz z ogniem podnosił się ludzki krzyk.

Patrzyłem w głąb nocy, otępiały, bez słowa, bez ruchu. Wewnątrz mnie całe ciało drgało i burzyło się bez mego udziału. Nie panowałem już nad nim, choć czułem każde jego drgnienie. Byłem zupełnie spokojny, ale ciało buntowało się.

Niedługo potem poszedłem ze szpitala na obóz. Dnie były pełne wielkich wydarzeń. Na wybrzeżu Francji lądowały wojska sprzymierzone. Miał się ruszyć front rosyjski i podejść aż pod Warszawę.

Lecz u nas w nocy i w dzień czekały na stacji szeregi pociągów załadowane ludźmi. Odmykano im wagony i ludzie poczynali iść - tą i tamtą drogą.

Obok naszego obozu roboczego był nie zamieszkały i nie wykończony odcinek C. Gotowe stały tylko baraki i ogrodzenia z na-elektryzowanego drutu. Ale nie było papy na dachach, a niektóre bloki nie miały prycz. Przy pryczach trzypiętrowych końskie bloki obozu w Birkenau mogły pomieścić do pięciuset ludzi. Na odcinku C włączano do tych bloków po tysiąc i więcej młodych dziewcząt, wybranych z tych ludzi - którzy szli. Dwadzieścia osiem bloków - ponad trzydzieści tysięcy kobiet. Kobiety te ostrzyżono do skóry, ubrano w letnie sukieneczki bez rękawków. Bielizny nie dostały. Ani łyżki, ani miski, ani szmaty do ciała.

Birkenau leżało na mokradłach u podnóża gór. W dzień doskonale było je widać przez przejrzyste powietrze. Rano tonęły we mgle i zdawały się być oszronione, ponieważ ranki były niezwykle zimne i nasiąknięte mgłą. Ranki te orzeźwiały nas przed upalnym dniem, ale kobiety, które o dwadzieścia metrów na prawo stały od piątej rano na apelu, były zsiniałe od zimna i tuliły się do siebie jak stado kuropatw.

Nazwaliśmy ten obóz Perskim Rynkiem. W dni pogodne kobiety wychodziły z bloków i kłębiły się na szerokiej drodze między blokami. Barwne letnie suknie i kolorowe chusteczki zakrywające gołe głowy sprawiały z daleka wrażenie jaskrawego, ruchliwego, gwarnego rynku. Przez swoją egzotyczność - perskiego.

Z daleka kobiety nią miały ani twarzy, ani wieku. Tylko białe plamy i pastelowe postacie.

Perski Rynek nie był obozem gotowym. Komando Wagner budowało na nim drogę z kamienia, którą ubijał wielki walec. Inni gmerali przy kanalizacji i umywalniach, świeżo zakładanych na wszystkich odcinkach Birkenau. Jeszcze inni kładli podwaliny pod dobrobyt odcinka: zwozili kołdry, koce, naczynia blaszane i skrzętnie składali je do magazynu do dyspozycji szefa, zarządzającego esmana. Oczywiście, część z tych rzeczy natychmiast szła na obóz, rozkradana przez pracujących tam ludzi. Tyle zresztą było pożytku z tych wszystkich kołder, koców i naczyń, że można je było ukraść.

Wszystkie dachy nad budami blokowych na całym Perskim Rynku zostały pokryte przeze mnie i moich towarzyszy. Nie czyniono tego z nakazu ani przez litość. Kryliśmy bowiem zorganizowaną papą i lepiliśmy zorganizowaną smołą. Nie robiliśmy tego również przez solidarność ze starymi numerami, flegerkami z FKL-u, które objęły tu wszystkie funkcje. Każdą rolkę papy, każdy kubeł smoły blokowe musiały zapłacić. Kapie, komandoführerowi, prominentom z komanda. Zapłacić różnie: złotem, żywnością, kobietami z bloku, sobą. Jak która.

Tak samo, jak myśmy łatali dachy, elektrycy zakładali światło, stolarze robili budy i sprzęty do bud z zorganizowanego drzewa, a murarze przynosili ukradzione żelazne piecyki i murowali, gdzie trzeba.

Wtedy poznałem oblicze tego dziwnego obozu. Przychodziliśmy z rana pod jego bramę, pchając przed sobą wózek z papą i smołą. Na bramie stały wachmanki, biodrzaste blondyny w wysokich butach z cholewami. Blondyny rewidowały nas i wpuszczały do środka. Później szły same na kontrolę bloków. Niejedna z nich miała swoich kochanków wśród murarzy i cieśli. Oddawały się im w nie wykończonych umywalniach albo w budach blokowych.



Potem wjeżdżaliśmy w głąb obozu między jakieś bloki i tam na placu rozpalaliśmy ogień i gotowaliśmy smołę. Kobiety natychmiast oblegały nas tłumem. Błagały o scyzoryk, chusteczkę do nosa, łyżkę, ołówek, kawałek papieru, sznurówkę, chleb.

- Wy przecież jesteście mężczyznami i możecie wszystko - mówiły. - Tak długo żyjecie w tym obozie i nie umarliście. Na pewno macie wszystko. Dlaczego nie chcecie podzielić się z nami?

Rozdawaliśmy im wszystkie drobiazgi, wywracaliśmy kieszenie na znak, że już nic nie mamy. Zdejmowaliśmy koszule dla nich. W końcu zaczęliśmy przychodzić z pustymi kieszeniami i nie dawaliśmy nic.

Te kobiety nie były jednakowe, jak wydawało się nam z perspektywy drugiego odcinka, o dwadzieścia metrów na lewo stąd.

Były wśród nich maleńkie dziewczynki z nie obcięzonymi włosami, zaplątane cherubinki na obrazie sądu ostatecznego. Były młode dziewczęta patrzące ze zdumieniem na tłum kobiet koło nas i z pogardą na nas, na szorstkich, brutalnych mężczyzn. Były mężatki rozpaczliwie proszące nas o wiadomości o zaginionych mężach, były matki szukające u nas śladu po swoich dzieciach.

- Nam jest tak źle, zimno, jesteśmy głodne - płakały - czy tylko im jest lepiej?

- Im jest na pewno lepiej, jeżeli istnieje sprawiedliwy Bóg - odpowiadaliśmy poważnie, bez zwykłych kpín i szyderstwa.

- Lecz przecież nie umarli? - pytały się kobiety, patrząc nam niespokojnie w oczy.

Odchodziliśmy w milczeniu, śpiesząc się do swojej pracy. Blokowymi na Perskim Rynku były Słowaczki, znające język tych kobiet. Dziewczęta te miały za sobą po parę lat obozu. Pamiętały początki FKLL-u, kiedy trupy kobiet leżały pod wszystkimi blokami i gnily nie wynoszone ze szpitalnych łózek, a kał ludzki potwornymi stosami gromadził się w blokach.

Mimo zewnętrznej szorstkości zachowały kobiecą miękkość i - dobroć. Pewnie, miały swoich kochanków i tak samo kradły margarynę i konserwy, aby zapłacić za przywiezione koce albo sukieneczki z efektów, ale...

...ale pamiętam Mirkę, tęgą, miłą dziewczynę w kolorze różowym. Budę miała urządzoną też na różowo i różowe firaneczki w oknie wychodzącym na blok. Powietrze w budzie osiadało różowym refleksem na twarzy i dziewczyna wydawała się jakby osnuta delikatnym welonem. Kochał się w niej Żyd z naszego komanda, który miał zepsute zęby. Żyd kupował dla niej świeże jajka, zebrane z całego obozu, i opakowane miękko rzucał przez druty. Spędzał z nią długie godziny, nie zważając ani na kontrolę esmanek, ani na naszego

szefa, który chodził z olbrzymim rewolwerem przytroczonym do letniego białego munduru. Szefa zwaliśmy słusznie Filipkiem, bo wyrastał, gdzie go nie posiali.

Któregoś dnia Mirka podbiegła pod dach, na którym kładliśmy papę. Kiwnęła ręką na Żyda i krzyknęła do mnie:

- Niech pan zjeździe! Może i pan coś pomoże!

Zsunęliśmy się z dachu po drzwiach bloku. Chwyliła nas za ręce i pociągnęła do siebie. Wprowadziła między prycze i wskazując na barłóg pełen kolorowych kołder i na dziecko leżące pośrodku rzekła z afektacją:

- Patrzcie, przecież ono niedługo umrze! Powiedzcie, co ja mam robić? Dlaczego ono tak nagle zachorowało?

Dziecko spało bardzo niespokojnie. Było jak róża w złotym otoku: rozpalone policzki i złota aureola włosów.

- Jakie ładne dziecko - szepnąłem cicho.

- Ładne! - krzyknęła Mirka - pan wie, że ładne! Ale ono może umrzeć! Muszę je ukrywać, żeby nie poszło do gazu. Esmanka może je znaleźć. Pomóżcie mi!

Żyd położył jej rękę na ramieniu. Otrząsnęła się gwałtownie i zaczęła łkać. Wzruszyłem ramionami i wyszedłem z bloku.

Z daleka widać było wagony idące wzdłuż rampy. Przywoziły nowych ludzi, którzy będą szli. Drogą między odcinkami wracała do wagonów jedna grupa Kanady i minęła drugą, która szła na zmianę. Z lasu podnosił się dym. Usiadłem koło gotującego się kotła i mieszając smołę, myślałem długo. W pewnej chwili złapałem się na myśli, że chciałbym mieć takie dziecko o rumianych we śnie policzkach i rozrzuconych włosach. Roześmiałem się z niedorzecznej myśli i poszedłem na dach przybijając papę.

Pamiętam również drugą blokową, wysokie, rude dziewczynisko o szerokich stopach i czerwonych dłoniach. Nie miała u siebie budy, tylko parę kocy rozłożonych na łóżku i parę zawieszonych na sznurkach zamiast ściany.

- Niech nie myślą - mówiła, wskazując kobiety leżące głowa przy głowie na pryczach - że człowiek ucieka od nich. Nic im nie mogę dać, ale nic od nich nie zabiorę.

- Wierzysz w życie pozagrobowe? - spytała mnie podczas jakiejś żartobliwej rozmowy.

- Czasami - odpowiedziałam powściągliwie. - Raz wierzyłem w więzieniu, a raz, kiedy byłem bliski śmierci w obozie.

- A jeśli człowiek zrobi źle, to będzie karany, prawda?

- Chyba tak, o ile nie ma jakichś wyższych norm sprawiedliwości niż ludzka.

Rozumiesz - ujawnienie sprężyn, pobudki wewnętrzne, nieważność winy wobec istotnego sensu świata. Czy zbrodnia popełniona na płaszczyźnie może być karana w przestrzeni?

- Ale tak po ludzku, normalnie! - krzyknęła.

- Powinna być ukarana, to jasne.

- A ty byś robił dobrze, jakbyś mógł?

- Nie szukam nagrody, ja kryję dachy i chcę przeżyć obóz.

- I myślisz, że ich - kiwnęła głową w nieokreślonym kierunku - nie trzeba karać?

- Myślę, że ludziom, którzy cierpią niesprawiedliwie, nie wystarczy sama sprawiedliwość. Chcą, żeby winowajcy też ucierpieli niesprawiedliwie. To odczują jako sprawiedliwość.

- Tyś jest mądry chłop! Ale zupy tobyś sprawiedliwie rozdać nie umiał, żeby nie dać swojej kochance! - rzekła z ironią i weszła w głąb bloku. Kobiety leżały piętrami na buksach, głowa przy głowie. W nieruchomych twarzach świeciły się wielkie oczy. W obozie zaczynał się już głód. Ruda blokowa łąziła między buksami i zagadywała kobiety, aby nie myślały. Wyciągała z buks śpiewaczki i kazała śpiewać. Tancerki i kazała tańczyć. Deklamatorki i kazała mówić wiersze.

- Ciągle, ciągle pytają mnie, gdzie są ich matki, ojcowie. Proszą, żeby do nich napisać.

- Mnie też proszą. Trudno.

- Ciebie! Ty przyjdiesz i pójdziesz, a ja? Proszę ich, błagam, która ciężarna, niech się nie zgłasza do lekarza, która chora, niech siedzi w bloku! Myślisz, że wierzą? Przecież człowiek chce tylko ich dobra. Ale jak im pomóc, kiedy same pchają się do gazu!

Jakaś dziewczyna śpiewała na piecu modny przebój. Gdy skończyła, kobiety z buks zaczęły klaskać. Dziewczyna uśmiechała się i kłaniała. Ruda blokowa chwyciła się za głowę.

- Ja już nie mogę dłużej! Przecież to wstrętne - syknęła i wskoczyła na piec. - Złaź! - krzyknęła do dziewczyny. Na bloku zrobiło się cicho. Blokowa podniosła rękę.

- Cicho! - krzyknęła, choć nikt nie wymówił słowa. - Pytałyście mnie, gdzie są wasi rodzice i wasze dzieci. Nie mówiłam wam, bo mi was żal. Teraz wam powiem, żebyście wiedziały, bo i z wami zrobią to samo, jeśli zachorujecie! Wasze dzieci, mężowie i rodzice nie są wcale w innym obozie. Zapchali ich do piwnicy i udusili gazem! Rozumiecie, gazem! Jak miliony innych, jak moich rodziców! Oni palą się na stosach i w krematoriach. Ten dym, który widzicie nad dachami, to wcale nie z cegielni, jak wam mówią. To z waszych dzieci! A teraz śpiewaj dalej - rzekła spokojnie do wystraszonej śpiewaczki, zeskoczyła z pieca i wyszła z bloku.

Wiadomo, że Oświęcim i Birkenau szły od złego do dobrego. Najpierw bili i zabijali

na komandach nagminnie, potem sporadycznie. Najpierw ludzie spali na podłodze bokiem i obracali się na komendę, potem na pryczach, jak kto chciał, i nawet pojedynczo na łózkach. Wpierw ludzie stali po dwa dni na apelu, potem tylko do drugiego gongu, do godziny dziewiątej. W pierwszych latach nie wolno było przysyłać paczek, później pozwolono na pięćset gramm, wreszcie - ile chcesz. Nie wolno było mieć kieszeni, później pozwolono nawet na ubrania cywilne na terenie Birkenau. W obozie było „coraz lepiej”. Po trzech czy czterech latach nikt nie wierzył, że mogłoby być po dawnemu, i był dumny, że przeżył. Im gorzej Niemcom na froncie, tym lepiej jest w obozie. A że im będzie coraz gorzej...

Na Perskim Rynku czas cofnął się wstecz. Oglądaliśmy znowu Oświęcim z czterdziestego roku. Kobiety pożądliwie chęptały zupę, której u nas na blokach nikt nie jadł. Śmierdziały potem i krwią kobiecą. Od godziny piątej rano stały na apelu. Zanim je policzono, była prawie dziewiąta. Wtedy dostawały zimną kawę. O trzeciej po południu zaczynały apel wieczorny i dostawały kolację: chleb i dodatki do chleba. Ponieważ nie pracowały, nie przysługiwała im culaga - dodatek za pracę.

Czasem wypędzano je z bloków w dzień na apel nadprogramowy. Ustawiały się ciasno piątkami i jedna za drugą wchodziły do bloku. Rozłożyły blondyny, esmanki w butach z cholewami, wyciągały z szeregów chudsze, brzydsze, brzuchate i wrzucały do środka „oka”. „Oko” - były to sztubowe trzymające się za ręce. Tworzyły zamknięte koło. Napelnione kobietami „oko” posuwało się jak makabryczny taniec pod bramę obozu i wsiąkało w „oko” ogólne. Pięćset, sześćset, tysiąc wybranych kobiet. Szły wszystkie - tą drogą.

Czasami wchodziła esmanka na blok. Rozglądała się po buksach, kobieta patrząca na kobiety. Pytała, kto chce iść do lekarza? która jest ciężarna? dostaną mleko i biały chleb w szpitalu.

Wychodziły kobiety z buks i ogarnięte „okiem” szły pod bramę - też na tę drogę.

Wolny czas, robiło się, aby dzień zeszedł, bo materiału było mało, spędzaliśmy na Perskim Rynku u blokowych, pod blokami albo w ustępie... U blokowych piło się herbatę albo szło się przespać na godzinkę do budy na gościnnie użyczonym łóżku. Pod blokami rozmawiało się z cieślami i murarzami. Plątały się koło nich kobiety, już w sweterkach i pończoszkach. Przynieś byle jaką szmatę, to możesz z nimi zrobić, co chcesz. Jak obóz obozem, nie było takiej kanady na baby!

Ustęp jest wspólny dla mężczyzn i kobiet. Tyle że przedzielony deską. Po stronie kobiet - tłok i wrzask, u nas cisza i miły chłodek od betonowych urządzeń. Siedzi się tu całymi godzinami i prowadzi się długie dialogi miłosne z Katią, małą zgrabniutką sprzątaczką

z ustępu. Nikt się nie krępuje i nikomu sytuacja nie przeszkadza. Człowiek już tyle widział w obozie...

Tak minął czerwiec. Przez dni i noce ludzie szli - tą i tamtą drogą. Od świtu do późnej nocy stał cały Perski Rynek na apelu. Dnie były pogodne i smoła topiła się na dachach. Potem przyszły deszcze i wiał ostry wiatr. Ranki wstawały przenikliwie zimne. Potem wróciła pogoda. Na rampę nieprzerwanie podjeżdżały wagony i - ludzie szli dalej. Często staliśmy rano, nie mogąc wyjść do pracy, bo drogi były przez nich zatarasowane. Szli powoli, luźnymi gromadami i trzymali się za ręce. Kobiety, starcy, dzieci. Szli za drutami, zwracając ku nam milczące twarze. Patrzyli na nas z litością i rzucali nam chleb przez druty.

Kobiety zdejmowały z rąk zegarki i ciskały nam pod nogi, gestami pokazując, że możemy wziąć.

Orkiestra pod bramą grała fokstroty i tanga. Obóz patrzył na idących. Człowiek posiada małą skalę reagowania na wielkie uczucia i gwałtowne namiętności. Wyraża je tak samo jak drobne, zwykłe okruchy. Używa wtedy tych samych prostych słów.

- Iluż ich już przeszło? Od połowy maja prawie dwa miesiące, licząc po dwadzieścia tysięcy dziennie... Koło miliona!

- Nie co dzień gazowali tyle. Zresztą, cholera ich wie, cztery kominy i parę dołów.

- To weź inaczej: z Koszyc i Munkacza prawie sześćset tysięcy, co tu gadać, wszystkich przywieźli, a z Budapesztu? Ze trzysta tysięcy będzie?

- Nie wszystko ci jedno?

- Ja, ale chyba to się niedługo skończy? Przecież ich wszystkich wy tłuką.

- Nie zabraknie.

Człowiek wzrusza ramionami i patrzy na drogę. Za gromadą ludzi powolutku idą esmani, dobrotliwymi uśmiechami zachęcając do marszu. Pokazują, że to już niedaleko, i poklepują po ramieniu jakiegoś staruszka, który biegnie do rowu i gwałtownie ściągając spodnie kuca w nim.

Esman pokazuje mu oddalającą się gromadę. Staruszek kiwa głową, podciąga spodnie i śmiesznie podrygując, biegnie za nią.

Człowiek uśmiecha się ubawiony, widząc innego człowieka, któremu tak spieszo do komory gazowej.

Potem chodziliśmy na efekty smarować na nowo zaciekające dachy. Piętrzyły się tam góry łachów i nie wypaproszonych tłumoków. Skarby zabrane tym ludziom, którzy szli, leżały na wierzchu, nie przykryte ani od słońca, ani od deszczu.

Rozpalaliśmy ogień pod smołą i szliśmy na organizację. Jeden przynosił wiadro z

wodą, inny worek suszonych wiśni czy śliw, inny cukier. Gotowaliśmy kompot i nieśliśmy na dach, do picia tym, którzy markowali robotę. Inni smażyli boczek z cebulą i zagryzali chlebem z kukurydzy.

Kradliśmy wszystko, co było pod ręką, i nieśliśmy na obóz.

Z dachów doskonale widać było palące się stopy i pracujące krematoria. Tłum wchodził do środka, rozbierał się, a potem esmani zamykali szybko okna, szczelnie dokręcając śruby. Po paru minutach, które nie wystarczały nawet na porządne zasmarowanie kawałka papy, otwierali okna i drzwi z boku i wywietrzali. Przychodziło Sonderkommando i wywlekało trupy na stos. I tak od rana do wieczora - od nowa każdego dnia.

Czasami po zagazowaniu takiego transportu przyjeżdżały spóźnione auta z chorymi i pielęgniarkami. Nie opłacało się ich gazować. Rozbierano do naga i albo *oberscharführer*<sup>64</sup> Moll strzelał z floweru, albo spychał żywcem do płonącego rowu.

Kiedyś samochodem przyjechała młoda kobieta, która nie chciała odejść od matki. Rozebrano je obie w komorze, matka poszła przodem. Człowiek, który miał prowadzić córkę, zatrzymał się, uderzony cudowną pięknnością jej ciała, i w podziwiewie podrapał się po głowie. Kobieta na ten ludzki, prostaczy gest odprężyła się. Zacerwieniwszy się, chwyciła go za rękę:

- Powiedz, co oni ze mną zrobią?
- Bądź odważna - odrzekł człowiek, nie wyswobadzając ręki.
- Ja jestem odważna! Widzisz, nie wstydzę się ciebie! Powiedz!
- Pamiętaj, bądź odważna, chodź. Będę cię prowadził. Nie patrz tylko.

Ujął ja za rękę i powiódł, drugą ręką zasłaniając jej oczy. Trzask i woń palącego się tłuszczu i ciepło bijące z dołu przeraziły ją. Szarpnęła się. Ale on delikatnie pochylił jej głowę, odsłaniając kark. W tej chwili *oberscharführer* strzelił, prawie nie celując. Człowiek pchnął kobietę do płonącego rowu i gdy padała, usłyszał jej okropny, urywany krzyk.

Kiedy nappełnił się kobietami wybranymi z ludzi, którzy szli. Perski Rynek, obóz cygański, FKL, otwarto naprzeciwko Perskiego Rynku - nowy obóz, Meksyk. Był tak samo nie zagospodarowany i tak samo instalowano tam budy dla blokowych, światło i wstawiano szyby.

Dnie były podobne do dni. Ludzie wysiadali z wagonów i szli - tą i tamtą drogą.

Ci w obozie mieli swoje troski: czekali na paczki i listy z domu, organizowali dla przyjaciół i kochanek, intrygowali między innymi ludźmi. Noce zapadały po dniach, deszcze

---

<sup>64</sup> *Oberscharführer* (niem.) - stopień w SS odpowiadający starszemu sierżantowi w wojsku

przychodziły po suszy.

Z końcem lata przestały przychodzić pociągi. Coraz mniej ludzi szło do krematorium. Ci z obozu czuli z początku pewną pustkę. Potem przyzwyczaili się. Zresztą nadeszły inne ważne wydarzenia: ofensywa rosyjska, powstająca i płonąca Warszawa, transporty z obozu odchodzące co dzień na zachód, w nieznaną, na nową chorobę i śmierć, bunt w krematoriach i ucieczka Sonderkommanda, zakończona wystrzelaniem uciekinierów.

Potem rzucono człowieka z obozu do obozu, bez łyżki, bez miski, bez szmaty do ciała.

Pamięć ludzka przechowuje tylko obrazy. I dziś, kiedy myślę o ostatnim lecie Oświęcimia, widzę nie kończący się barwny tłum ludzi uroczyście zdążający - tą i tamtą drogą, kobietę stojącą z pochyloną głową nad płonącym rowem, rudą dziewczynę na tle ciemnego wnętrza bloku, która krzyczy do mnie niecierpliwie:

- Czy człowiek będzie karany? Ale tak po ludzku, normalnie! I jeszcze widzę przed sobą Żyda z zepsutymi zębami, jak przychodzi co wieczór pod moją buksę i podnosząc głowę, pyta się nieodmiennie:

- Dostałeś dzisiaj paczkę? Może sprzedasz jajka dla Mirki? Zapłacę markami. Ona tak lubi jajka.

## DZIEŃ NA HARMENZACH

### I

Cień kasztanów jest zielony i miękki. Kołysze się lekko po ziemi jeszcze wilgotnej, bo świeżo skopanej, i wznosi się nad głową seledynową kopułą pachnącą poranną rosą. Drzewa tworzą wzdłuż drogi wysoki szpaler, a czuby ich rozplywają się w kolorycie nieba. Odurzająca woń bagna ciągnie od stawów. Trawa zielona jak plusz srebrzy się jeszcze rosą, ale ziemia już paruje w słońcu. Będzie upał.

Lecz cień kasztanów jest zielony i miękki. Nakryty cieniem siedzę w piasku i wielkim francuskim kluczem dokręcam złączenia wąskotorowej kolejki. Klucz jest chłodny i dobrze leży w dłoni. Co chwila biję nim o szyny. Metaliczny, surowy dźwięk rozchodzi się po całych Harmenzach i powraca z daleka niepodobnym echem. Oparci na łopatach stoją koło mnie Grecy. Ale ci ludzie z Salonik i winnych stoków Macedonii boją się cienia. Stoją więc w słońcu, zdjęwszy koszule, i opalają niezmiernie chude barki i ramiona, pokryte świerzbem i wrzodami.

- Ależ pilnie pracujesz dzisiaj, Tadku! Dzień dobry! Nie jesteś głodny?

- Dzień dobry, pani Haneczko! Absolutnie nie. A poza tym walę mocno w szyny, bo nasz nowy kapo... Przepraszam, że nie wstaję z szyn, ale pani rozumie: wojna, Bewegung, Arbeit<sup>65</sup>...

Pani Haneczka uśmiecha się.

- Ależ naturalnie, że rozumiem. Nie poznałabym cię, gdybym nie wiedziała, że to ty. Pamiętasz, jak jadłeś kartofle w łupinach, które dla ciebie kradłam od kur?

- Jadłem! Ależ, pani Haneczko, ja się nimi zażerałem! Uwaga, esman od tyłu.

Pani Haneczka sypnęła parę garści zboża z sita zbiegającym się ku niej kurczakom, ale obejrawszy się, machnęła lekceważąco:

- Ach, to tylko nasz szef. Mam go w tym palcu.

- W takim małym? Strasznie dzielna z pani kobieta. - I z rozmachem wałnąłem kluczem w szyny, wybijając na jej cześć melodię:

La donna e mobile<sup>66</sup>.

- Ależ, człowieku, nie hałasuj! Może byś jednak naprawdę coś zjadł? Właśnie idę do dworu, to ci przyniosę.

---

<sup>65</sup> Bewegung, Arbeit (niem.) - ruch, praca

<sup>66</sup> La donna e mobile (wł.) - Kobieta zmienną jest, pieśń z opery Giuseppe Verdiego Rigoletto



- Pani Haneczko, najczulej dziękuję. Myślę, że dosyć mnie pani dokarmiła, jak byłem biedny...

- ... ale uczciwy - rzuciła z lekką ironią.

- ... a co najmniej niezaradny - odparowałem, jak umiałem.

- Ale a propos niezaradności: miałem dla pani dwa piękne mydła z najśliczniejszą, jaka może być, nazwą „Warszawa” i...

- i... ukradli jak zwykle?

- I ukradli jak zwykle. Jak nie miałem nic, to spałem spokojnie. Teraz, żeby nie wiedzieć jak owiązał paczki sznurkami i drutem, zawsze rozwiążą. Parę dni temu zorganizowali mi butelkę miodu, a teraz znów to mydło. Ale biedny będzie złodziej, jak go złapię.

Pani Haneczka roześmiała się na głos.

- Wyobrażam sobie. Aleś dziecko! Co do mydła masz się wcale nie martwić, dostałam dziś od Iwana dwa ładne kawałki. Ach, byłabym zapomniała, oddaj ten pakuneczek dla Iwana, to słonina - rzekła kładąc pod drzewem małe zawiniątko. - A tu, patrz, jakie ładne mydła.

Odwinęła papier, dziwnie znajomy. Podszedłem i przyjrzałem się dokładnie: na obu wielkich jak od Schichta kawałkach wytłoczona była kolumna i napis „Warszawa”.

Milcząc, oddałem jej zawiniątko.

- Rzeczywiście, ładne mydło.

Spojrzałem na pole ku rozrzuconym grupom pracujących ludzi. W ostatniej, aż koło kartofli, dostrzegłem Iwana: jak pies owczarek naokoło trzody czujnie obchodził swoją grupę ludzi, pokrzykiwał coś, czego z odległości nie było słyhać, i wymachiwał wielkim odartym z kory kijem.

- Ale biedny będzie złodziej - rzekłem, nie spostrzegłszy, że mówię w przestrzeń, bo pani Haneczka odeszła już i tylko z daleka rzuciła mi, odwracając na moment głowę:

- Obiad jak zwykle, pod kasztanami.

- Dziękuję!

I począłem znów dzwonić kluczami o szyny i dokręcać zluzowane śruby.

Pani Haneczka wzbudziła pewną sensację wśród Greków, gdyż przynosi im czasem kartofle.

- Pani Haneczka gut, extra prima. To twoja madonna?

- Ależ gdzie madonna! - obruszam się, tłukąc przez pomyłkę kluczem w palec - to

znajoma, no, camerade philos, compris<sup>67</sup>, Greco bandito?

- Greco niks bandito. Greco gut człowiek. Ale dlaczego ty nic od niej jeść? Kartofel, patatas?

- Nie jestem głodny, mam co jeść.

- Ty niks gut, niks gut - kręcił głową stary Grek, tragarz z Salonik, który zna dwanaście języków z południa - my jesteście głodni, wiecznie głodni, wiecznie, wiecznie...

Kościste ramiona przeciągają się. Pod oparszywiałą świerzbem i wrzodami skórą grają dziwnie wyraźnie, jakby oddzielone osobno, mięśnie, uśmiech łagodzi napięte rysy twarzy, ale czające się gorączki w oczach nie może zgasić.

- Jak jesteście głodni, to ją poproście. Niech wam przyniesie. A teraz pracujcie, laborancie, laborando, bo nudno z wami. Idę gdzie indziej.

- A właśnie, Tadeusz, że źle zrobiłeś - rzekł wysuwając się zza innych stary, gruby Żyd. Oparł łopatę o ziemię i stanąwszy nade mną, ciągnął: - Przecież i ty byłeś głodny, więc umiesz nas zrozumieć. Nic by ciebie nie kosztowało, żeby tak przyniosła z kubel kartofli.

Słowo kubel przeciągnął długo i marząco.

- Ty się, Beker, odczep ode mnie ze swoją filozofią i zajmij się lepiej ziemią i łopatą, compris. Ale żebyś wiedział: będziesz zdychał, to cię jeszcze dobiję, rozumiesz? A wiesz za co?

- Za cóż to?

- Za Poznań. A może to nieprawda, że byłeś lageraltesterem w żydowskim lagrze pod Poznaniem?

- No to co, że byłem?

- A zabijałeś ludzi? A wieszaleś ich na słupku za głupią ukradzioną kostkę margaryny albo za bochenek chleba?

- Wieszaleś złodziejów.

- Beker, mówią, że jest na kwarantannie twój syn. Ręce Bekera kurczowo ujęły trzon łopaty, a wzrok jego począł uważnie obejmować mój tułów, szyję, głowę.

- Ty, puść tę łopatę, nie patrz tak bojowo. Może to nieprawda, że to syn kazał ciebie zabić za tamtych z Poznania?

- Prawda - rzekł głucho. - A drugiego syna powiesiłem w Poznaniu, ale nie za ręce, tylko za szyję, bo ukradł chleb.

- Bydlę! - wybuchnąłem.

---

<sup>67</sup> Compris (franc.) - rozumiesz

Ale Beker, starszy, siwawy Żyd, skłonny nieco do melancholii, był już spokojny i opanowany. Popatrzył na mnie z góry, prawie z pogardą.

- Jak długo siedzisz w obozie?

- O... parę miesięcy.

- Wiesz, Tadeusz, bardzo cię lubię - rzekł niespodziewanie - ale ty głodu to tak naprawdę nie zaznałeś, co?

- Zależy, co to jest głód.

- Głód jest wtedy prawdziwy, gdy człowiek patrzy na drugiego człowieka jako na obiekt do zjedzenia. Ja już miałem taki głód.

Rozumiesz? - A gdy milczałem i tylko od czasu do czasu stukiałem kluczem o szyny i machinalnie oglądałem się na lewo i na prawo, czy nie idzie kapo, ciągnął: - Nasz lager - tam - był mały... Tuż obok drogi. Drogą chodzili ludzie ładnie ubrani, takie kobiety. Na przykład w niedzielę do kościoła. Albo młode pary. A dalej wieś, taka zwykła wieś. Tam ludzie mieli wszystko, o pół kilometra od nas. A myśmy brukiew... człowieku, u nas ludzie żywcem chcieli się zjadać! I co, miałem nie zabijać kucharzy, co za masło kupowali wódkę, a za chleb papierosy? Mój syn kradł, to go też zabiłem. Ja jestem tragarz, to znam życie.

Przyglądałem mu się ciekawie, jak nowemu człowiekowi.

- A ty, a ty też tylko swoją porcję jadłeś?

- To co innego. Ja byłem lageraltesterem.

- Uwważaj! Laborando, laborando, presto<sup>68</sup> - wrzasnąłem nagle, zza zakrętu drogi bowiem wynurzył się esman na rowerze i przejeżdżał obok nas, przyglądając się uważnie. Natychmiast pochyliły się niżej karki, wzniosły się ciężko trzymane w pogotowiu łopaty, uderzył o szyny francuski klucz.

Esman zniknął za drzewami, łopaty opadły i znieruchomiały. Grecy zapadli w zwykłe odrętwienie.

- Która godzina?

- Nie wiem. Do obiadu jeszcze daleko. A wiesz, Beker, powiem ci coś na odchodnym: dziś będzie na lagrze wybiórka. Mam nadzieję, że razem ze swoimi wrzodami pójdziesz do komina.

- Wybiórka? Skąd wiesz, że będzie...

- Cóż się tak wystraszył? Będzie, i tyle. Boisz się, co? Nosił wilk... - Uśmiecham się złośliwie, rad z pomysłu, i odchodzę, nucąc modne tango, zwane „krematoryjnym”. Puste

---

<sup>68</sup> Presto (wł.) - szybko

oczy człowieka, z których nagle uciekła wszelka treść, patrzą nieruchomo przed siebie.

## II

Szyny mojej kolejki ciągną się wzdłuż i wszerz po całym polu. Tu doprowadziłem je jednym końcem do kupy spalonych kości przewożonych przez auta z kremu, a drugi utopiłem w stawie, gdzie ostatecznie kości te lądują, ówdzie wyjechałem nimi na górę piasku, który będzie równomiernie rozproszony po polu, żeby dać suchy podkład zbyt bagnistej glebie, tam znów położyłem je wzdłuż wału trawiastej ziemi, która pójdzie na piasek. Tory chodzą tak i siak, a tam, gdzie się krzyżują, jest olbrzymia żelazna płyta obrotowa, którą przenosi się raz tu, raz tam.

Tłum półnagich ludzi otoczył ją, pochylił się i wczepił w nią palce.

- Hoooch, do góry! - wrzasnąłem, dla lepszego efektu podnosząc sugestywnie rękę jak dyrygent. Ludzie szarpnęli raz i drugi, ktoś przewalił się ciężko przez płytę, sam nie mogąc za bardzo ustać na nogach. Skopany przez towarzyszy, wyczołgał się z kręgu i podnosząc piaskiem i łzami uwalaną twarz znad ziemi, jęknął:

- Zu schwer, zu schwer... Za ciężkie, kolego, za ciężkie... - Wsadził rozharataną dłoń w usta, ssał chciwie.

- Do roboty, au. Wstawaj! Ano jeszcze raz Hooch. Do góry!

- Doguri! - zgodnym chórem powtarza tłum, pochyla się jak najniżej, wypina zębate jak u ryb łuki kręgosłupów, wypręża mięśnie tułowia. Ale ręce, przytknięte do płyt, zwisają luźne i bezwładne.

- Do góry!

- Doguri!

Nagle na ten krąg wyprężonych grzbietów, na zgięte karki, na pochylone aż ku ziemi głowy, na sflaczałe ręce posypał się grad uderzeń. Trzon łopaty bębnił, objął skórę na kościach i głucho stękał po brzuchu. Zakotłowało się naokoło płyty. Okropny wrzask ludzki buchnął nagle i urwał się, a płyta dźwignęła się do góry i chybocząc się ciężko, zawisła nad głowami ludzi i ruszyła, grożąc w każdej chwili upadkiem.

- Wy psy - rzucił odchodzącym kapo - ja będę wam ale pomagał.

Dysząc ciężko, przecierał ręką czerwoną, obrzękłą twarz o żółtych plamach i wodził za nimi roztargnionym, bezmyślnym spojrzeniem, jakby tych ludzi widział po raz pierwszy. Potem zwrócił się do mnie:

- Ty, kolejarz, gorąco dzisiaj?

- Gorąco. Kapo, tę płytę trzeba położyć przy trzecim inkubatorze, prawda? A szyny?

- Poprowadzisz prosto do rowu.

- Ale tam jest wał ziemi po drodze.

- To go przekop. Do południa musi być zrobione. A na wieczór zrobisz mi cztery pary noszy. Może się kogoś poniesie na lager. Gorąco dziś, co?

- Gorąco. Ale, kapo... Dalej, dalej z tą płytą! Do trzeciego domku! Kapo się patrzy!

- Kolejarz, daj mi cytrynę.

- Niech kapo przyśle do mnie pipla. Nie mam w kieszeni. Kiwa kilkakrotnie głową i odchodzi, kulejąc. Idzie na dwór, na wyżerkę. Ale wiem, że tam mu nic nie dadzą - bije ludzi. Kładziemy płytę. Straszliwym wysiłkiem dociąga się szyny, podważa kilofem, gołymi palcami dokręca się śruby. Głodne, gorączkowe postacie łążą nieporadne, zgonione, pokrwawione. Słońce wychodzi wysoko na niebo i grzeje coraz dokuczliwiej.

- Która godzina, kolego?

- Dziesiąta - mówię, nie podnosząc oczu od szyn.

- Boże, Boże, jeszcze dwie godziny do obiadu. Czy to prawda, że dziś będzie w obozie wybiórka, że pójdziemy do krematorium?

Już wszyscy wiedzą o wybiórce. Ukradkiem opatrują sobie rany, żeby były czystsze i mniejsze, zrywają bandaże, masują mięśnie, spryskują się wodą, żeby być świeższymi i rańniejszymi na wieczór. Walczą o byt ciężko i bohatersko. Innym jest wszystko jedno. Ruszają się, żeby uniknąć bicia, żrą trawę i lepłą glinę, aby nie czuć głodu, chodzą osowiali, jeszcze żywe trupy.

- My wszyscy - krematorium. Ale wszyscy Niemcy będą kaput. Wojna fini, wszyscy Niemcy - krematorium. Wszyscy: kobiety, dzieci. Rozumiesz?

- Rozumiesz, Greco gut. Ale to nieprawda, wybiórki nie będzie, keine Angst<sup>69</sup>.

Przekopuję wał. Lekka, poręczna łopata „sama” chodzi w dłoniach. Grudy wilgotnej ziemi poddają się łatwo i miękko wylatują w powietrze. Dobrze jest pracować, jak się zjadło na śniadanie ćwierć boczku z chlebem i czosnkiem i zapiło się puszką skondensowanego mleka.

W skąpym cieniu murowanego inkubatora kucnął kommandoführer, mały, wysuszony esmanek w rozchełstanej koszuli. Zmęczył się łażeniem wśród kopiających. Umie boleśnie smagać szpicrutą. Wczoraj ciał mnie dwa razy przez plecy.

- Gleisbauer<sup>70</sup>, co tam nowego słyhać? Śmigam łopatą i przybijam ziemię na

---

<sup>69</sup> Keine Angst (niem.) - nie ma strachu

<sup>70</sup> Gleisbauer (niem.) - robotnik kolejowy

wierzchu.

- Pod Orłem padło trzysta tysięcy bolszewików.

- To dobrze, nie? Jak myślisz?

- Pewnie, że dobrze. Bo tam zginęło drugie tyle Niemców. A bolszewicy będą za rok tutaj, jak tak dalej pójdzie.

- Tak myślisz? - uśmiecha się złośliwie i zadaje sakramentalne pytanie: - Daleko do obiadu?

Wyciągam zegarek, stary srebrny grat ze śmiesznymi rzymskimi cyframi. Lubię go, bo jest podobny do zegarka ojca. Kupiłem go za paczkę fig.

- Jedenasta.

Cherlak wstał spod muru i spokojnie wyjął mi go z ręki.

- Daj mi go. Bardzo mi się podoba.

- Nie mogę, bo to mój własny, z domu.

- Nie możesz? To nie.

Zamachnął się i cisnął zegarek o ścianę. Po czym siada znów w cieniu i podkula nogi.

- Gorąco dzisiaj, co?

Milcząc podnoszę zegarek i zaczynam gwizdać ze złości. Najpierw foks o wesołej Joannie, potem stare tango o Rebecce, potem Warszawiankę i Rotę, a wreszcie repertuar z lewej strony.

Właśnie gwizdałem Międzynarodówkę, wtórując w myśli: Eto budiet poslednij i rieszitielnyj boj<sup>71</sup> - gdy nagle przesłonił mnie wysoki cień i ciężka dłoń spadła mi na kark. Podniosłem głowę i zamarłem. Rozpościerała się nade mną olbrzymia, czerwona, obrzękła twarz, a trzon od łopaty niepokojąco chwiał się w powietrzu. Nieskazitelnie białe pasiaki odcinały się ostro od dalekiej zieleni drzew. Mały czerwony trójkąt z cyferką „3277” przyszyty do piersi chwiał się dziwnie i rozrastał w oczach.

- Co gwizdziesz? - spytał kapo, patrząc mi prosto w oczy.

- To taki bardzo międzynarodowy slogan, panie kapo.

- A znasz ten slogan?

- No... trochę... z rozmaitych stron - dodałem przezornie.

- A to znasz? - spytał.

I ochryplym głosem zaczął śpiewać Rotę Fahne<sup>72</sup>. Odrzucił trzon od łopaty, oczy załśniły mu niespokojnie. Nagle urwał, podniósł kij i pokiwał głową, pół z pogardą, a pół z

---

<sup>71</sup> Eto budiet poslednij i rieszitielnyj boj (ros.) - Bój to będzie ostatni..., fragment Międzynarodówki

<sup>72</sup> Rotę Fahne (niem.) - Czerwony sztandar, pieśń komunistyczna

politowaniem:

- Żeby to prawdziwy SS słyszał, już byś nie żył. Ale ten... Cherlak pod murem śmieje się szeroko i dobrodusznie:

- I wy to nazywacie katorgą! Trzeba było być jak ja na Kaukazie!

- Kommandoführer, już zasypaliśmy jeden staw kośćmi ludzkimi, a ile zasypano przedtem, a ile poszło do Wisły, tego ani pan, ani ja nie wiemy.

- Trzymaj pysk, świński psie - i wstał spod muru, sięgając po upuszczoną szpicrutę.

- Bierz ludzi i idź po obiad.

Rzucam łopatę i znikam za węglem inkubatora. Z daleka słyszę jeszcze głos kapy, ochryply i dychawiczy:

- Tak, tak, to są świńskie psy. Trzeba ich wszystkich wybić do nogi. Ma pan rację, panie kommandoführerze. Rzuciłem na nich nienawistne spojrzenie.

### III

Wychodzimy drogą prowadzącą przez Harmenze. Wysokie kasztany szumią, cień jest jeszcze zieleńszy, ale jakby suchszy. Jak wyschłe liście. Jest to cień południa.

Po wyjściu na drogę trzeba koniecznie przejść obok malutkiego domku o oknach z zielonymi okiennicami, które w środku mają niezgrabnie wycięte serduszka, i o białych, wpółzesuniętych firaneczkach. Pod oknami pną się delikatne róże o bladym, matowym kolorze, a w skrzyneczkach rosną jakieś dziwne fioletowe kwiateczki. Na schodach z ganeczkiem oplecionym ciemnozielonym bluszczem bawi się mała dziewczynka z wielkim mrukliwym psem. Pies, widocznie znudzony, daje się ciągnąć za uszy, tylko przekręca łbem, oganiając się od much. Dziewczynka jest w białej sukieneczce, ma opalone, brązowe ramiona. Pies jest rasy doberman, o brązowym podgardlu, a ta dziewczynka to córka unterscharführera<sup>73</sup>, gospodarza w Harmenze. A ten dworek z różyczkami i firaneczkami to jego dom.

Zanim się wyjdzie na drogę, trzeba przebyć parę metrów grząskiego, lepkiego błota, ziemi zmieszanej z trocinami i polewanej odkażającą substancją. To żeby nie przywlec żadnej zarazy na Harmenze. Obchodzę ostrożnie z boku to świństwo i wylazimy społem na drogę, gdzie rzędem poustawiane stoją kotły z zupą. Przywiózł je samochód z obozu. Każde komando ma swoje kotły oznaczone kredą. Obchodzę je dookoła. Zdążyliśmy na czas, nikt nam jeszcze nie ukradł. Trzeba samemu spróbować.

---

<sup>73</sup> Unterscharführer (niem.) - stopień w SS odpowiadający plutonowemu w wojsku

- Pięć naszych, dobrze, zabierać, te dwa rzędy należą do kobiet, nie wolno grandy robić. Aha, jest - monologuję głośno i ciągnę kocioł sąsiedniego komanda, a na jego miejsce podstawiam nasz, o połowę mniejszy, i kreślę nowe znaki kredą.

- Zabierać! - gromko wołam na Greków, którzy gapią się na proceder pełni zrozumienia.

- Te, coś kotły zamienił! Czekaj, stój! - wołają tamci, z drugiego komanda, którzy też już idą po obiad, tylko się spóźnili.

- Kto ci zamienił? Trzymaj pysk, człowieku!

Tamci biegną, ale Grecy, ciągnąc kotły po ziemi, stękając, klnąc po swojemu „putare” i „porka”, popychając i poganiając się wzajemnie, znikają za żerdzią oddzielającą świat od Harmenze. Przełażę za nimi ostatni, słyszę, jak tamci są już przy kotłach i klną mnie w żywy kamień, a moją rodzinę rozstawiają z uporem po kątach. Ale wszystko jest w porządku: dziś ja, jutro oni, kto pierwszy, ten lepszy. Nasz patriotyzm komandowy nie wychodzi nigdy poza ramy sportu.

Zupa bulgocze w kotłach. Grecy co parę kroków stawiają kotły na ziemi. Oddychają ciężko jak ryby wyrzucone na brzeg i ukradkiem zlizują palcami ciekącą wąziutkimi strugami spod nie dokręconych pokryw lepka, gorącą maź. Znam jej smak, zmieszany z kurzem, brudem i potem rąk, bo sam te kotły nie tak dawno nosiłem.

Stawiają kotły i wyczekująco patrzą mi w twarz. Podchodzę uroczyście do środkowego kotła, wolno odkręcam śruby, przez nieskończenie długie pół sekundy trzymam dłoń na pokrywie i - podnoszę. Kilkanaście par oczu gaśnie w zniechęceniu: pokrzywa. Rzadka, biała ciecz chlupie w kotle. Na powierzchni pływają żółte oka margaryny. Ale wszyscy poznają po kolorze, że pod spodem leżą całe, nie posiekane, włókniste łodygi pokrzyw, o zgniłym kolorze i ohydny zapachu, że zupa do samego dna jest taka sama: woda, woda, woda... Na moment świat ciemnieje w oczach dźwigających ludzi. Kładę pokrywę na kocioł. W milczeniu znosimy kotły na dół.

Wielkim łukiem obchodzę teraz pole ku grupie Iwana, który zdziera nawierzchnię łąki przy kartoflach. Długi rząd ludzi w pasiakach stoi nieruchomo przy czarnym wale ziemi. Od czasu do czasu ruszy się łopata, ktoś przegnie się, zamrze na chwilę w tym ruchu, wyprostuje się z wolna, dźwignie łopatę i zastygnie na długo w półobrocie, w nie dokończonym geście, jak zwierzę zwane leniwcem. Za chwilę poruszy się ktoś inny, machnie łopatą i zapadnie tak samo w bezwładne otępienie. Nie pracują rękoma, lecz oczami. Gdy pojawi się na horyzoncie esman lub kapo albo spod wnęki, gdzie panuje wilgotny cień świeżej ziemi, ciężko wygramoli się dozorca, łopaty szczękają żywiej, choć póki się da, latają puste, członki



poruszają się jak w kinie: śmiesznie, kanciasto.

Włażę wprost na Iwana. Siedzi w swej wnęce i kozikiem wyrzyna na korze grubego drąga ozdoby: kwadraty, wężyki, serduszka, ukraińskie napisy. Obok klęczał stary, zaufany Grek i pakował coś do jego torby. Zdążyłem jeszcze dostrzec białe, pierzaste skrzydło i czerwoną głowę gęsi, dziwnie wygiętą na grzbiet, gdy Iwan zobaczywszy mnie rzucił na worek marynarkę. Słonina przemiękła mi w kieszeni i mam brzydką plamę na spodniach.

- Od pani Haneczki - rzekłem krótko.

- Nie mówiła nic? Miała przynieść jajka?

- Kazała ci podziękować za mydło. Bardzo się jej podobało.

- To horoszo<sup>74</sup>. Ja je wczoraj kupił od Żyda z Kanady. Dałem trzy jajka.

Iwan rozwija słoninę. Jest wymiętoszona, rozparzona i żółta. Mdło mi się robi na jej widok, może dlatego, że zbyt wiele boczku zjadłem z rana i jeszcze mi się odbija.

- O, blad<sup>75</sup>! Za takie dwa kawałki tylko tyle dała? Ciasta ci nie dała? - Iwan patrzy na mnie podejrzliwie.

- A wiesz. Iwan, rzeczywiście dała ci za mało. Widziałem to mydło.

- Widziałeś je? - Iwan poruszył się niespokojnie we wnęce. - Trzeba iść, ludzi pognać do roboty.

- Widziałem. I za mało ci dała. Więcej ci się należy. Zwłaszcza ode mnie. Postaram ci się oddać.

Chwilę patrzemy sobie twardo w oczy.

#### IV

Nad samym rowem wyrósł tatarak, a po drugiej stronie, gdzie stoi głupi, wąsaty post z paru trójkątami wysłużonych lat na ramieniu, rosną maliny o bladych, jakby zakurzonych liściach. Dnem rowu biegnie mętna woda, panoszą się w niej jakieś zielone, oślizłe dziwotwory, czasem ze szlamem wygarnie się czarne, wijące się węgorza. Grecy zjadają go na surowo.

Rozkraczam się nad rowem i łopatą powoli przesuwam po dnie. Stoję ostrożnie, by nie zamoczyć butów. Post podchodzi bliżej, przygląda się w milczeniu.

- Co to będzie tu robione?

- Grobla, a potem oczyścimy rów, panie post.

- Skąd masz takie ładne buty?

---

<sup>74</sup> Horoszo (ros.) - dobrze

<sup>75</sup> Blad' (ros.) - przekleństwo

Buty mam istotnie ładne: na podwójnej podeszwie, ręcznie szytej, półbuty bardzo wymyślnie na modę węgierską dziurkowane. Przynieśli mi je przyjaciele z rampy.

- Dostałem w obozie razem z tą koszulą - odrzekłem wskazując mu na jedwabną koszulę, za którą dałem chyba z kilo pomidorów.

- Takie buty dają u was? Patrz, w jakich ja chodzę. Pokazuje mi buty zmarszczone i popękane. Na nosie prawego łąta. Kiwam w zrozumieniu głową.

- A nie sprzedałbyś mi tych swoich butów?

Podniosłem na niego wzrok pełen bezgranicznego zdziwienia.

- Jakżeż ja mogę sprzedać panu własność obozu? Jakżeż ja mogę?

Post opiera karabin o ławkę i podchodzi bliżej do mnie, przechylając się nad wodą, która odbija jego postać. Sięgnąłem łopata i zmąciłem obraz.

- Wszystko wolno, jak nikt nie widzi. Dostaniesz chleba, mam w chlebaku.

Chleba dostałem w tym tygodniu szesnaście bochenków z Warszawy. Poza tym za takie buty pół litra wódki murowane. Uśmiecham się więc wyrozumiale.

- Dziękuję, dostajemy w obozie takie porcje, że nie jestem głodny. Chleba i słoniny mam dosyć. Ale jeśli pan post ma chleba za dużo, to niech da tym Żydom, którzy pracują tam, przy wale. O, ten, co nosi darń - rzekłem wskazując na małego chudego Żydka o kaprawych, załzawionych oczach - to bardzo porządny chłopak. Zresztą te buty nie są dobre: zelówka się odrywa. - W zelówce istotnie jest szpara: chowa się tam czasem parę dolarów, czasem parę marek, czasem jakiś list. Post zagryza wargi i patrzy na mnie ze ściągniętymi brwiami.

- Za co ciebie zamknęli?

- Szedłem ulicą, była łapanka. Złapali, zamknęli i przywieźli. Zupełnie niewinnie.

- Wy wszyscy tak mówicie!

- O nieprawda, nie wszyscy. Mego przyjaciela aresztowali za to, że fałszywie śpiewał, rozumie pan post, falsch gesungen.

Łopata, którą bez przerwy poruszam po dnie mulistego rowu, zaczepiła się o coś twardego. Szarpnię: drut. Klnę brzydko pod nosem, a post ogłupiały patrzy na mnie.

- Was falsch gesungen?<sup>76</sup>

- O, to cała historia. Raz w Warszawie, gdy podczas nabożeństwa śpiewano pieśni kościelne, mój przyjaciel zaczął śpiewać hymn narodowy. A że śpiewał bardzo fałszywie, więc go zamknęli.

---

<sup>76</sup> Was falsch gesungen (niem.) - co fałszywie śpiewał

I powiedzieli, że dotąd nie wypuszczą, aż się nauczy nut. Bili go nawet, ale nic z tego, będzie pewnie siedział aż do końca wojny, bo jest zupełnie niemuzykalny. Raz nawet pomylił marsz niemiecki z marszem Chopina.

Post syknął coś i odszedł w stronę ławki. Usiadł, podniósł w zadumie karabin i bawiąc się zamkiem zarepetował. Podniósł głowę, jakby coś sobie przypominając.

- Ty, warszawiak, chodź, dam ci chleb, oddasz go Żydom - rzekł sięgając po torbę.

Uśmiecham się najprzyjemniej, jak tylko umiem. Po tamtej stronie rowu ciągnie się linia wart i postom wolno strzelać do ludzi. Za łebek dostają trzy dni urlopu i pięć marek.

- Niestety, nie wolno nam tam chodzić. Ale jeśli pan post chce, to proszę rzucić chleb, ja naprawdę złapię.

Staję w wyczekującej pozycji, ale post odkłada nagle torbę na ziemię, zrywa się i melduje przechodzącemu dowódcy warty, że „wszystko bez szczególnych wydarzeń”.

Janek, który pracuje obok mnie, takie miłe dziecko Warszawy, które nic z obozu nie rozumie i chyba do końca nie zrozumie, wygarnia pracowicie szlam, układając go równo i starannie po drugiej stronie, prawie wprost pod nogi posta. Dowódca warty podszedł bliżej i popatrzył na nas tak, jak się patrzy na parę koni, które ciągną wóz, albo na pasące się bydło. Janek uśmiecha się szeroko w jego stronę i kiwa porozumiewawczo głową.

- Rów oczyszczamy, panie rottenführer<sup>77</sup>, bardzo dużo błota. Rottenführer<sup>77</sup> ocknął się i spojrzał na mówiącego więźnia ze zdziwieniem takim, jak patrzy się na pociągowego konia, który nagle przemówi, albo na pasącą się krowę, która zacznie śpiewać modne tango.

- Chodź no tu - rzekł do niego.

Janek odłożył łopatę, przeskoczył rów i podszedł. Wtedy rottenführer podniósł rękę i trzasnął go z całej siły w twarz. Janek potoczył się, chwycił się krzaków malin i wjechał do szlamu. Zabułgotała woda, ja zakrztusiłem się śmiechem. Rottenführer zaś rzekł:

- G... mnie obchodzi, co ty tu robisz nad rowem! Możesz nic nie robić. Ale jak mówisz do SS-mana, to masz czapkę zdjąć ze łba i opuścić ręce. - Rottenführer odszedł. Pomogłem Jankowi wyleźć z błota.

- Ale za co ja dostałem, za co, za co? - spytał zdumiony, nic nie rozumiejący.

- Nie pchaj się na ochotnika - odrzekłem - a teraz się oczyść. Kończymy właśnie szlamowanie rowu, gdy nadszedł pipel od kapa. Sięgam po chlebak, przekładam bochenek chleba, słoninę i cebulę. Wyciągam cytrynę. Post z drugiej strony przygląda się milcząco.

- Pipel, chodź tu. Mam. Wiesz dla kogo.

---

<sup>77</sup> Rottenführer (niem.) - stopień w SS odpowiadający kapralowi w wojsku

- Dobra, Tadek. Słuchaj, nie masz co do jedzenia? Ale wiesz, coś słodkiego. Albo jajek. Nie, nie, ja nie jestem głodny, jadłem na dworze. Dostałem od pani Haneczki trochę jajecznic. Morowa kobieta! Tylko chciałaby wszystko wiedzieć o Iwanie. Ale wiesz, jak kapo pójdzie na dwór, to mu nic nie dają.

- Niech nie bije ludzi, to mu dadzą.

- Powiedz mu to.

- Od czego jesteś pipel. Nie umiesz organizować. Przypatrz się, jak tu niektórzy gęsi łapią i wieczorem smażą w bloku, a twój kapo zupę je. Smakowały mu wczorajsze pokrzywy?

Pipel patrzy na mnie badawczo. Jest to młody, ale bardzo sprytny chłopak. Niemiec, był w wojsku, choć ma dopiero szesnaście lat. Szmugłował.

- Tadek, mów od razu, przecie się rozumiemy. Na kogo chcesz mnie napuścić?

Wzruszam ramionami.

- Na nikogo. Ale przypatrz się dobrze gęsiom.

- A wiesz, że wczoraj znowu zginęła jedna gęś, a unterscharführer zbił kapę po pysku i zabrał mu ze złości zegarek? No, idę i popatrzę.

Idziemy razem, bo jest już przerwa na obiad. Gwizdzą przeraźliwie od strony kotłów i machają rękoma. Jak kto stoi, rzuca narzędzia. Łopaty sterczą na wałach. Z całego pola idą powoli ku kotłom zmęczeni ludzie, chcąc przeciągnąć błogą chwilę przedobiednią, głód, który zaraz będą nasycać. Spóźniona ciągnie za wszystkimi grupa Iwana. Iwan zatrzymał się nad rowem przy „moim” poście i rozmawia z nim długo. Post pokazuje ramieniem. Iwan kiwa głową. Wrzaski i nawoływania przynagliły go do pośpiechu. Przechodząc koło mnie, rzuca:

- Zdaje się, że dziś nic nie upolujesz.

- Dzień się jeszcze nie skończył - odparłem. Rzuca mi z ukosa złośliwe i wyzywające spojrzenie.

## V

W pustym inkubatorze pipel rozstawia naczynia, wyciera stołki i nakrywa stół do obiadu. Pisarz komanda, grecki lingwista, kurczy się w kącie, żeby wydać się jak najmniejszym i najbardziej niepozornym. Przez wywalone drzwi widać jego twarz koloru gotowanego raka, o oczach wodnistych jak żabi skrzek. Na dworze, na placyku otoczonym naokoło wysokim wałem ziemi, posadzono więźniów. Siedli, tak jak stali, po pięciu, szeregami i w grupach. Siedzą ze skrzyżowanymi nogami, wyprostowani, ręce opuszczone są

do bioder. Podczas wydawania obiadu nie wolno im się ruszyć. Później będą mogli przegiąć się w tył i położyć się na kolanach towarzysza, ale biada, jeśli złamią szyk szeregów. Z boku, w cieniu nasypu, niedbale siedzą esmani, maszynowe pistolety położywszy nonszalancko na kolanach, wyciągają z toreb i chlebaków chleb, smarują uważnie margaryną, jedzą powoli i odświętnie. Do jednego przysiadł się Rubin, Żyd z Kanady, i cicho z nim rozmawia. Załatwia interes - dla siebie i dla kapo. Sam kapo, olbrzymi i czerwony, stoi przy kotle.

Biegamy z miskami w ręku niczym najwytrawniejsi kelnerzy. W całkowitym milczeniu podajemy zupę, w całkowitym milczeniu wyrrywamy przemocą menażki z rąk, które chcą coś z pustego dna jeszcze wygrzebać, jeszcze przedłużyć chwilę jedzenia, jeszcze raz oblizać miskę, ukradkiem przeciągnąć palcem po dnie. Kapo odskoczył od kotła, wpadł w szeregi: dojrzał. Kopniakiem w twarz obala liżącego miskę, kopie raz i drugi w podbrzusze i odchodzi, depcząc po kolanach i rękach, ale ostrożnie omijając jedzących.

Wszystkie oczy patrzą z wysiłkiem w twarz kapo. Jeszcze dwa kotły: dolewka. Co dzień kapo rozkoszuje się tą chwilą. Za dziesięć lat obozu należy mu się ta pełnia władzy nad ludźmi. Końcem chochli wskazuje, kto zasłużył na dolewkę: nie pomyli się nigdy. Dolewkę dostaje lepiej pracujący, silniejszy, zdrowszy. Chory, osłabiony, wyschły człowiek nie ma prawa do drugiej miski wody z pokrzywą. Nie wolno marnować pokarmu dla ludzi, którzy niedługo pójną do komina.

Vorarbeiterom należą się z urzędu dwie pełne miski zupy z kartoflami i mięsem, wygrzebanej z dna kotła. Z miską w ręku oglądam się niezdecydowany, czuję na sobie czyjś uporczywy wzrok. W pierwszym rzędzie siedzi Beker, wyłupiaste oczy utkwili pożądliwie w zupie.

- Masz, zjedz, może to ci nareszcie zaszkodzi.

W milczeniu chwyta miskę z rąk i zaczyna łapczywie jeść.

- A miskę postaw koło siebie, żeby pipel pozbierał, bo dostaniesz od kapo w mordę.

Drugą miskę oddaję Andrzejowi. Przyniesie mi za to jabłek. Pracuje w sadzie.

- Rubin, co post mówił? - pytam półgłosem, mijając go, aby pójść do cienia.

- Post mówi, że Kijów zajęli - odpowiada cicho. Zatrzymuję się zdziwiony. Kiwa mi niecierpliwie ręką. Odchodzę w cień, podkładam pod siebie marynarkę, aby nie pobrudzić jedwabnej koszulki, układam się wygodnie do snu. Odpoczywamy, jak kogo na to stać.

Kapo poszedł do inkubatora i po zjedzeniu dwóch misek zupy zasnął. Wtedy pipel wyciągnął z kieszeni kawał gotowanego mięsa, pokroił go na chlebie i począł jeść ostentacyjnie na oczach głodnego tłumu, zagryzając mięso cebulą jak jabłkiem. Ludzie porozkładali się w ciasnych szeregach jeden za drugim i zakrywszy głowy marynarkami,

zapadli w ciężki, niespokojny sen. My leżymy w cieniu. Naprzeciw rozłożyło się komando dziewcząt w białych chusteczkach. Z daleka pokrzykują coś do nas i na migi układają całe historie. Ten i ów kiwa porozumiewawczo. Jedna z dziewcząt klęczy całkiem z boku, a w wyprostowanych nad głową rękach trzyma belkę, wielką i ciężką. Co chwila esman, pilnujący komanda, popuszcza smycz psa. Pies rwie się jej do twarzy, ujadając wściekle.

- Złodziejka? - domyślam się leniwie.

- Nie. Złapali ją kukurydzy z Petrem. Petro uciekł - odrzekł Andrzej.

- Wytrzyma pięć minut?

- Wytrzyma. To twarda dziewczyna.

Nie wytrzymała. Ugięła ręce, rzuciła belkę i upadła na ziemię, głośno zanosząc się płaczem. Andrzej odwrócił się i spojrzał na mnie.

- Nie masz, Tadzik, papierosa? Szkoda, ot życie! Po czym owinął głowę w marynarkę, wyciągnął się wygodnie i zasnął. Układałem się i ja do snu, gdy szarpnął mnie pipel:

- Kapo cię woła. Uważaj, bo zły.

Kapo obudził się, ma czerwone oczy. Przeciera je i patrzy nieruchomo w przestrzeń.

- Ty - dotknął mi grożące palcem piersi - dlaczego oddałeś zupę?

- Mam co innego jeść.

- Co on ci dał za to?

- Nic.

Kiwa głową niedowierzająco. Porusza ogromnymi zuchwami jak krowa żująca pokarm.

- Jutro w ogóle zupy nie dostaniesz. Dostaną ci, co nic innego nie mają do jedzenia.

Rozumiesz?

- Dobrze, kapo.

- Dlaczego nie zrobiłeś czterech trag, jak ci kazałem? Zapomniałeś?

- Nie miałem czasu. Kapo widział, co robiłem przed południem.

- Zrobisz je po południu. I uważaj, żebyś sam na nich nie leżał. Ja ci to mogę zrobić.

- Czy mogę już odejść?

Dopiero teraz spojrzał na mnie. Utkwił we mnie martwy, pusty wzrok człowieka wyrwanego z głębokiego zamyślenia.

- Czego ty tu chcesz? - zapytał.

## VI

Spod kasztanów doszedł mnie zdławiony krzyk człowieka. Zbieram klucze i zakrętki, układam tragi jedną na drugiej, rzucam Jankowi:

- Janek, weź skrzynkę, bo się mamusia będzie gniewała - i podchodzę w stronę drogi.

Na ziemi leżał Beker, charczał i pluł krwią, a Iwan kopał go, gdzie popadło: w mordę, w brzuch, w podbrzusze...

- Patrz, co ten hadiuka zrobił! Cały obiad ci wyżarł! Złodziej przeklęty!

Na ziemi leży menażka pani Haneczki z resztą kaszy. Beker jest cały umazany w kaszy.

- Wsadziłem mu ryło do menażki - rzekł, ciężko dysząc. Iwan. - Dokończ go, muszę iść.

- Umyj menażkę - rzekłem do Bekera - i postaw pod drzewem. Uważaj, żeby cię kapo nie złapał. Właśnie zrobiłem czworo noszy. Wiesz, co to znaczy?

Na drodze Andrzej ćwiczy dwóch Żydów. Nie umieli maszerować, kapo połamał im na łbach dwa kije i zapowiedział, że się muszą nauczyć. Andrzej przywiązał im po kiju do nogi i tłumaczy, jak może:

„czortowe wy dieti, taj dywyś, ce lewa, a ce prawa, links, links”<sup>78</sup>. Grecy otwierają szeroko oczy i maszerują w koło, ze strachu szurając nogami po ziemi. Ogromny tuman kurzu wzbija się wysoko w górę. Koło rowu, gdzie stoi post, ten od butów, pracują nasi chłopcy, „planują” ziemię, delikatnie ubijając ją i głaszcząc łopatami, jakby była ciastem. Wrzeszczą, gdy idę na przełaj, zostawiając głębokie ślady.

- Tadek, co słyhać?

- A nic. Kijów zajęli.

- A czy to prawda?

- Śmieszne pytanie!

Tak drąc się na cały głos, omijam ich z boku i idę wzdłuż rowu. Nagle słyszę za sobą wołanie:

- Halt, halt, du, Warschauer!<sup>79</sup> - i za chwilę niespodziewanie po polsku: - Stój, stój!

Po drugiej stronie rowu dobiega do mnie pędem „mój post”, karabin pochylił jak do szturmu. Jest bardzo podniecony. - Stój, stój!

Stoję. Post przedziera się przez krzaki jeżyn, repetuje karabin.

---

<sup>78</sup> Czortowe wy dieti, taj dywyś, ce lewa, a ce prawa, links, links (ukr., niem.) - wy diabłeta, widzicie, że to lewa, a to prawa, lewa, lewa

<sup>79</sup> Halt, halt, du, Warschauer (niem.) - stój, stój, ty. Warszawiaku

- Coś ty teraz mówił? O Kijowie? Wy tu plotki polityczne rozpuszczacie! Wy tu tajną organizację macie! Numer, numer, podaj swój numer!

Dygocąc ze złości i wzburzenia, wyciąga świstek papieru, długo szuka ołówka. Uczułem, jak ze mnie coś odpływa, ale trochę ochłonąłem.

- Przepraszam, pan post nie zrozumiał. Pan post słabo po polsku rozumie. Ja mówiłem o kijach, które Andrzej przywiązał Żydom na drodze. I że to jest bardzo śmieszne.

- Tak, tak, panie post, właśnie to on mówił - potwierdza zgodny chór.

Post zamierzył się karabinem, jakby chciał mnie sięgnąć kolbą przez rów.

- Ty jesteś ale zwariowany! Ja jeszcze dzisiaj zamelduję na polityczny! Numer, numer!

- Sto dziewiętnaście, sto dzie...

- Pokaż na ręce.

- Patrz.

Wyciągam ramię z wytatuowanym numerem i jestem pewien, że z daleka nie widzi.

- Chodź bliżej.

- Nie wolno mi. Może post robić meldunek, ale ja nie jestem „biały Wańka”.

„Biały Wańka” parę dni temu wlaź na brzozę rosnącą na linii postów, żeby naciąć gałęzi na miotłę. Za miotły można dostać w obozie chleb lub zupę. Post złożył się i strzelił, kula przeszła na ukos przez pierś i wyszła tyłem przez kark. Przynieśliśmy chłopca do obozu. Odchodzę zły, ale tuż za węglem dogania mnie Rubin.

- Tadek, cóżeś ty zrobił? I co to będzie?

- A co ma być?

- Przecież ty wszystko powiesz, że to ja... Oj, coś ty najlepszego zrobił. Jak można tak głośno krzyknąć? Ty mnie zniszczyć chcesz.

- Czego ty się boisz? U nas nie sypią.

- Ja wiem i ty wiesz, ale sicher ist sicher. Pewne jest pewne. Ty, a może dasz te buty dla posta. On się na pewno zgodzi? Nu, ja spróbuję z nim pogadać. Niech mnie to kosztuje. Ja z nim handlowałem.

- A to świetnie, powie się i o tym.

- Tadek, ja czarno widzę przed nami. Ty daj buty, a ja z nim obgadam. To morowy chłop.

- Tylko za długo żyje. Butów nie dam, bo mi szkoda. Ale mam zegarek. Nie chodzi i ma pęknięte szkło, ale od czego ty jesteś. Zresztą, daj swój, nic cię nie kosztował.

- Oj, Tadek, Tadek...



Rubin chowa zegarek, słyszę z daleka:

- Kolejarz!

Biegnę na przełaj przez pole. Oczy kapy nabrały złowieszczych wyrazów, a w kącikach ust pojawiła się piana. Ręce, olbrzymie goryle ręce kołyszą się miarowo, a palce nerwowo się kurczą:

- Coś handlował z Rubinem?

- Kapo przecież widział. Kapo wszystko widzi. Dałem mu zegarek.

- Co? - Ręce powoli poczęły się podnosić ku mojemu gardłu. Skamieniałem ze strachu. Bez najmniejszego ruchu („To dzikie zwierzę” - przemknęło mi w myśli), nie spuszczać z niego oczu, wypaliłem jednym tchem:

- Dałem zegarek, bo post chce mi robić meldung na polityczny za to, że prowadzę tajną robotę.

Ręce kapy rozprężyły się z wolna i opadły wzdłuż boków. Szczęka zwisła lekko jak u psa, któremu jest zbyt gorąco. Słuchając opowiadania, nie zdecydowanie macha trzonkiem od łopaty.

- Idź do roboty. Zdaje się, że ciebie dziś poniosą do obozu. W tej chwili czyni błyskawiczny ruch, podrywa się na baczność i ściąga czapkę z głowy. Odskakuje, uderzony z tyłu rowerem. Zrywam czapkę. Unterscharführer, gospodarz z Harmenze, zeskakuje z roweru czerwony ze zdenerwowania:

- Co się tu dzieje na tym zwariowanym komandzie? Dlaczego ci ludzie chodzą tam z poprzywiązywanyymi kijami? To jest czas pracy!

- Oni nie umieją chodzić!

- Jak nie umieją, to ich zabić! A wie pan, że znowu zginęła gęś?

- Czego stoisz jak głupi pies? - wrzasnął kapo na mnie. - Andrej ma zrobić z nimi porządek. Los! Poleciałem ścieżką.

- Andrej, konczaj ich!<sup>80</sup> Kapo kazał!

Andrej chwycił kij i uderzył na odlew. Grek zasłonił się ręką, zaskowyczał i upadł. Andrej położył mu kij na gardło, stanął na kiju i zakołysał się.

Odszedłem prędko w swoją stronę.

Z daleka widzę, jak kapo z esmanem idą do mego posta i długo z nim gadają. Kapo gestykułuje gwałtownie trzonkiem łopaty. Czapkę ma nasadzoną na łbie. Gdy odeszli, podszedł do posta Rubin. Post wstał z ławki, zbliżył się nad rów, wreszcie wszedł na groblę.

---

<sup>80</sup> Konczaj ich (ros.) - wykończ ich

Po chwili Rubin kiwa na mnie.

- Podziękuj panu postowi, że ci nie zrobi meldunku. Rubin nie ma zegarka na rękę.

Dziękuję i odchodzę w stronę warsztatu. Stary Grek, ten od Iwana, zatrzymuje mnie po drodze.

- Camerade, camerade, ten esman to z obozu, prawda?

- Albo co?

- To dziś już naprawdę będzie wybiórka? I w dziwnej egzaltacji siwy, wysuszony Grek, kupiec z Salonik, odrzuca łopatę i podnosi do góry rękę:

- Nous sommes les hommes miserables. O Dieu, Dieu!<sup>81</sup> Błede niebieskie oczy patrzą w niebo, które jest tak samo niebieskie i blade.

## VII

Podnosimy wagonik. Naładowany do pełna piaskiem, wykoleił się na samej scheibie. Cztery pary wychudłych ramion pchają wóz raz do przodu, raz do tyłu, huśtają. Rozkołysali, podnieśli przednią parę kół, wstawili na szyny. Podkładamy kołek, lora już, już wchodzi na szyny, nagle puszczamy ją i wyprostowujemy się.

- Zbiórka! - drę się i gwizdę z daleka.

Lora bezwładnie opada i kołami zarywa się w ziemię. Ktoś odrzuca niepotrzebny drąg, wysypujemy piasek z lory wprost na scheibę. I tak się jutro sprzątnie.

Idziemy na antreten. Dopiero po chwili orientujemy się, że przecież za wcześnie. Słońce stoi jeszcze wysoko. Do czuba drzewa, o które opiera się nosem w porze zbiórki, jest jeszcze kawał drogi. Najwyżej trzecia. Twarze ludzkie są niespokojne i pytające. Stajemy w piątkach, równamy, dociągamy torby i pasy.

Pisarz liczy nas nieustannie.

Od strony dworu idą esmani i te nasze posty. Obstawiają nas wokoło. Stoimy. Na końcu komanda nosze z dwoma trupami.

Na drodze uczynił się większy ruch niż zwykle. Ludzie z Harmenz chodzą tu i tam, zaniepokojeni naszym wczesnym odejściem. Ale dla starych lagrowców rzecz jest jasna: w lagrze będzie naprawdę wybiórka.

Parę razy mignęła jasna chusteczka pani Haneczki.

Kobieta zwraca ku nam pytające oczy. Stawia koszyk na ziemi i opiera się o stodołę, patrzy. Idę za jej wzrokiem. Patrzy niespokojnie na Iwana.

---

<sup>81</sup> Nous sommes les hommes miserables. O Dieu, Dieu (franc.) - Jesteśmy nieszczęśliwymi ludźmi. O Boże, Boże

Zaraz za esmanami nadszedł kapo i cherlak kommandoführer.

- Rozstąpić się i podnieść ręce do góry - rzekł kapo. Wtedy wszyscy zrozumieli: rewizja. Rozpinamy kurtki, otwieramy torby. Esmen jest wprawny i szybki. Przejeżdża rękoma po ciebie, sięga do torby. Obok reszty chleba, paru cebul i jakiejś zestarzałej słoniny - jabłka, niewątpliwie z sadu.

- Skąd to masz? Podnoszę głowę: „mój” post.

- Z paczki, panie post.

Przez chwilę patrzy mi ironicznie w oczy.

- Te same jabłka jadłem dzisiaj po obiedzie.

Wypaproszają z kieszeni kawały słoneczników, kaczany kukurydzy, ziele, szczaw, jabłka, raz po raz podrywa się krótki ludzki wrzask: biją.

Nagle unterscharführer wszedł w sam środek szeregu i wyciągnął na bok starego Greka z dużą, wypchaną torbą.

- Otwórz - rzekł krótko.

Trzęsącymi się rękoma Grek otworzył torbę. Unterscharführer zajrzał do środka i zawołał kapa.

- Patrz, kapo, nasza gęś.

I wyciągnął z torby gęś o olbrzymich, rozłożystych skrzydłach.

Pipel, który też podbiegł do worka, krzyknął triumfująco do kapy:

- Jest, jest, a nie mówiłem! Kapo zamachnął się kijem.

- Nie bij - rzekł, wstrzymując mu rękę, esman. Wyciągnął z pochwy rewolwer i zwrócił się wprost do Greka, wymownie gestykułując bronią:

- Skąd to masz? Jak nie odpowiesz, to cię zastrzelę. - Grek milczał. Esmen podniósł pistolet. Spojrzałem na Iwana. Był zupełnie blady. Spojrzenia nasze spotkały się. Zacisnął usta i wystąpił z szeregu. Podeszedł do esmana, zdjął czapkę i rzekł:

- To ja mu dałem.

Wszystkie spojrzenia zawisły na Iwanie. Unterscharführer wolno podniósł pejcz i ciał go po twarzy raz, drugi, trzeci. Potem zaczął bić po głowie. Pejcz świszczą, twarz więźnia pokryła się krwawymi pręgami, ale Iwan nie padał. Stał z czapką w ręce, wyprostowany, z rękoma wzdłuż bioder. Nie uchylał głowy, chwiał się tylko całym ciałem.

Unterscharführer opuścił rękę.

- Zapisać numer i złożyć meldunek. Komando - odmarsz! Odchodzimy równym, wojskowym krokiem. Zostaje za nami kupa słoneczników, kępy ziela, szmaty i torby, pogniecione jabłka, a za tym wszystkim leży wielka gęś o czerwonym łbie i rozłożystych

białych skrzydłach. Na końcu komanda idzie Iwan, nie podtrzymywany przez nikogo. Za nim na noszach niosą dwa trupy przykryte gałęziami.

Gdy przechodziliśmy koło pani Haneczki, zwróciłem głowę w jej stronę. Stała blada i wyprostowana, z rękoma przyciśniętymi do piersi. Wargi jej drżały nerwowo. Podniosła wzrok i spojrzała na mnie. Wtedy zobaczyłem, że jej duże czarne oczy pełne były łez.

Po apelu wpędzili nas na blok. Leżymy na pryczy, wyglądamy przez szpary i czekamy na koniec wybiórki.

- Czuję się, jakbym zawinił w tej całej wybierce. Ten dziwny fatalizm słów. W tym przeklętym Oświęcimiu nawet złe słowo ma moc stawania się.

- Nie przejmuj się - odrzekł Kazik - daj lepiej coś do tego pasztetu.

- Pomidorów nie masz?

- Nie co dzień świętego Jana. Odsunąłem przygotowane kanapki.

- Nie mogę jeść.

Na dworze kończą wybiórkę. Lekarz-esman, zabrawszy liczbę i numery zapisanych, odchodzi do następnego bloku. Kazik zabiera się do odejścia.

- Idę kupić papierosów. Ale wiesz, Tadek, jesteś frajer, bo jakby mi kto kaszę wyjadł, tobym go zbił na marmoladę.

W tej chwili na krawędzi buksy wylazła z dołu jakaś siwa, ogromna czaszka i spojrzały na nas zażenowane, mrugające oczy. Potem ukazała się twarz Bekera, zmięta i jeszcze bardziej postarzała.

- Tadek, ja mam do ciebie prośbę.

- Gadaj - rzekłem, przechylając się ku niemu.

- Tadek, idę do komina.

Pochyliłem się jeszcze niżej i zajrzałem mu z bliska w oczy: były spokojne i puste.

- Tadek, aleja byłem tyle czasu taki głodny. Daj mi co zjeść. Na ten ostatni wieczór.

Kazik uderzył mnie dłonią po kolanie.

- Znasz tego Żyda?

- To Beker - odrzekłem cicho.

- Te, Żyd, włóż tu na buksę i zażeraj. Jak się nażresz, to resztę zabierz ze sobą do komina. Włóż na buksę. Ja tu nie śpię, to możesz mieć wszy.

- Tadek - chwycił mnie za ramię - chodź. Mam na bloku świetną szarlotkę, wprost od mamy. Złaząc z buksy trącił mnie ramieniem.

- Patrz - rzekł szeptem.

Spojrzałem na Bekera. Miał przymknięte powieki i jak ślepiec próżno szukał dłonią

deski, żeby wleźć na górę.

## PROSZĘ PAŃSTWA DO GAZU

Cały obóz chodził nago. Wprawdzie przeszliśmy już odwzsenie i ubrania dostaliśmy z powrotem z basenów napełnionych rozpuszczonym w wodzie cyklonem, który znakomicie truł wszy w ubraniach i ludzi w komorze gazowej, a tylko bloki, odgradzone od nas hiszpańskimi kozłami, nie „wyfasowały” jeszcze ubrań, to jednak i ci, i tamci chodzili nago: upał był okropny. Obóz ściśle zamknięto. Żaden więzień, żadna wesz nie śmie się przedostać przez jego bramę. Ustała praca komand. Cały dzień tysiące nagich ludzi przewalało się po drogach i placach apelowych, leżakowało pod ścianami i na dachach. Spano na deskach, gdyż sienniki i koce były w dezynfekcji. Z ostatnich bloków widać było FKL - tam też odwyszawiali. Dwadzieścia osiem tysięcy kobiet rozebrano i wypędzono z bloków - właśnie kotłują się na „wizach”<sup>82</sup> drogach i placach.

Od rana czeka się na obiad, je się paczki, odwiedza się przyjaciół. Godziny płyną wolno, jak to w upale. Nawet zwykłej rozrywki nie ma: szerokie drogi do krematoriów stoją puste. Od paru dni nie ma już transportów. Część Kanady zlikwidowano i przydzielono na komando. Trafili na jedno z najcięższych, na Harmenze. Jako że byli wypasieni i wypoczęci. W obozie bowiem panuje zawistna sprawiedliwość: gdy można upadnie, przyjaciele starają się, by upadł jak najniżej. Kanada, nasza Kanada, nie pachnie wprawdzie, jak Fiedlerowska, żywicą, tylko francuskimi perfumami, lecz chyba nie rośnie tyle wysokich sosen w tamtej, ile ta ma ukrytych brylantów i monet, zebranych z całej Europy.

Właśnie siedzimy w kilku na buksie, beztrosko machając nogami. Rozkładamy biały, przemysłnie wypieczony chleb, kruchy, rozsypujący się, drażniący trochę w smaku, ale za to nie pleśniejący tygodniami. Chleb przysłany aż z Warszawy. Jeszcze tydzień temu miała go w rękach moja matka. Miły Boże, miły Boże...

Wyciągamy boczek, cebulę, otwieramy puszkę skondensowanego mleka. Henri, wielki i ociekający potem, marzy głośno o francuskim winie przywożonym przez transporty ze Strasburga, spod Paryża, z Marsylii...

- Słuchaj, mon ami<sup>83</sup>. Jak pójdziemy znów na rampę, przyniosę ci oryginalnego szampana. Pewnie nigdy nie piłeś, nieprawda?

- Nie. Ale przez bramę nie przeniesiesz, więc nie bujaj. Zorganizuj lepiej buty, wiesz, takie dziurkowane z podwójną podeszwą, a o koszulce już nie mówię, dawno mi obiecałeś.

---

<sup>82</sup> Wizy (z niem. Wiese) - łąki

<sup>83</sup> Mon ami (franc.) - mój przyjacielu

- Cierpliwości, cierpliwości, jak przyjdą transporty, przyniosę ci wszystko. Znów pójdziemy na rampę.

- A może już nie będzie transportów do komina? - rzuciłem złośliwie. - Widzisz, jak zelżało na lagrze, nieograniczona ilość paczek, bić nie wolno. Pisaliście przecież listy do domu... Rozmaicie mówią o rozporządzeniach, sam przecież gadasz. Zresztą, do cholery, ludzi zabraknie.

- Nie gadałbyś głupstw - usta otyłego, o uduchowionej jak z miniatur Coswaya twarzy marsylczyka (jest moim przyjacielem, ale imienia jego nie znam) zapchane są kanapką z sardynkami - nie gadałbyś głupstw - powtórzył, przełykając z wysiłkiem („poszło, cholera!”)  
- nie gadałbyś głupstw, ludzi nie może zabraknąć, bobyśmy pozdychali w lagrze. Wszyscy żyjemy z tego, co oni przywiozą.

- Wszyscy, nie wszyscy. Mamy paczki...

- To masz ty i twój kolega, i dziesięciu twoich kolegów, macie wy, Polacy, i to nie wszyscy. Ale my, Żydki, ale Ruskie? I co, gdybyśmy nie mieli co jeść, organisation z transportów, tobyście tam te swoje paczki tak spokojnie jedli? Nie dalibyśmy wam.

- Dalibyście albo byście zdychali z głodu jak Grecy. Kto ma żarcie w obozie, ten ma siłę.

- Wy macie i my mamy, o co się sprzeczać?

Pewnie, nie ma o co się sprzeczać. Wy macie i ja mam, jemy wspólnie, śpimy na jednej buksie. Henri kroi chleb, robi sałatkę z pomidorów. Świetnie smakuje z kantynową musztardą.

W bloku, pod nami, kotłują się ludzie, nadzy, ociekający potem. Łażą między buksami w przejściu, wzdłuż ogromnego, inteligentnie zbudowanego pieca, między ulepszeniami, które stajnię końską (na drzwiach wisi jeszcze tabliczka, że „versuchte Pferde” - zarażone konie, należy odstawiać tam a tam) przemieniają w miły (gemütlich) dom dla ponad pół tysiąca ludzi. Gnieźdzą się na dolnych pryczach po ośmiu, dziewięciu, leżą nadzy, kościści, cuchnący potem i wydzielinami, o zapadniętych głęboko policzkach. Pode mną, na samym dole - rabin; nakrył głowę kawałkiem szmaty oddartej z koca i czyta z modlitewnika hebrajskiego (tej lektury tu jest...), zawodząc głośno i monotonicznie.

- Może by się tak zdało go uspokoić? Drze się, jakby Boga za nogi złapał.

- Nie chce mi się z buksy złazić. Niech się drze, prędzej do komina pójdzie.

- Religia jest opium dla narodu. Bardzo lubię palić opium - dodaje z lewej sentencjonalnie marsylczyk, który jest komunistą i rentierem. - Gdyby oni nie wierzyli w Boga i w życie pozagrobowe, już by dawno rozwalili krematoria.

- A dlaczego wy tego nie zrobicie?

Pytanie ma sens metaforyczny, lecz marsylczyk odpowiada:

- Idiota - zapycha usta pomidorem i czyni ruch, jakby chciał coś powiedzieć, ale zjada i milczy. Kończyliśmy właśnie wyzerkę, gdy u drzwi bloku uczynił się większy ruch, odskoczyli muzułmani i rzucili się, uciekając, między buksy, do budy blokowego wleciał goniec. Za chwilę majestatycznie wyszedł blokowy.

- Kanada! Antreten! Ale szybko! Transport przychodzi!

- Wielki Boże! - wrzasnął Henri, zeskakując z buksy. Marsylczyk zadławił się pomidorem, chwycił marynarkę, wrzasnął „raus” do siedzących na dole i już byli we drzwiach. Zakotłowało się na innych buksach. Kanada odchodziła na rampę.

- Henri, buty! - krzyknąłem na pożegnanie.

- Keine Angst! - odkrzyknął mi już z dworu. Opakowałem żarcie, owiązałem sznurami walizę, w której cebula i pomidory z ojcowskiego ogródka w Warszawie leżały obok portugalskich sardynek, a boczek z lubelskiego „Bacutiuu” (to od brata) mieszał się z najautentyczniejszymi bakaliami z Salonik. Owiązałem, naciągnąłem spodnie, zlazłem z buksy.

- Platz!<sup>84</sup> - wrzasnąłem, przeciskając się między Grekami. Odsuwali się na bok. We drzwiach natknąłem się na Henriego.

- Allez, allez, vite, vite!<sup>85</sup>

- Was ist los?<sup>86</sup>

- Chcesz iść z nami na rampę?

- Mogę pójść.

- To jazda, bierz marynarkę! Brakuje paru ludzi, rozmawiałem z kapem - i wypchnął mnie z bloku.

Staaliśmy w szeregu, ktoś spisał nam numery, ktoś od czoła wrzasnął „marsz, marsz” i podbiegliśmy pod bramę, odprowadzani okrzykami różnojęzycznego tłumu, który już zapędzono bykowcami do bloków. Nie każdy może iść na rampę... Już żegnano ludzi, już jesteśmy pod bramą. - Links, zwei, drei, vier! Mützen ab!<sup>87</sup> - Wyprostowani, z rękami sztywno przyłożonymi do bioder, przechodzimy przez bramę rażno, sprężyście, nieomal z gracją. Zaspany esman, z wielką tabliczką w rękę, liczy ospale, oddzielając w powietrzu palcem każdą piątkę.

---

<sup>84</sup> Platz (niem.) - miejsce

<sup>85</sup> Allez, allez, vite, vite (franc.) - idźcie, idźcie, szybko, szybko

<sup>86</sup> Was ist los (niem.) - co się dzieje

<sup>87</sup> Links, zwei, drei, vier! Mützen ab (niem.) - lewa, dwa, trzy, cztery! Czapki zdjąć!



- Hundert!<sup>88</sup> - krzyknął, gdy minęła go ostatnia.

- Stimmt! - odkrzyknięto ochryple od czoła. Maszerujemy szybko, prawie biegiem. Postów dużo, młodzi, z automatami. Mijamy wszystkie odcinki obozu II B: nie zamieszkały lager C, czeski, kwarantanna, zagłębiamy się między grusze i jabłonie truppenlazarettu; wśród nieznajomej, jakby z księżycą ziemi, dziwnie w tym kilkudniowym słońcu wybujałej, omijamy łukiem jakieś baraki, przechodzimy linię wielkiej postenketty, biegiem wpadamy na szosę - jesteśmy na miejscu. Jeszcze kilkadziesiąt metrów - wśród drzew rampa.

Była to sielankowa rampa, jak zwykle na zagubionych, prowincjonalnych stacjach. Placyk, obramowany zielenią wysokich drzew, wysypany był żwirem. Z boku, przy drodze, kucnął maleńki drewniany baraczek, brzydszy i tandetniejszy od najbrzydszej i najtandetniejszej budy stacyjnej, dalej leżały wielkie stosy szyn, podkłady kolejowe, zwały desek, części baraków, cegły, kamienie, kręgi studzienne. To stąd ładują towar na Birkenau: materiał do rozbudowy obozu i ludzi do gazu. Zwykły dzień roboczy: zajeżdżają samochody, biorą deski, cement, ludzi...

Rozstawiają się posty na szynach, na belkach, pod zielonym cieniem śląskich kasztanów, ścisłym kołem otaczają rampę. Ocierają pot z czoła, piją z manierek. Upał ogromny, słońce stoi nieruchomo na zenicie. - Rozejść się! - Siadamy w skrawkach cienia pod szynami. Głodni Grecy (zapłatało się ich paru, diabli wiedzą, jakim sposobem) myszkują wśród szyn, ktoś znajduje puszkę konserw, spleśniałe bułki, nie dojedzone sardynki. Jedzą.

- Schweinedreck!<sup>89</sup> - spluwa na nich młody, wysoki post, o bujnych płowych włosach i niebieskim, marzącym spojrzeniu - przecież zaraz będziecie mieli tyle do żarcia, że nie przeżrecie. Odechce się wam na długo. - Poprawił automat, otarł twarz chustką.

- To bydło - potwierdzamy zgodnie.

- Te, gruby - but posta dotyka lekko karku Henriego. - Pass mai auf<sup>90</sup>, chce ci się pić?

- Chce, ale nie mam marek - odpowiedział fachowo Francuz.

- Schade, szkoda.

- Ależ Herr Posten, czy moje słowo nic już nie znaczy? Nie handlował Herr Posten ze mną? Wieviel?<sup>91</sup>

- Sto. Gemacht?

- Gemacht.

Pijemy wodę, mdła i bez smaku, na konto pieniędzy i ludzi, których jeszcze nie ma.

---

<sup>88</sup> Hundert (niem.) - sto

<sup>89</sup> Schweinedreck (niem.) - świńskie łajno

<sup>90</sup> Pass mai auf (niem.) - uważaj, słuchaj

<sup>91</sup> Wieviel (niem.) - ile

- Te, uważaj - mówi Francuz, odrzucając pustą butelkę, aż pryska gdzieś dalej na szynach - forsy nie bierz, bo może być rewizja. Zresztą na cholere ci forsa, i tak masz co jeść. Ubrania też nie bierz, bo to jest podejrzenie o ucieczkę. Koszulę bierz, ale tylko jedwabną i z kołnierzykiem. Pod spód gimnastyczna. A jak znajdziesz coś do picia, to mnie nie wołaj. Dam sobie radę, i uważaj, żebyś nie oberwał.

- Biją?

- Rzecz normalna. Trzeba mieć oczy w plecach. Arschaugen. Wokół nas siedzą Grecy, ruszają łąpczywie zuchwami jak wielkie, nieludzkie owady, żrą łakomie zbutwiałe grudy chleba. Są zaaferowani, nie wiedzą, co będą robić. Niepokoją ich belki i szyny. Nie lubią dźwigania.

- Was wir arbeiten?<sup>92</sup> - pytają.

- Niks. Transport kommen, alles krematorium, compris?<sup>93</sup>

- Alles verstehen<sup>94</sup> - odpowiadają w krematoryjnym esperanto. Uspokajają się: nie będą ładować szyn na auta ani nosić belek.

Tymczasem na rampie robiło się coraz gwarniej i tłoczniej. Vorarbeiterzy dzielili sobie grupy, przeznaczając jednych do otwierania i rozładowywania wagonów, które przyjąć mają, innych pod drewniane schodki i wyjaśniając im celowe działanie. Były to przenośne, wygodne, szerokie schodki, jakby wejście na trybunę.

Zajeżdżały z warkotem motocykle wiozące obsypanych srebrem odznak podoficerów SS, tęgich, spasionych mężczyzn o wypolerowanych oficerskich butach i błyszczących, chamskich twarzach. Niektórzy przyjechali z teczkami, inni mieli giętkie trzcinowe kije. Nadawało im to służbowy i sprężysty wygląd. Wchodzili do kantyny, bo ów mizerny barak był ich kantyną, gdzie latem pili wodę mineralną - „Sudetenquelle”, a zimą ogrzewali się gorącym winem, witali się państwowo wyciągniętym po rzymsku ramieniem, a potem kordialnie potrząsali prawice, uśmiechali się serdecznie do siebie, rozmawiali o listach, o wiadomościach z domu, o dzieciach, pokazywali sobie fotografie. Niektórzy dostojnie przechadzali się po placu, żwir chrzęścił, buty chrzęściły, srebrne kwadraty błyszczały na kołnierzach, a bambusowe laseczki świstały niecierpliwie.

Różnopasiasty tłum leżał pod szynami w wąskich pasach cienia, oddychał ciężko i nierówno, gadał po swojemu, leniwie i obojętnie patrzył na majestatycznych ludzi w zielonych mundurach, na zieleń drzew, bliską i nieosiągalną, na wieżę dalekiego kościółka, z

---

<sup>92</sup> Was wir arbeiten (niem., niegramat.) - co my pracujemy

<sup>93</sup> Transport kommen, alles krematorium, compris (niem., franc., niegramat.) - transport przychodzić, wszystko do krematorium, rozumiesz

<sup>94</sup> Alles verstehen (niem., niegramat.) - wszystko rozumieć

której dzwoniło właśnie na spóźniony Anioł Pański.

- Transport idzie - rzekł któryś i wszyscy unieśli się w oczekiwaniu. Zza zakrętu wychodziły towarowe wagony: pociąg pchał się tyłem, kolejarz stojący na breku<sup>95</sup> wychylił się, zamachnął ręką, gwizdnął. Lokomotywa przeraźliwie odgwizdnęła, sapnęła, pociąg potoczył się wolno wzdłuż stacji. W małych zakratowanych okienkach widać było twarze ludzkie, blade, zmięte, jakby niewyspane, rozczochrane - przerażone kobiety, mężczyzn, którzy, rzecz egzotyczna, mieli włosy. Mijali powoli, przyglądali się stacji w milczeniu. Wtedy wewnątrz wagonów zaczęło się coś kotłować i dudnić w drewniane ściany.

- Wody! Powietrza! - zerwały się głuche, rozpaczliwe okrzyki. Z okien wychylały się twarze ludzkie, usta chwytały rozpaczliwie powietrze. Zacerpnąwszy kilka łyków powietrza ludzie z okien nikli, na ich miejsce wdierali się inni i tak samo znikali. Krzyki i rżenia stawały się coraz głośniejsze.

Człowiek w zielonym mundurze, bardziej niż inni obsypany srebrem, skrzywił usta z niesmakiem. Zaciągnął się papierosem, odrzucił go nagłym ruchem, przelożył teczkę z prawej do lewej i skinął na posta. Ten powoli ściągnął automat z ramienia, złożył się i przeciągnął serią po wagonach. Ucichło. Tymczasem podjeżdżały ciężarówki, podstawiono pod nie stołki, rozstawiono się fachowo przy wagonach. Olbrzym z teczką skinął ręką.

- Kto weźmie złoto albo cokolwiek innego nie do jedzenia, będzie rozstrzelany jako złodziej własności Rzeszy. Zrozumiano? Verstanden?

- Jawohl!<sup>96</sup> - wrzaśnięto nierówno i indywidualnie, aczkolwiek z dobrą wolą.

- Also loos!<sup>97</sup> Do pracy!

Szczęknięły rygle, wagony otwarto. Fala świeżego powietrza wdarła się do środka, uderzając ludzi jakby czadem. Niezmiernie zbici, przytłoczeni potworną ilością bagażu, waliz, walizek, walizeczek, plecaków, tłumoków wszelkiego rodzaju (wieźli bowiem to wszystko, co stanowiło ich dawne życie, a miało rozpocząć przyszłe), gnieździli się w strasznej ciasnocie, mdleli od upału, dusili się i dusili innych. Teraz skupili się przy otwartych drzwiach, dysząc jak ryby wyrzucone na piasek.

- Uwaga: Wysiadać z rzeczami. Zabierać wszystko. Wszystkie te swoje kłamoty składać koło wagonu na kupę. Palta oddawać. Jest lato. Maszerować na lewo. Zrozumiano?

- Panie, co z nami będzie? - zeskakują już na żwir, niespokojni, roztrzęsieni.

- Skąd jesteście?

---

<sup>95</sup> Brek (z ang.) - rodzaj budki przy ścianie wagonu towarowego, przeznaczonej dla kolejarza hamującego pociąg

<sup>96</sup> Jawohl (niem.) - tak jest

<sup>97</sup> Also loos (niem. also los) - no to ruszajcie

- Sosnowiec, Będzin. Panie, co to będzie? - uparcie powtarzają pytania, wpatrując się żarliwie w cudze zmęczone oczy.

- Nie wiem, nie rozumiem po polsku.

Jest prawo obozu, że ludzi idących na śmierć oszukuje się do ostatniej chwili. Jest to jedyna dopuszczalna forma litości. Upał ogromny. Słońce osiągnęło zenit, rozpalone niebo dygoce, powietrze faluje, wiatr, który chwilami przewiewa przez nas, to rozparzone, ciekłe powietrze. Wargi już są popękane, czuje się w ustach słony smak krwi. Od długiego leżenia na słońcu ciało jest słabe i odporne. Pić, och, pić.

Wylewa się z wagonu różnobarwna fala, objuczona, podobna do ogłupiałej, ślepej rzeki, która szuka nowego koryta. Ale zanim oprzytomnieją, uderzeni świeżym powietrzem i zapachem zieleni, już im pakunki wyrywa się z rąk, ściąga się palta, kobietom wyrywa się torebki, odbiera parasole.

- Panie, panie, ale to od słońca, ja nie mogę...

- Verboten<sup>98</sup> - szczeka się przez zęby, sycząc głośno. Za plecami stoi esman, spokojny, opanowany, fachowy.

- Meine Herrschaften, moi państwo, nie rozrzucajcie tak rzeczy. Trzeba okazać trochę dobrej woli. - Mówi dobrotliwie, a cienka trzcina gniewnie mu się nerwowo w rękach.

- Tak jest, tak jest - odpowiadają wielogłośnie, przechodząc, i raźniej idą wzdłuż wagonów. Jakaś kobieta schyla się szybko podnosząc torebkę. Świsnęła trzcina, kobieta krzyknęła, potknęła się i upadła pod nogi tłumu. Dziecko biegnące za nią pisnęło:

„Mamele!” - taka mała, rozczochrana dziewczynka...

Rośnie kupa rzeczy, walizek, tłumoków, plecaków, pledów, ubrań, torebek, które, padając, otwierają się i wysypują barwne tęczowe banknoty, złoto, zegarki; przed drzwiami wagonów piętrzą się stosy chleba, gromadzą słoiki różnobarwnych marmolad, powideł, pęcznią zwały szynki, kiełbasy, rozsypuje się po żwirze cukier. Zapchane ludźmi auta odjeżdżają z piekielnym warkotem, wśród zawodzenia i wrzasku kobiet oplakujących dzieci, i ogłupiałego milczenia nagle osamotnionych mężczyzn. To ci, co poszli na prawo - młodzi i zdrowi - ci pójdą na lager. Gaz ich nie minie, ale wprawdzie będą pracować.

Auta odjeżdżają i wracają, bez odpoczynku, jak na potwornej taśmie. Bez przerwy jeździ karetka Czerwonego Krzyża. Olbrzymi krwawy krzyż wymalowany na masce motoru roztopia się w słońcu. Niemordowanie jeździ karetka Czerwonego Krzyża: to właśnie w niej wozi się gaz, gaz, którym trują tych ludzi.

---

<sup>98</sup> Verboten (niem.) - zabronione

Ci z Kanady, którzy są przy schodkach, nie mają chwili wytchnienia, oddzielają tych do gazu od tych, co idą na lager, wypychają pierwszych na schody, ubijają na aucie, na każde sześćdziesięciu, tak plus-minus.

Z boku stoi młody, gładko wygolony pan, esman z notatnikiem w ręku; każde auto to kreska, jak odjedzie szesnaście aut, to jest tysiąc, tak plus-minus. Pan jest zrównoważony i dokładny. Nie odjedzie auto bez jego wiedzy i jego kreski: Ordnung muss sein. Kreski pęcznią w tysiące, tysiące w całe transporty, o których mówi się krótko: „Z Salonik”, „ze Strasburga”, „z Rotterdamu”. O tym będzie się już dziś mówiło „Będzin”. Ale na stałe uzyska nazwę „Będzin-Sosnowiec”. Ci, którzy pójda z tego transportu na lager, dostaną numery: 131-132. Rozumie się tysięcy, lecz w skrócie będzie się mówiło właśnie tak: „131 - 132”.

Transporty rosna w tygodnie, miesiące, lata. Gdy skończy się wojna, będą liczyć spalonych. Naliczą cztery i pół miliona. Najkrwawsza bitwa wojny, największe zwycięstwo solidarnych i zjednoczonych Niemiec. Ein Reich, ein Volk, ein führer<sup>99</sup> - i cztery krematoria. Ale krematoriów będzie w Oświęcimiu szesnaście, zdolnych spalić pięćdziesiąt tysięcy dziennie. Obóz rozbuduje się, aż się oprze naelektryzowanym drutem o Wisłę, zamieszka go trzysta tysięcy ludzi w pasiakach, będzie się zwał Verbrecher-Stadt - „Miasto Przestępców”. Nie, ludzi nie zabraknie. Spalą się Żydzi, spalą się Polacy, spalą się Rosjanie, przyjdą ludzie z Zachodu i Południa, z kontynentu i wysp. Przyjdą ludzie w pasiakach, odbudują zburzone miasta niemieckie, zaorzą odłogiem leżącą ziemię, a gdy osłabną w bezlitosnej pracy, w wiecznym Bewegung, Bewegung - otworzą się drzwi gazowych komór. Komory będą ulepszone, oszczędniejsze, sprytniej zamaskowane. Będą jak te w Dreźnie, o których już chodzą legendy.

Już się opróżniły wagony. Chudy, ospowaty esman spokojnie zagląda do środka, kiwa głową z niesmakiem, ogarnia nas spojrzeniem i wskazuje wewnątrz.

- Rein. Oczyszczyć!

Wskakuje się do środka. Porozrzucane po kątach wśród kani ludzkiego i pogubionych zegarków leżą poduszone, podeptane niemowlęta, nagie potworki o ogromnych głowach i wydętych brzuchach. Wynosi się je jak kurczaki, trzymając po parę w jednej garści.

- Nie nieś ich na auto. Oddaj kobietom - mówi zapalając papierosa esman. Zapalniczka mu się zacięła, jest nią bardzo zaaferowany.

- Bierzcie te niemowlęta, na litość boską - wybucham, bo kobiety z przerażeniem uciekają ode mnie, wtulając głowy w ramiona.

---

<sup>99</sup> Ein Reich, ein Volk, ein Führer (niem.) - Jedno państwo, jeden naród, jeden wódz - slogan hitlerowski

Dziwnie niepotrzebnie pada imię Boga, bo kobiety z dziećmi idą na auto, wszystkie, nie ma wyjątku. Wiemy wszyscy dobrze, co to znaczy, i patrzymy na siebie z nienawiścią i przerażeniem.

- Co, brać nie chcecie? - powiedział jakby ze zdziwieniem i wyrzutem ospowaty esman i począł odpinać rewolwer.

- Nie trzeba strzelać, ja wezmę.

Siwa, wysoka pani wzięła ode mnie niemowlęta i przez chwilę patrzyła mi prosto w oczy.

- Dziecko, dziecko - szepnęła uśmiechając się. Odeszła, potykając się na żwirze.

Oparłem się o ścianę wagonu. Byłem bardzo zmęczony. Ktoś szarpie mnie za rękę.

- Chodź, dam ci się napić. Wyglądasz, jakbyś miał rzygać. En avant<sup>100</sup>, pod szyny, chodź!

Patrę, twarz ta skacze mi przed oczyma, rozpływa się, miesza się, olbrzymia, przezroczysta, z drzewami nieruchomymi, nie wiadomo dlaczego czarnymi, z przelewającym się tłumem... Mrugam ostro powiekami: Henri.

- Słuchaj, Henri, czy my jesteśmy ludzie dobrzy?

- Czemu się głupio pytasz?

- Widzisz, przyjacielu, wzbiera we mnie zupełnie niezrozumiała złość na tych ludzi, że przez nich muszę tu być. Nie współczuję im wcale, że idą do gazu. Żeby się ziemia pod nimi wszystkimi rozstąpiła. Rzuciłbym się na nich z pięściami. Przecież to jest patologiczne chyba, nie mogę zrozumieć.

- Och, wprost przeciwnie, to normalne, przewidziane i obliczone. Męczy cię rampa, buntujesz się, a złość najłatwiej wyładować na słabszym. Pożądane jest nawet, abyś ją wyładował. To tak na chłopski rozum, comprisi - mówi nieco ironicznie Francuz, wygodnie układając się pod szynami. - Patrz na Greków, ci umieją korzystać! Żrą wszystko, co im pod rękę wliwie; przy mnie zjadł jeden słoik marmolady.

- Bydło. Jutro połowa z nich zdechnie na sraczkę.

- Bydło? Ty też byłeś głodny.

- Bydło - powtarzam zawzięcie. Zamykam oczy, słyszę krzyki, czuję drzenie ziemi i parne powietrze na powiekach. W gardle zupełnie sucho.

Ludzie płyną i płyną, auta warczą jak rozjuszony psy. W oczach przesuwają się trupy wynoszone z wagonów, zdeптane dzieci, kaleki poukładane razem z trupami, i tłum, tłum,

---

<sup>100</sup> En avant (franc.) - naprzód

tłum... Wagony pod-taczają się, stopy łachów, waliz i plecaków rosna, ludzie wychodzą, przyglądają się słońcu, oddychają, żebrzą o wodę, wchodzą na auta, odjeżdżają. Znow podchodzą wagony, znow ludzie... Czuję, jak obrazy mieszają się we mnie, nie wiem, czy to się naprawdę dzieje, czy mi się śni. Widzę nagle jakąś zieleń drzew, które kołyszą się wraz z całą ulicą, z barwnym tłumem, ale - to Aleje! Szumi mi w głowie, czuję, że będę wymiotował. Henri szarpie mnie za ramię.

- Nie śpij, idziemy ładować klamoty.

Już nie ma ludzi. Ostatnie auta suną daleko po szosie, wzniecając olbrzymie tumany kurzu, pociąg odjechał, po opustoszałej rampie chodzą dostojni esmani, świecąc srebrem na kołnierzach. Połyskują glansem buty, błyszczą czerwono nalane twarze. Wśród nich kobieta, teraz dopiero uświadamiam sobie, że była tu cały czas, wysuszona, bezpierzna, koścista. Rzadkie, bezbarwne włosy gładko przyczesala w tył i związała w „nordycki” węzeł, ręce wsunęła w szerokie spodnie-spódnice. Chodzi z kąta w kąt rampy z przyklepionym na wyschłe wargi szczurzym, zawziętym uśmiechem. Nienawidzi urody kobiecej nienawiścią kobiety obrzydliwej i zdającej sobie z tego sprawę. Tak, już ją nieraz widziałem i dobrze zapamiętałem: to komendantka FKL-u, przyszła oglądać swój nabytek, bo część kobiet odstawiono od aut i te pójdą piechotą - na lager. Nasi chłopcy, fryzjerzy z zauny, pozbawią je całkowicie włosów i będą mieli wiele uciechy z ich wolnościowego wstydu.

Ładujemy więc klamoty. Dźwigamy ciężkie walizy, pakowne, zasobne, rzucamy je z wysiłkiem na auto. Tam układa sieje w stopy, ubija się, upycha, rżnie, co się da, nożem - dla przyjemności i w poszukiwaniu wódki i perfum, które wylewa się wprost na siebie. Jedna z waliz otwiera się, wypadają ubrania, koszule, książki... Chwytam jakieś zawiniątko: ciężkie; rozwijam: złoto, dwie dobre garście: koperty, bransolety, pierścionki, kolie, brylanty...

- Gib hier<sup>101</sup> - spokojnie mówi esman, nadstawiając otwartą teczkę, pełną złota i barwnej, obcej waluty. Zamyka ją, oddaje oficerowi, bierze inną, pustą, i czatuje przy innym samochodzie. To złoto pójdzie do Rzeszy.

Upał, ogromny upał. Powietrze stoi nieruchomym, rozżarzone słupem. Gardła są suche, każde wymówione słowo wywołuje ból. Och, pić. Gorączkowo, byle prędzej, byle do cienia, byle odpocząć. Kończymy ładować, ostatnie auta odjeżdżają, zbieramy skrzętnie znad toru wszelkie papierki, wygrzebujemy spomiędzy drobnego żwiru nietutejszy, transportowy brud, „żeby śladu po tym obrzydlistwie nie zostało”, i w chwili gdy ostatnia ciężarówka znika za drzewami, a my idziemy - nareszcie! - w stronę szyn odpocząć i napić się (może Francuz

---

<sup>101</sup> Gib hier (niem.) - daj tutaj

kupi znów od posta?), zza zakrętu słyhać gwizdek kolejarza. Powoli, niezmiernie powoli wtaczają się wagony, przeraźliwie odgwizduje lokomotywa, z okien patrzą twarze wymięte i blade, płaskie, jakby wycięte z papieru, o ogromnych, płonących gorączką oczach. Już są auta, już jest spokojny pan z notatnikiem, już z kantyny wyszli esmani z teczkami na złoto i pieniądze. Otwieramy wagony.

Nie, już nie można nad sobą panować. Wyrywa się ludziom brutalnie walizki z rąk, szarpiąc ściągają się palta. Idźcie, idźcie, przemieńcie. Idą, przemijają. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Niektórzy z nich wiedzą.

Oto idzie szybko kobieta, śpieszy się nieznacznie, ale gorączkowo. Małe, kilkuletnie dziecko o zarumienionej, pyzatej twarzy cherubinka biegnie za nią, nie może nadążyć, wyciąga rączki z płaczem:

- Mamo, mamo!

- Kobieto, weźże to dziecko na ręce!

- Panie, panie, to nie moje dziecko, to nie moje! - krzyczy histerycznie kobieta i ucieka, zakrywając rękoma twarz. Chce skryć się, chce zdążyć między tamte, które nie pojedą autem, które pójda pieszko, które będą żyć. Jest młoda, zdrowa, ładna, chce żyć.

Ale dziecko biegnie za nią, skarżąc się na cały głos:

- Mamo, mamo, nie uciekaj!

- To nie moje, nie moje, nie!...

Aż dopadł ją Andrej, marynarz z Sewastopola. Oczy miał mętne od wódki i upału. Dopadł ją, zbił z nóg jednym zamaszystym uderzeniem ramienia, padającą chwycił za włosy i dźwignął z powrotem do góry. Twarz miał wykrzywioną wściekłością:

- Ach, ty, jebit twoju mat', blad jewrejskaja! To ty od swego dziecka uciekasz! Ja tobi dam, ty kurwo! - Chwycił ją wpół, zadławił łapą gardło, które chciało krzyżeć, i wrzucił ją z rozmachem jak ciężki wór zboża na auto.

- Masz! Weź i to sobie! Suko! - i cisnął jej dziecko pod nogi.

- Gut gemacht, tak należy karać wyrodne matki - rzekł esman stojący przy samochodzie. - Gut, gut Ruski.

- Mołczy!<sup>102</sup> - warknął przez zęby Andrej i odszedł do wagonów. Spod kupy szmat wyciągnął ukrytą manierkę, odkręcił, przytknął do ust sobie, potem mnie. Parzy gardło spirytus. Głowa szumi, nogi uginają się, zbiera się na torsje.

Raptem spośród tej całej fali ludzkiej, która parła ślepo w stronę aut jak rzeka pchana

---

<sup>102</sup> Mołczy (roś.) - milcz



niewidzialną siłą, wynurzyła się dziewczyna, zeskoczyła lekko z wagonu na żwir i spojrzała dokoła badawczym okiem, jak człowiek, który czemuś bardzo się dziwi.

Bujne jasne włosy rozsypały się miękką falą na ramiona, strząsnęła je niecierpliwie. Przesunęła odruchowo rękoma po bluzeczce, poprawiła nieznacznie spódniczkę. Stała tak chwilę. Wreszcie oderwała wzrok od tłumu i przesunęła spojrzeniem po naszych twarzach, jakby kogoś szukając. Nieświadomie szukałem jej wzroku, oczy nasze spotkały się.

- Słuchaj, słuchaj, powiedz, dokąd oni nas powiozą? Patrzyłem na nią. Oto stoi przede mną dziewczyna o cudnych, jasnych włosach, o ślicznych piersiach, w batystowej letniej bluzeczce, o mądrym, dojrzałym spojrzeniu. Stoi, patrzy mi prosto w twarz i czeka. Oto komora gazowa: wspólna śmierć, ohydna i obrzydliwa. Oto obóz: z ogoloną głową, watowane sowieckie spodnie na upał, wstrętny, mdły zapach brudnego, rozparzonego ciała kobiecego, zwierzęcy głód, nieludzka praca i ta sama komora, tylko śmierć jeszcze ohydniej sza, jeszcze obrzydliwsza, jeszcze straszniejsza. Kto raz tu wszedł, nic, nawet popiołów swoich nie wyniesie na postenkettę, nie wróci do tamtego życia.

165

„Po cóż ona to przywiozła, przecież i tak jej zabiorą” - pomyślałem mimo woli, dostrzegłszy na przegubie ręki śliczny zegarek o drobniutkiej złotej bransoletce. Taki sam miała Tuśka, tylko na czarnej wąskiej tasiemce.

- Słuchaj, odpowiedz. Milczałem. Zacisnęła usta.

- Już wiem - rzekła z odcieniem pańskiej pogardy w głosie, odrzucając w tył głowę; śmiało poszła w stronę samochodów. Ktoś ją chciał zatrzymać, odsunęła go śmiało na bok i wbiegła po schodkach na wypełnione już prawie auto. Zobaczyłem tylko z daleka bujne jasne włosy, rozwiane w pędzie.

Wchodziłem do wagonów, wynosiłem niemowlęta, wyrzucałem bagaże. Dotykałem się trupów, ale nie mogłem przemóc wzbierającego dzikiego strachu. Uciekałem od nich, ale leżały wszędzie; poukładane pokotem na żwirze, na cementowym skraju peronu, w wagonach. Niemowlęta, ohydne nagie kobiety, poskręcani w konwulsjach mężczyźni. Uciekam jak najdalej. Ktoś mnie smaga trzcina po plecach, kątem oka dostrzegam klnącego esmana, wymykam mu się i mieszam się w grupie pasiastej Kanady. Wreszcie znów włązę pod szyny. Słońce pochyliło się głęboko nad horyzontem i krwawym, zachodzącym światłem oblało rampę. Cienie drzew wydłużały się upiornie, ludzki krzyk bił w niebo coraz głośniej i natarczywiej.

Dopiero stąd, spod szyn, widać całe piekło kotłującej się rampy. Oto para ludzi padła na ziemię, spleciona rozpaczliwym uściskiem. On wbił kurczowo palce w jej ciało, zębami chwycił za ubranie. Ona krzyczy histerycznie, przeklina, bluźni, aż przyduszona butem rzeźi i milknie. Rozszczepiają ich jak drzewo i wpędzają jak zwierzęta na auto. Oto czterech z Kanady dźwiga trupa: olbrzymią, opuchniętą babę, klną i pocą się z wysiłku, kopniakami odganiają zabłąkane dzieci, które płaczą się po wszystkich kątach rampy, wyjąc przeraźliwie jak psy. Chwytają je za karki, za łby, za ręce i wrzucają na kupę, na ciężarówkę. Tamtych czterech nie da rady dźwignąć baby na auto, wołają innych i zbiorowym mozolem wpychają górę mięsa na platformę. Z całej rampy znosi się trupy wielkie, nabrzmiałe, opuchnięte. Między nie ciska się kaleki, sparaliżowanych, przyduszonych, nieprzytomnych. Góra trupów kotłuje się, skowycze, wyje. Szofer zapuszcza motor, odjeżdża.

- Haiti halt! - wrzeszczy z daleka esman. - Stój, stój, do cholery!

Włoką starca we fraku, z opaską na ramieniu. Starzec głową tłucze o żwir, o kamienie, jęczy i bezustannie, monotonna zawodzi: „Ich will mit dem Herm Kommandanten sprechen - chcę mówić z panem komendantem.” Powtarza to ze starczym uporem całą drogę. Wrzucony na auto, przydeptany czyjąś nogą, przyduszony, wciąż rzeźi: „Ich will mit dem...”

- Człowieku, uspokój siebie, ale! - woła do niego młody esman, zaśmiewając się głośno - za pół godziny będziesz gadał z największym komendantem! Tylko nie zapomnij powiedzieć mu: Heil Hitler!

Inni niosą dziewczynkę bez nogi; trzymają ją za ręce i za tę jedną, pozostałą nogę. Łzy ciekną jej po twarzy, szepce żałości: „Panowie, to boli, boli...” Ciskają ją na auto między trupy. Spali się żywcem wraz z nimi.

Zapada wieczór chłodny i gwiazdzisty. Leżymy na szynach, jest niezmiernie cicho. Na wysokich słupach palą się anemiczne lampy, za kręgiem światła rozciąga się nieprzenikniona ciemność. Krok w nią, i człowiek znika bezpowrotnie. Ale oczy postów patrzą uważnie. Automaty są gotowe do strzału.

- Wymieniłeś buty? - pyta mnie Henri.

- Nie.

- Czemu?

- Człowieku, ja mam dosyć, kompletnie dosyć!

- Już po pierwszym transporcie! Pomyśl, ja - od Bożego Narodzenia przewinęło się przez moje ręce chyba z milion ludzi. Najgorsze są transporty spod Paryża: zawsze człowiek spotyka znajomych.

- I co im mówisz?

- Że idą się kąpać, a potem spotkamy się w obozie. A ty byś co powiedział?

Milczę. Pijemy kawę zmieszaną ze spirytusem, ktoś otwiera puszkę kakao, miesza z cukrem. Czerpie się to dłonią, kakao zalepia usta. Znów kawa, znów spirytus.

- Henri, na co my czekamy?

- Będzie jeszcze jeden transport. Ale nie wiadomo.

- Jeżeli przyjdzie, to ja nie pójdę go rozładowywać. Nie dam rady.

- Wzięło cię, co? Dobra Kanada?! - Henri uśmiecha się dobrotliwie i znika w ciemności. Po chwili wraca.

- Dobrze. Tylko uważaj, żeby cię esman nie złapał. Będziesz tu cały czas siedział. A buty ci skombinuję.

- Daj mi spokój z butami.

Chce mi się spać. Jest głęboka noc.

Znów antreten, znów transport. Z ciemności wynurzają się wagony, przechodzą przez pas światła i znów znikają w mroku. Rampa jest mała, ale krąg światła jest jeszcze mniejszy. Będziemy wyładowywać kolejno. Gdzieś warczą auta, podjeżdżają pod schodki upiornie czarne, reflektorami oświetlają drzewa. Wasser! Luft!<sup>103</sup> Znów to samo, spóźniony seans tego samego filmu: strzelają serią automatu, wagony uspokajają się. Tylko jakaś dziewczynka wychyliła się do pół ciała z okienka wagonu i straciwszy równowagę upadła na żwir. Chwilę leżała ogłuszona, wreszcie podniosła się i zaczyna chodzić w kółko, coraz prędzej i prędzej, sztywno wymachując rękoma jak na gimnastyce, łapiąc głośno powietrze i wyjąc monotonicznie, piskliwie. Dusząc się - dostała obłądu. Działa na nerwy, więc podbiegł do niej esman, okutym butem kopnął w plecy: upadła. Przydeptał ją nogą, wyjął rewolwer, strzelił raz i drugi: została, kopiąc nogami ziemię, aż znieruchomiała. Poczęto otwierać wagony.

Byłem znów przy wagonach. Buchnął ciepły, słodki zapach. Góra ludzka zappełniała wagon do połowy, nieruchoma, potwornie poplątana, ale jeszcze parująca.

- Ausiaden! - rozległ się głos esmana wynurzającego się z ciemności. Na piersiach miał zawieszony przenośny reflektor. Zaświecił do wnętrza.

- Co stoicie wy tak głupio? Wyładowywać! - i świsnął kijem przez plecy. Chwyciłem rękę trupa: dłoń jego kurczowo zawarła się wokół mojej ręki. Szarpnąłem z krzykiem i uciekłem. Serce mi łomotało, dławilo gardło. Mdłości zgmiotły mnie naraz. Wymiotowałem, skulony pod wagonem. Chwiejąc się przekradłem się pod szyny.

Leżałem na dobrym, chłodnym żelazie i marzyłem o powrocie do obozu, o pryczy, na

---

<sup>103</sup> Wasser! Luft (niem.) - Wody! Powietrza

której nie ma siennika, o odrobinie snu wśród towarzyszy, którzy w nocy nie pójdą do gazu. Naraz obóz wydał mi się jakąś zatoką spokoju. Wciąż umierają inni, samemu się jeszcze jakoś żyje, ma się co jeść, ma się siły do pracy, ma się ojczyznę, dom, dziewczynę...

Światła migocą upiornie, fala ludzi płynie bez końca, mętna, zgorączkowana, ogłupiała. Wydaje się tym ludziom, że rozpoczynają nowe życie w obozie i psychicznie przygotowują się na ciężką walkę o byt. Nie wiedzą, że zaraz umrą i że złoto, pieniądze, brylanty, które zapobiegliwie ukrywają w fałdach i szwach ubrania, w obcasach butów, w zakamarkach ciała - już im nie będą potrzebne. Fachowi, rutynowani ludzie będą im grzebać we wnętrznościach, wyciągną złoto spod języka, brylanty z macicy i kiszki odchodowej. Wyrwą im złote zęby. W zabitych szczelnie skrzyniach odeślą do Berlina.

Czarne postacie esmanów chodzą spokojne, fachowe. Pan z notatnikiem w ręku robi ostatnie kreski, dopełnia liczby: piętnaście tysięcy.

Dużo, dużo aut pojechało do krematorium.

Już kończą. Trupy porozkładane na rampie zabiera ostatnie auto, kłamoty są załadowane. Kanada objuczona chlebami, marmoladą, cukrem, pachnąca perfumami i czystą bielizną, ustawia się do odmarszu. Kapo kończy ładowanie kotła od herbaty złotem, jedwabiami i czarną kawą. To na bramę dla wachmanów: puszcza komando bez kontroli. Parę dni obóz będzie żył z tego transportu: zjadał jego szynki i kiełbasy, konfitury i owoce, pił jego wódki i likiery, będzie chodził w jego bieliznie, handlował jego złotem i tłumokami. Wiele wyniosą cywile za obóz, na Śląsk, do Krakowa i dalej. Przywiozą papierosy, jajka, wódkę i listy z domu.

Parę dni będzie obóz mówił o transporcie „Sosnowiec-Będzin”. Był to dobry, bogaty transport.

Gdy wracamy do obozu, gwiazdy poczynają blednąć, niebo staje się coraz bardziej przezroczyste, podnosi się nad nami, noc przejaśnia się. Zapowiada się pogodny, upalny dzień.

Z krematoriów ciągną potężne słupy dymów i łączą się w górze w olbrzymią, czarną rzekę, która niezmiernie powoli przewala się przez niebo nad Birkenau i niknie za lasami w stronę Trzebini. Transport sosnowiecki już się pali.

Mijamy oddział SS idący z bronią maszynową na zmianę warty. Idą równo, człowiek przy człowieku, jedna masa, jedna wola.

- Und morgen die ganze Welt...<sup>104</sup> - śpiewają na całe gardło.

---

<sup>104</sup> Und morgen die ganze Welt... (niem.) - A jutro cały świat..., fragm. pieśni hitlerowskiej

- Rechts ran! Na prawo! - pada od czoła komenda. Usuwamy się im z drogi.

## ŚMIERĆ POWSTAŃCA

Obok rowu, za wąskim pasmem łąki, leżało pole zasadzone burakami. Wychyliwszy się za brunatny nasyp świeżo wyrzuconej, lepkiej gliny, widziało się prawie że osiągalne zielone, mięsiste liście, a pod nimi białe, o różowych żyłach końskie buraki, rozparte w mokrej ziemi. Pole ciągnęło się zboczem pod górę i urywało się pod ścianą czarnego lasu, rozmazanego w rzadkiej mgle. Na skraju lasu stał post. Sterczała z niego jak kopia śmieszna tyczka długiego, podobno duńskiego karabinu. O kilkadziesiąt metrów na lewo, pod rachitycznymi śliwami, rozsiadł się drugi post i owinąwszy się szczelnie w lotniczy szary płaszcz, patrzył spod nasuniętej na uszy i czoło furażerki w dolinę jak na dno wanny.

Dalej na zboczu, tam gdzie las schodził w dół kępami młodych wierzb, między niespodziewanie żywotną rzeczką a szosą przecinającą w poprzek dolinę, jeździły olbrzymie traktory, równając pługami ziemię rwaną przez bagry<sup>105</sup> i podwożoną z dołu przez szeregi wagoników pchanych przez ludzi. Było tam niebezpiecznie, gwarno i tłoczno. Ludzie pchali lory, nosili podkłady i szyny, rwali płatami murawę na zamaskowanie budynków, pod które grunt dopiero równał traktor.

Na dnie wanny kopaliśmy rów. Rów, przewidująco wykończony w dobrych czasach, kiedy świeciło słońce i pełno było pod drzewami dojrzałych, strząśniętych przez wiatr śliwek, zaczął się podczas deszczów obsypywać, a nawet grozić całkowitym zawaleniem się, jako że do wodociągów ściany kazano nam kopać prosto, a nie - jak to się mówi - na sago, nie przewidziawszy, że Norwegowie, którym polecono w rowach układać rury na wodociąg, wymrą solidarnie co do jednego już po pierwszych dziesięciu kilometrach.

Czym prędzej więc zabrano nas do noszenia szyn i wyciągania poplątanych prętów stalowych leżących, jak Bóg zdarzył, kupą na dworcu i zagnano na dno wanny poprawić rów, który ciągnął się nieprzyzwoicie blisko pola buraczanego.

- Pomyślałbyś, taki rów, że niby nic nie znaczy - rzekłem do Romka, byłego dywersanta spod Radomia, od dwóch lat odrabiającego w obozach Niemcom to, co im w Polsce napsuł. Pracowaliśmy na spółkę od chwili założenia tego parszywego obozu na skraju małej łączki pod jednym z wirtemberskich wzgórz i doszliśmy w kopaniu rowów do niejkiej wprawy. On dziabął kilofem miękką ziemię na kaszkę, a ja wyrzucałem ją końcem łopaty na grzbiet nasypu. Kiedy on się kiwał, przyczepiony leniwie do kilofa, opierałem się o wilgotną, popękaną ścianę rowu lub siadałem na umiejętnie podłożonej łopacie. Kiedy ja się kiwałem,

---

<sup>105</sup> Bagry (z niem. Bagger) - pogłębiarki

on przejmował moją funkcję podpierania rowu. Z daleka wyglądało to tak, jakby w rowie był jeden człowiek, który pracuje wolno, ale za to gorliwie i bez odpoczynku.

- A bo co, że rów? - podtrzymał rozmowę Romek, kiwnąwszy się bez zapału na kilofie. Umiejętność prowadzenia rozmowy i przewlekania jej przez cały dzień była prawie tak samo ważna jak jedzenie. - Osypał się, i tyle. Jak go poprawimy, to pójdziemy dalej - mówił, przedzielając rytmicznie słowa kłapnięciami kilofa.

- Aby nie do noszenia szyn albo podkładów, jak ci tam od powstania. Przy łopacie i kilofie ujdzie jeszcze wytrzymać. Ale jak chcesz coś powiedzieć, to mów od razu, a nie tak, na okrąg.

Popatrzył po horyzoncie. Miał niebieskie, jakby wypłowiałe oczy i dobroną, bardzo przychudzoną twarz o silnie zarysowanych kościach policzkowych.

- Nawet słońca nie widać - zauważył zmartwiony. - Jak myślisz, będzie deszcz? Skulił się pod ścianą we wnęce po przezornie oddziabanej glinie. Było tam sucho i jakby cieplej. Nad rowem szedł porywisty jesienny wiatr i pędził górą niespokojne, nabrzmiące deszczem obłoki, ale w dole było zacisznie.

- Frajer deszcz - odparłem lekkomyślnie. - Albo to pierwszozna dla nas? A popatrz, rów, jakeśmy zaczęli kopać, to było nas starych równo tysiąc ludzi. Chłop w chłop, wysiedzianych po nie byle jakich obozach. Co to niejedno już widzieli.

Machnąłem w milczeniu parę razy pustą łopatą i przytrzymałem osypujące się z nasypu grudy.

- Wykopaliśmy rów, trochę słońce poświeciło, trochę deszcz popadał, trochę się rów osypał - i została nas połowa. A z tych tam - wskazałem głową za zakręt rowu, gdzie pracowała reszta naszej grupy, ci tam od powstania - to nie wiem, czy i połowa żyje. Mówili, że truponosy dostali wczoraj po dwa bochenki chleba, bo wywieźli pięćdziesiąt trupów w skrzyni. A jeden Żyd to się utopił w błocie na środku obozu. Dlategośmy wczoraj tak długo na apelu stali. U nas zupa była już zimna na bloku.

Były dywersant podniósł się z wnęki i pochwycił za kilof.

- Nie dwa, nie dwa bochenki - tylko każdy trupiarcz dostał po pół bochenka i trochę margaryny w nagrodę. A wiesz, tych tam, jak ty mówisz, powstańców, to nie szkoda mi wcale. Ja im nie kazałem tutaj przyjeżdżać. Sami chcieli. Ochotnicy, pod koniec wojny dobrowolnie lager przyjechali budować, kraj uprzemysłowić - dodał zgryźliwie i zakończył przekleństwem.

- Pewnie już cały rów uprzętnęli, bo coś nie słyhać, żeby się kłócili o politykę. Musieli dalej odejść. Starają się od rana jak głupi. Myślą, że majster Batsch da któremu

skórek od chleba.

- A jakże, da! Nie bój się, nasz Chorwat dobrze popatrzy, porachuje, a dopiero da ci, jakby to była kielbasa! Ma on swój system, umie podbechtać do pracy, niby nie bije, a skórkami mami. Umie dać szpilę, a ty, głupi, pracuj. Kto chce zdechnąć, niech czeka na skórki. Ja tam wolę mniej zjeść, a nic nie robić.

- Narobi się taki jeden z drugim za cały bochenek, a zje kawałek skórki - potwierdziłem skwapliwie. - Chyba pójde po buraki. Zjadłoby się trochę, no nie? Akurat dobrze, bo majster na wieś poszedł.

- A pewnie, że dygaj. Twoja kolej teraz. Ja wczoraj przyniosłem i przedwczoraj. Ale uważaj na kapę, kręci się tam przy bagrze - ostrzegł Romek. - Przynieś ze dwa, może coś się skombinuje. Głupich nie brak. Tylko nie daj komu.

- Gdzieżby tam! Stary na pewno przyjdzie! On przecie chleba woli nie dojeść, a zieleniny nawpychać się musi, byle dużo. Czego on nie je! I mlecz, i dziki czosnek, i pietruszkę z łąki. Ja ci mówię, że on wy kituje.

Wetknąłem uważnie łopatę w ziemię, żeby, padając, nie ubabrała się w błocie, i chyłkiem polazłem wzdłuż rowu między kałużami z ostatniego deszczu.

Rzecz polegała na tym, że trzeba było rwać buraki nie z pola leżącego pod nosem, lecz z drugiego, bliżej traktorów, wrzasku pchających naładowane ziemią wagony ludzi, nerwowego jak ryba na haczyku kapy, no i posta, któremu z nudów nadarza się czasem kogoś postrzelić. Za rwanie bowiem buraków groziły niedwuznaczne sankcje, bo cóż winni są spokojni wieśniacy z Wirtembergii, że zjechała na ich ziemię niespodzianie banda więźniów i rozłożyła się małymi lagerkami od Stuttgartu aż do Balingen, żeby z kamienia robić olej? Już i tak wycierpieli dosyć, poryto im paskudnie łąki, zajęto pastwiska pod urządzenia połowych fabryk, a żołnierze i majstrowie z Armii Pracy Todta<sup>106</sup> grasują z upodobaniem po ogrodach i sadach, a jeszcze więcej po narzeczonych nieobecnych autochtonów przebywających zur Zeit<sup>107</sup> na froncie.

Za zakrętem rowu, w pewnym oddaleniu od nas, pracowała grupa starych panów z powstania warszawskiego, ubrana jednolicie, aczkolwiek z pewnymi indywidualnymi odchyleniami, w pasiaki. Jeden wpuścił marynarkę w spodnie, innemu wystawała spod marynarki torba cementowa, świetna ochrona od deszczu i wiatru, inny jeszcze posłużył się papą, którą nałożył na siebie, wydawszy otwory na głowę i ręce.

---

<sup>106</sup> Armia Pracy Todta (Organisation Todt) - hitlerowska organizacja budowlana. Budowała obiekty wojskowe, wykorzystując jako siłę roboczą m. in. więźniów z obozów koncentracyjnych

<sup>107</sup> Zur Zeit (niem.) - obecnie, teraz



- Panowie, przepuście mnie, szczęście wam Boże w pracy - rzekłem układnie. - A wy, powstaniec, moglibyście zdjąć tę papę z siebie. Nie widzieliście wczoraj, jak esman Żyda zatłukł za słomę, co ją znalazł u niego?

- A czy ja jestem Żyd? Żydów to tam mogą tłuc, a nie Aryjczyków. Zresztą martw się pan o siebie. Ja też, jakbym miał trzy koszule, to byłbym taki mądry i chodził bez papy.

- Panie, pan idzie po buraki? - zapytał mnie ten od utyłanych, niegdyś eleganckich trzewików.

- No? A jak po buraki, to co?

- Przyniósłbyś pan jednego dla nas.

- Burak szkodzi na żołądek, proszę pana. Dostanie pan durchfallu i wykituje pan w try miga. Nie lepiej to przeżyć?

- Kiedy się, proszę pana, jeść chce. A jak człowiek głodny, to mu się nie bardzo chce żyć - rzekł rozsądnie stary.

Przyjrzałem się dokładnie staremu muzułmanów!. Marynarkę przepasał grubym sztukowanym sznurem i wypchał się grubo słomą, która wystawała spod kusego kołnierza postawionego sztorcem, jakby ten kawałek nasiąkłego wilgocią płótna z pokrzywy mógł go ogrzać. Nie wpadło mu natomiast na myśl wpuścić spodnie w owe eleganckie niegdyś trzewiki, jeszcze warszawskie. Były one grubo oblepione błotem, dawnym, zeschniętym, i gęstą mazią nowo nabytej gliny.

- Ej, stary, stary - rzekłem z pogardą - szanować się nie umiecie. Trzeba się trochę ruszyć koło siebie, trochę się ochędożyć, przecie obóz to nie pensjonat, gdzie wam wszystko podadzą, to nie u mamy w domu. Jak się otrzecie z błota i poruszacie się niemnożko<sup>108</sup>, to wam od razu więcej zdrowia przybędzie, niż gdybyście pajdkę chleba zjedli. A jak będziecie tylko buraki jeść i jeszcze co dzień papierosa kupować za pół miski zupy, to myślicie, że co? Że wytrzymacie? Wwałą w skrzynię i wywiozą, i tyle będzie z was. Już i tak wyglądacie jak półtora nieszczęścia.

- Jakbyś pan zjadł tylko liter zupki na wodzie i pajdkę chleba, tobyś też tak wyglądał jak my - przerwał potok mej wymowy ten w nakryciu z papy.

- Albo ja więcej jem od was, czy co? - oburzyłem się szczerze. - Tylko nie jestem wzwyczajony do frykasów jak wy z Warszawy. I szanować się umiem.

- A kto wczoraj menażkę zupy z naszego bloku wyniósł, jak nie ty? Może powiesz: nieprawda?

---

<sup>108</sup> Niemnożko (roś.) - troszkę

- Sprzedałem wczoraj miotłę blokowemu z waszego bloku i za to dał mi miskę zupy. Pracowaliśmy wszyscy koło wikliny. Czyja wam bronielem robić miotły? Wyście sobie wygodnie w południe leżeli, jak ja witki plotłem.

- Tee, te, ja też jestem taki mądry. Albo ode mnie blokowy weźmie? Woli dać zupy za darmo któremuś z was, z Oświęcimia.

- Jak posiedzisz parę latek jak my wszyscy, to i tobie wszędzie dadzą drugą miskę zupy - odpowiadam rozdrażniony i biegnę do buraków, klnąc siebie za niepotrzebną zwłokę.

Jakieś sto metrów dalej rów skręcał ku czarnemu kwadratowi ziemi tarmoszonej przez traktory i bagry. Tuż przed zakrętem nasyp nad rowem był usunięty, a w ścianie rowu wykopano dwie płytkie dziury, w których stopa znajdowała oparcie jak ułał. Wsadziwszy nogę w zagłębienie i chwyciwszy się palcami krawędzi rowu wy-dźwignąłem się z wysiłkiem ponad rów i nie zważając, że cała marynarka obłazi mi błotem, popelźłem ostrożnie między buraki. Tutaj, zakryty po trosze buraczanymi liśćmi, poczułem się nieco raźniej. Na oko wybrałem najgrubszą bulwę, bez pośpiechu poobrywałem liście i wyważyłem ją z ziemi. Oglądałem się za rzepą, ale prócz pękatych, biało-różowych buraczanych łbów nic innego nie umiałem dostrzec. Zdobyłem tedy jeszcze jeden burak, wsadziłem oba pod marynarkę i trzymając w ręku parę liści jako osłonę przed wzrokiem kapy albo posta, począłem wycofywać się do rowu. Wreszcie wsunąłem się między spękane, wilgotne ściany i odetchnąłem z ulgą.

Oczyściłem marynarkę i spodnie wyjętą z kieszeni drewnianą łopatką, oskrobałem bardzo starannie ręce i buty i przytrzymując buraki pod połami marynarki szybko podyrdałem do swoich. Byłem trochę podniecony i oddychałem jak zgoniony pies.

- Panie, daj pan jednego, daj pan kawałek - namawiali mnie powstańcy, kiedy przechodziłem koło nich.

- Ludzie, zostawcie mnie w spokoju! - zawołałem prawie że z rozpaczą, przyciskając do brzucha obrzydliwie wilgotne buraczane łby. - A idźcie sobie urwać! Tam rosną buraki dla wszystkich! Co to ja jeden jestem?

- Kiedy panu łatwiej, bo pan jest młody! - rzekł ten od nakrycia z papy.

- To zdychajcie, jak jesteście starzy i boicie się. Jakbym ja się bał, toby już dawno trawa po mnie rosła!

- To się udław, ty sukinsynu! - krzyknął za mną nieprzyjaźnie pan w nakryciu z papy.

Przecisnąłem się do byłego dywersanta. Romek kucnął sobie w rowie, trzymając się rękoności kilofa.

- I tak nikt nie patrzy, to po co się starać? - powiedział bardzo rozumnie.

Wyciągnąłem buraki spod marynarki. Dywersant dziabnął kilofem w dno rowu, wykopał mały dołek, wyjął z zakamarków odzienia rzecz nieocenioną: scyzoryk, i obrał starannie buraki, wrzucając łupiny do dołka.

- Rozumiesz, raz poszliśmy robić jednego sołtysa, niedaleko od Radomia - mówił, wycinając z buraków żyłaste, nie nadające się na wybredniejsze podniebienie części. - Jeżyny czy Dierzyny, jakoś tak się ta wioska nazywała. Obstawiliśmy chałupę na olaboga i Wilk - we wszystkich opowiadaniach Romka Wilk grał pierwsze skrzypce - wlaź przez okno do chałupy, czekamy, aż się załatwi. Ale on nic, tylko mnie woła. Włazę, rozmiesz, i ja, rozglądam się, bo trochę ciemno, leży sołtys z babą w łóżku i nie chce wyjść. „Chodź na przesłuchanie”, mówi Wilk. „Ja go nie puszczę, przesłuchaj ta go w łóżku”, powiada baba. A sołtys milczy ze strachu. Wal, mówię, w poduszkę, trudno, czego się nie robi dla Ojczyzny. Wywaliliśmy na spółkę w chłopą, aż pierze pod sufit poleciało. Myślisz, baba w krzyk za nim? Akurat! „Takie owakie - powiada - partyzanty jedne, poduszkę i pierzynę mi do cna ino zmarnowali!”

- Bujda wszystko - zawyrokowałem, zaklepując łopatą dołek z obierkami. - Ale co ma sołtys do buraków?

- A ma, i to bardzo dużo - dywersant podał mi pokrojony na części burak, który natychmiast schowałem do kieszeni - bo w spiżarni u starego tośmy taki - zatoczył ręką nieprawdopodobne koło - wieniec kielbasy zafasowali.

- A jakiej kielbasy, proszę pana? Bo ja się trochę na wędlinach znam - rzekł niespodziewanie stary w zabłoconych, niegdyś eleganckich trzewikach. Podszedł do nas po cichu i oparłszy się na łopacie, z nabożeństwem wysłuchiwał historyjki dywersanta, z nie mniejszym nabożeństwem śledząc krajanie buraków.

- Jakiej kielbasy? Wiadomo, że nie serdelowej. Zwykłej wiejskiej kielbasy z czosnkiem - odrzekł opryskliwie Romek. - Na pewno lepsza od tych buraków. To sobie możecie wyobrazić!

Podał mi plasterek buraka i odkroił sobie drugi. Miały nudną, piekącą słodycz sacharyny i rozchodziło się od nich nieprzyjemne zimno po ciele. Dlatego jadło się je ostrożnie i małymi dawkami.

- Panie, daj pan kawałek, nie bądź pan taki.

Człowiek w trzewikach ze starczym uporem tkwił wciąż nad nami.

- Trzeba było urwać sobie - rzekł Romek. - Chcielibyście tylko, żeby ktoś za was tyłka nadstawiał jak w Warszawie, prawda? Sami to się boicie?

- Jakże ja mogłem walczyć w Warszawie, jak mnie zaraz Niemcy wywieźli?

- Idźcie, idźcie, stary, do roboty i starajcie się dalej, to wam majster Batsch może skórek od chleba da - rzekłem drwiąco, a kiedy nie odchodził, nie mogąc oderwać oczu od chrupanych przez nas nonszalancko plasterków, dodałem zniecierpliwiony: - Słuchajcie no, stary, buraki szkodzą na żołądek. Za dużo w nich wody. A wy zjadacie całe główki. Nogi was nie bolą?

- Gdzie tam, żeby bolały, tylko mi trochę opuchły - rzekł z ożywieniem stary, podciągając do góry zabłocone nogawki pasiaka. Z utyłanych w błocie, niegdyś eleganckich trzewików, z fantastycznie poskręcanych szmat i ścierek wyłaziły obrzmiałe, chorobliwie białe, prawie sine łydki.

Pochyliłem się i nacisnąłem palcem skórę. Dywersant gmerał obojętnie kilofem w ziemi. Nie imponowały mu byle jakie opuchnięte nogi.

- Widzicie, stary, palec włazi w ciało jak w wymieszane ciasto. A wiecie dlaczego? Woda, nic, tylko woda. Jak dojdzie od nóg do serca, to wtedy kaput. Nie można nic pić, nawet kawy. I zieleniny, ma się rozumieć, także nie jeść. A wy buraków chcecie.

Stary krytycznie spojrział na łydkę, a potem podniósł na mnie oczy bez wyrazu.

- Dam wam kawałek chleba, ale za całego buraka - powiedział bezdźwięcznie i wyciągnął z kieszeni omotany w brudną szmatę chleb, tak z pół pajdki rannej, jak błyskawicznie i fachowo oceniłem.

Dywersant oparł się na kilofie, a drugą ręką chwycił się pod bok.

- Widzicie, stary, zawszeście jednakowi. Co dzień z wami to samo. Trzeba było od razu wyciągnąć chleb, a potem opowiadać dyrdymałki. Że też wy od rana umiecie dotrzymać - dodał z mieszaniną pogardy, uznania i zazdrości.

- Ano, jak trzeba. Takim burakiem to człek przynajmniej kiszki napcha. Dajcie prędzej, bo do roboty trza. Gadamy i gadamy, a tam inni za mnie kopią.

- Chleba dajecie za paznokieć, a buraka to chcecie za całą rękę - rzekł dla zasady Romek. - Ale niech tam już będzie, żebyście nie marudzili.

Chwycił chleb, położył go we wnęce, następnie wyjąwszy z kieszeni kawałki buraka, poskładał je do kupy, aby unaocznic, że kantu nie ma i że to rzeczywiście cały, nie nadkrojony burak, i wręczył je staremu, który zebrawszy kawałki buraka w podolek, odszedł w pośpiechu za zakręt rowu, ciągnąc za sobą łopatę.

Wtedy Romek sięgnął do wnęki, wyjął chleb, podzielił go sprawiedliwie na dwie równiutkie części i podał mi jedną. Poczuliśmy obaj żuć, uważnie mieszając chleb ze śliną i połykając bez pośpiechu. Wreszcie Romek wyciągnął z kieszeni dwie przyduszone, zwiędłe śliwki. Z chytrym uśmiechem rzucił mi jedną. Złapałem ją w powietrzu.

- Trzeba mieć, uważasz, cierpliwość i umieć donosić żarcie do czasu. Znalazłem śliwki, jak chodziliśmy po narzędzia rano do budy. Żebym to ja tak chleb umiał dotrzymać... Ale ty byś od razu zjadł.

- Naturalnie, że bym zjadł - odpowiadam zgodnie. Znów bez porozumienia wróciliśmy do dawnego systemu pracy. On kiwał się na kilofie, krusząc resztki grud upadłych z nasypu, a ja podpierałem wnękę, w której wydawało się nieco cieplej niż w gołym rowie, może dlatego że nad rowem szedł wiatr, a tu było trochę ziemi nad głową niby dach.

- Wiesz, jak w Oświęcimiu dostawałem paczki, to mleko skondensowane od razu wypijałem - mówię w rozmarzeniu. - Nigdy nie umiałem podzielić. A tutaj porcje także od razu zjadam. Widziałeś mnie kiedy, żebym miał chleb przy sobie? Raz-dwa zjeść, troszkę kawy popić, ale niedużo, i przestać cały dzień przy łopacie. Grunt to nie narobić się.

- Najlepszy system to nie nosić jedzenia w kieszeni. Co w żołądku, tego ani złodziej nie ukradnie, ani ogień nie spali, ani na podatki nie wezmą. Taki, co dzieli, gmera, mamrze się zjedzeniem - prędko zdechnie. To żydowski system.

- I warszawski - dodałem, myśląc o odbytej tylko co transakcji.

- I warszawski - zgodził się były dywersant. Wbił kilof w ziemię i oparł się o ścianę rowu. Rów był wąski, ale nieproporcjonalnie głęboki. Wilgotna ziemia pachniała trupim zapachem gnijącej trawy. Z jednej strony rowu wznosił się nasyp, za nasypem szło pole buraków, a dalej traktory, łańcuch wart i las. Z drugiej strony była łąka, na której gdzieś rosy dzikie śliwy. Śliwy dochodziły aż do wsi leżącej zupełnie w dole, poniżej dna wanny. Od nas widać było czub kościoła, który wznosił się w środku wsi nad wodospadem wezbranej w jesieni rzeczki, oraz czerwone dachy domów schodzących coraz niżej. Dalej wspinał się po stoku wzgórza młody świerkowy las. Za lasem leżał nasz mały, niedawno założony obóz, w którym w przeciągu dwu miesięcy umarło trzy tysiące ludzi. Od lasu kładł się biały pas drogi, nikał we wsi i wypływał wraz ze śliwami.

Z daleka, przerysując na ukos łąkę, schodził z drogi majster, odcinając się od mokrej zieleni trawy jaskrawą barwą munduru Armii Pracy Todta. Był to wielki specjalista od instalacji wodociągowych, noszenia szyn i załadowywania worków z cementem oraz świetny, nawet przez oświęcimiaków nie dościgniony, organizator wszelkiego jedzenia po okolicznych wsiach. O swoich ludzi, a miał nas dwudziestu, dbał. Oto zbierał codziennie od swoich kolegów skórki od chleba i rozdawał je tym, którzy najgorliwiej pracowali.

Chwyciłem łopatę do rąk i począłem z energią wyrzucać okruszyny ziemi. Były dywersant wziął kilof i odsunawszy się ode mnie o dobre parę metrów, żeby na kupie nie stać, podniósł kilof wysoko ponad brzegami rowu, pozwalając mu w rowie opadać własnym

ciężarem.

- Zacząłeś coś mówić o rowie przedtem, zdaje się? - zagadnął, gdy milczenie przeciągało się niebezpiecznie. Należało rozmawiać cały dzień, wtedy człowiek tracił poczucie czasu i nie miał okazji do snucia destruktywnych marzeń o jedzeniu. - Pogadajże coś! Jak to było? - i znów machnął kilofem, dbając usilnie, aby błysnąć nim nad rowem.

- Bo to, widzisz, tak się gmera, kopie Niemcowi na pożytek, raz na Śląsku, gdzieś pod Beskidami, raz w Wirtembergu, to znów na granicy szwajcarskiej, coraz to któryś z kumplów umrze, to znów nowych przygnają, i tak, bracie, w kółko. I końca nie widać. A jak przyjdzie zima...

- Nie gadaj. Przyłóż ucho do ściany, a posłyszysz, jak ziemia huczy od artylerii. Kują w nią tam na Zachodzie, kują...

- Już od miesiąca tak kują. Przez ten czas u nas wymarło trochę ludzi, nazwoziliśmy wapna, cegły, cementu, szyn, żelaza i czego tam jeszcze, pokopaliśmy rowy, doły, zbudowaliśmy kolejki - i co? Coraz głodniej i zimniej. I coraz częściej pada deszcz. Jeszcze się człowiek jakoś trzymał nadzieją, że wróci, ale teraz - do kogo? Może też gdzieś tak dołki kopią, jak te nasze powstańcy. Ale nawet gdyby nie, to myślisz, że będziesz umiał żyć? Albo będziesz się bał wiecznie nie wiadomo jakich strachów, albo będziesz grabił oburącz, gdzie się da, bo w co będziesz wierzył? Co tu mówić, ja tam od rana myślę o jedzeniu. I to nie o jakichś tam wspaniałościach, co to się w powieściach czyta. Ale tak do syta chleba i grubo masła na chleb.

- Ja tam nie myślę o tym, co będzie - rzekł ostro dywersant - grunt, aby dzisiaj przeżyć. Chcę wrócić do żony, do dziecka, już się dosyć nawojowałem po świecie. Na pewno będzie ci lepiej niż teraz, nie? A może chciałbyś już tak do końca życia - i zaśmiał się urągliwie.

- Machaj, machaj kilofem - rzekłem ostrzegawczo - majster stoi nad rowem, nie widzisz?

Udając, że go nie dostrzegamy, pracowaliśmy gorliwie, zatopieni na niby w rozmowie. Wywalałem pełne, uczciwe łopaty aż na sam czub nasypu, postępując z wysiłku. Majster Batsch powstał chwilę nad nami, założywszy ręce do tyłu, popatrzył jakby z niezmiernej wysokości i poszedł powoli nad rowem, błyszcząc czernią wysokich butów. Brzeg żołnierskiego płaszcza miał ordynarnie zabłocony.

- Kapo, kapo - krzyknął do mnie, stanąwszy nad grupą powstańców - chodź no tutaj! Dlaczego ten człowiek leży na ziemi? Dlaczego on nie pracuje?

Majstrowie nazywali kapami wszystkich, którzy umieli po niemiecku. Śmieszyło to

bardzo starych oświęcimiaków, a nawet, prawdę powiedziawszy, gorszyło, co kapo bowiem, to kapo.

Podbiegłem rowem. Za zakrętem, na dnie rowu, siedział skulony stary, ten od zabłoconych, a niegdyś eleganckich trzewików, i jęczał, ściskając rękoma brzuch. Majster kucnął nad rowem, troskliwie, ale z daleka zaglądając więźniowi w twarz.

- Chory? - zapytał.

W ręku trzymał spory pakuneczek owinięty w gazetę. Na przeraźliwie bladej twarzy starego powstańca pojawiły się rzadkie krople potu. Oczy miał przymknięte. Powieki drżały mu raz po raz. Musiało mu być gorąco, bo rozpiął kołnierz. Słoma wylazła mu zza pazuchy i sterczała przed twarzą.

- Cóż to, stary, buraki wam, widać, zaszkodziły? - zapytałem ze współczuciem.

Jego towarzysz z kilofem, ten od nakrycia z papy, obrzucił mnie nienawistnym spojrzeniem i rzekł niezdarnie do majstra Batscha:

- Krank. On jest chory, chory - powtórzył z naciskiem, w nadziei, że majster zrozumie po polsku. - Hunger, verstehen?<sup>109</sup>

- No tak, to zupełnie jasne - dopowiedziałem pośpiesznie - nażarł się buraków i teraz dostał bóleści w brzuchu. Dopiero co przyjechał do obozu, to nie wie, że zielenina szkodzi. Na żarłoczność i głód trudno poradzić, proszę pana majstra.

- Buraki? Z tamtego pola, co? O, to bardzo niedobrze. Klauen<sup>110</sup>, prawda? - majster Batsch uczynił dłonią międzynarodowy ruch chowania ukradkiem do kieszeni.

- On nie może tego potrafić! - rzekłem z pogardliwym lekceważeniem. - On kupuje co dzień buraki za chleb.

Majster Batsch pokiwał głową w zrozumieniu, przyglądając się smutnie powstańcowi znad rowu, jakby z krawędzi innego świata. Towarzysz starego, ten od papy, ruszył się niespokojnie.

- Powiedz mu pan, może tego człowieka do lagru zaniosą, przecież on jest chory, ciężko chory.

- Ciężko chory? - rzekłem ze zdziwieniem. - To pan jeszcze mało rzeczy widział na świecie. Ma czas do wieczora. Co pan, dziecko, nie wiesz pan, że żaden post nie pójdzie teraz stąd? Coś pan, pierwszy dzień na komandzie? I zdejmij pan tę papę, bo jeszcze pana kto urządzi. Mówiłem już raz. Znów później powiecie, że my niedobrzy, że nie ostrzegamy.

I odszedłem do swojej łopaty. Dywersant, korzystając z tego, że majster był zajęty

---

<sup>109</sup> Hunger, verstehen (niem.) - głód, rozumieć

<sup>110</sup> Klauen (niem.) - kraść

czym innym, kucnął spokojnie we wnęce, opierając się z wprawą na kilofie. Gdy chwyciłem za łopatę, wyłazł z wnęki i stanął także w pozycji roboczej.

- Stary, prawda? - zagadnął bez zainteresowania.

- Nie pociągnie nawet do wieczora - odpowiedziałem. - Już niejedną setkę takich widziałem. Spuchłe nogi, durchfall, a teraz znów się obżarł burakami. Czarno widzę przed nim.

- Znów jeden mniej... Ja mu nie kazałem przyjeżdżać. Mogli bronić tej Warszawy, jak już zaczęli, nie?

- Pewnie, że mogli. Przecie jak oni jechali do Oświęcimia, to ich nikt nie pilnował. Myśleli, że na roboty. Dorwali się teraz do robót jak chłop do wody sodowej.

Ze złości wywalilem całą grudę ziemi na nasyp, aż ugięła się rękojeść łopaty.

- Co się będziesz martwić za tamtego. Jak kto chce Niemcowi służyć, to dobrze mu tak - rzekł dywersant. - W Oświęcimiu krzyczeli, że oni nie są polityczni, i co trzeci chwalił się, że ma wujka volksdeutscha<sup>111</sup>, tu znów im źle, bo jeść mało dają. Przyjechali sześć tygodni temu i już chcieliby ze trzy miski zupy dostać!

- Dużoś zjadł dzisiaj więcej niż porcja? - zapytałem zainteresowany. Jedzenie było tematem w chwilach szczególniejszych wzruszeń.

- Co tam zjadłem - obruszył się były dywersant spod Radomia.

- Wczoraj to zjadłem. Z rana porcja chleba i co tam było do chleba?

- Margaryna i ser - odpowiedziałem.

- Margaryna i ser. Przez cały dzień nic. Pod wieczór tośmy sprzedali buraka Żydom. Było pół pajdki na dwóch. A wieczorem jeszcze zupa za twoją miotłę. A potem dostałem jeszcze zupy na kuchni, bo odnosiłem kotły.

- Nie mogłeś przyjść po mnie? - zapytałem z żalem.

- Nie, bo musiałem zjeść w kuchni. A dziś - ciągnął dalej - pajdka rano, margaryna na trzydziestu kostka, potem parę śliwek, potem znów ten chleb i trochę buraka. Żeby tak jeszcze...

Urwał i chwycił za kilof. Nad nami stał milczący majster Batsch. Popatrzył z sympatią na naszą zgodę i umiejętną pracę i rzucił między nas pakuneczek owinięty w gazetę. Pod naszymi nogami rozsypały się skórki chleba.

- Właśnie o tym myślałem - rzekł energicznie Romek. I z rozmachem uniósł kilof nad głowę, dbając usilnie, aby błysnąć nim ponad krawędzią rowu, podczas gdy ja skwapliwie

---

<sup>111</sup> Volksdeutsch (niem.) - obywatel kraju okupowanego w czasie II wojny przez Niemców, który w związku z pochodzeniem zadeklarował przynależność do narodu niemieckiego



pochyliłem się ku ziemi.

## BITWA POD GRUNWALDEM

### I

Po szerokim, zalanym słońcem dziedzińcu posesmańskich koszar, jak po dnie głębokiej studni wkopanej w kamienne ściany budynków, głucho, zacięcie wbijając w beton takt, szedł Batalion i śpiewał. Ręce jego, odziane w zielone rękawy odziedziczonych po żołnierzach z SS kurtek, podnosiły się energicznie do pasa i opadały ku ziemi w gniewnym, jednolitym zamachu, jakby to maszerował nie Batalion, a kroczył ufny w swą siłę i ochrypli śpiewem jeden zwielokrotniony człowiek. Tylko pstrokate nogi Batalionu, nakrapiane gdzieś jasną plamą wojskowych chodaków, mąciły wojskową jednoznaczność wyrazu.

Batalion, podobny z lotu do trzech zielonych gąsienic o pręgowanym, sfałdowanym grzbiecie i nieruchomym tułowiu, obszedł sztywno dziedziniec, przywalony drgającym słupem słońca; minął kolumnę rosnących ciężarówek amerykańskich, które wytrząsały ze swego wnętrza, jak z worka z gałganami, jaskrawą zawartość ludzi i bagażu; przybił gorliwiej beton pod wysmukłym, świeżo malowanym masztem, ponieważ wiatr zarzucał nań jak na wędkę barwną szmatę narodową; zelżał pod kupą bali, drew, ociekających igliwem młodych sosen, ławek i krzeseł przygotowanych na wieczorne ognisko; skręcił ostro pod oszkloną niegdyś halą, w której odbywały się do niedawna patriotyczne wiece esesmańskie; zachrupotał wielo- nożnie po szkle z wybitych dokładnie szyb; urwał wpół słowa śpiew i wsunął się jak w tunel w mroczną czeluść hali, odgradzoną od placu ostrym, słonecznym blaskiem i mięsistą, szerniałą zielenią świeżo ciętych gałęzi. Oślepiąco kredowy wąż kurzu, który włókł się za Batalionem, zwinął się u wejścia do hali, zszarzał, przypadł do ziemi i rozdepty przypadkowym podmuchem wiatru napęczniał, pękł, wzbil się w powietrze i rozplynał się w nim bez śladu.

Siedząc z kolanem przy podbródku na wąskim, twardym parapecie okna na trzecim piętrze jednej ze ścian studni i wygrzewając się nago na słońcu jak sparszywiały pies - przeciągnąłem się sennie, ziewnąłem z uznaniem i odłożyłem na bok zorganizowaną w którymś z pokojów oficerskich książkę, opowieść o bohaterskich, wesołych i chwalebnych przygodach Dyla Sowizdrzała i Lamma Pasibrzucha.

- Panowie żołnierze - powiedziałem, odwracając się do sali, żeby z kolei wystawić na słońce plecy. - Batalion pomaszerował do kościoła na mszę arcybiskupią. Dobrze spełniście

swój obowiązek wobec Ojczyzny, która wszędzie na świecie jest tam, gdzie wy jesteście. Wolno spać dalej.

Sala po prostu, po żołniersku śmierdziała zastarzałym, słonym potem nie mytych genitalii. Pod nie bielonymi ścianami, zdobnymi w bogoojczyźniane, hitlerowskie sentencje, stały dwa szeregi żelaznych, piętrowych łóżek; przez środek szły z gruba ciosane stoły, a pod ich nogami wałęsało się parę taboretów bez oparcia i błąkała się bezradna jak zagubione dziecko emaliowana spluwaczka. W powietrzu bzykały cienko wypasione, leniwe muchy i ciężko oddychali rozespiani ludzie.

- A jak maszerowali? Jak wojsko? Bo na ćwiczeniach łążą jak muzułman po błocie - odezwał się podchorąży Kolka, który spał przy ścianie od drzwi.

Olbrzymi i żylasty, nie mieścił się w skąpym łóżku. Chociaż z okazji rozdziału niemieckich marynarek pokłócił się z oficerami i postanowił bojkotować wojsko, nie zrzucił nigdy sukienego munduru; leżał w nim cały dzień na łóżku, dusił się od gorąca i bił podkutymi butami o żelazną poręcz, sypiąc za każdym poruszeniem fury słomy z przegniłego siennika na dolne łóżko, barłóg, na którym sypiałem. Krostowatą twarz zwracał nieodmiennie w stronę okna i patrząc bezmyślnie na mieliznę parapetu łapczywie wsłuchiwał się w śpiew i tupot Batalionu.

- Polska piechota maszeruje dobrze, gdy ją polscy prowadzą oficerowie ku chwale Ojczyzny - wykrzyknąłem, zeskakując z parapetu. Plecy zagrzały mi się tak, jakby je kto skrobał rozpalonymi szpilkami. - Przez sześć lat w lagrze piątkami łązili, teraz odpoczęli dwa miesiące i znów łążą, chwała Bogu i Ojczyźnie, po czterech, a zamiast kapów - oficerowie na czele. Uczyć maszerować to potrafią, ale żeby kucharze żarcia z kuchni dla Żydówek nie wynosili, to nie - dodałem patrząc obojętnie w przestrzeń.

- To pan do mnie kij przytykasz, jeżeli dobrze zrozumiałem - warknął gburowato chorąży, który czytał niemiecką książkę o Katyniu, i zdjęwszy rogowe okulary z nosa, zamrugał ku mnie zaspanymi oczyma krótkowidza. Uporczywie chodził w obcisłych, czyściutkich slipach, świecąc muskularnymi węzłami ciała. Od stóp do głowy pokryty był przyblakłymi wzorkami tatuażu, jak zakurzony glinany talerzyk. Na prawym udzie pięła się ku pachwinie gruba, krzywo wyrysowana strzała, a czerwony napis wskazywał nieomylnie: „Tylko dla pań”.

- Jak kto ma dyżur w kuchni, to niech pilnuje, żeby nie kradli. Patrzy chorąży, czy kucharz kraść zdąży dla Żydówki w ciąży - rzucił od drzwi Stefan, który uczył się angielskiego i szeptem powtarzał słówka. Cisnął książkę na stół i bijąc buciorami o kamień podłogi, podszedł do okna. - Znowu sukinsyny gotują na węglu - rzekł, wysadziwszy głowę

za okno. - Jak mają kuchnię elektryczną, kotły i wszystko, co tam im trzeba dla nas, to co gotują w kuchence? Jasne, że obiad dla oficerów. Niby wszyscy męczennicy z obozu, bracia, koledzy, ale do maszerowania na mszę, a nie do garnka. A jak ci się podoba taki kontroler, co o tym wie i książeczki czyta z obrazkami? Jakby wlaź w tyłek Pułkownikowi, toby nie wylaź, aż dopiero z Podporucznika.

Parsknąłem krótkim, pochwalnym śmiechem. Chorąży poderwał się na łóżku, uderzył głową o ostry kant górnego, zaklął ordynarnie na temat płciowy, pogładził się po rzadkiej i sztywnej siwiźnie i rzekł ze wstrętem:

- Nie czepiaj się mnie ty, wyskrobku bolszewicki, póki się ciebie nie czepiam. A jak ci się nie podoba co, to won z wojska. - Sutki piersiowe, ozdobione parą wytatuowanych uszu i sinymi kropkami imitującymi oczy, zadrgały mu spazmatycznie jak pyszczek zajączka. - Kradną, kradną! Nie szczekaj, jak nie złapałeś. Dobry pies nie szczeka, ale złapie i gryzie.

- Właśnie, właśnie, gryź pan, panie chorąży. Pan jesteś psem od łapania. Pana trzyma Pułkownik na smyczy. - Hau, hau - zaszczekał chrypliwie Stefan i zmrużył złośliwie maleńkie, wypukłe oczki. Zza wykrzywionych nerwowo warg zaświeciły zęby, równe i białe jak u psa. Chodził wzdłuż stołów wyprężony, jakby był przywiązany do budy.

Chorąży powoli wstał z łóżka. Podchorążak Kolka poruszył się z zainteresowaniem i wyjął pięść spod głowy. Siennik zachrzęcił i słoma posypała się na dolne łóżko. Zmarszczyłem z dezaprobatą brwi.

Z dziedzińca zacharczała odjeżdżająca ciężarówka. Doleciały nagle strzępy jazgotliwego gwaru i umilkły, jak nożem uciął.

Jednocześnie zaś chory Cygan, którego omal nie utłukłem w walce o lepsze miejsce w wagonie podczas transportu do Dachau, poruszony nagłą ciszą, podniósł się z jękiem na swoim łóżku.

- O ludzie, ludzie niespokojni, znowu się wam bić zachciewa - zaskomlił, pociągając płaczliwie nosem. - Mało wam jeszcze, że was bieda bije? Ale nasz Polak, nasz brat, zawsze głupi. W łyżce wody chce utopić brata. - I przytknął siną, wychudzoną twarz do poduszki w czerwone maki, którą przyniósł z nocnej rajzy po bauerach. Cierpiał od kilku dni na ciężkie rozwolnienie żołądka. Naćpał się nie gotowanego mięsa baraniego. Leżał nieruchomo, cierpliwy jak chore zwierzę. Wolał zdechnąć niż pójść do szpitala, pamiętał bowiem szpital z małego kacetu Dautmergen.

Chorąży sztywno usiadł na łóżku. Podwinął pedantycznie wystający róg prześcieradła, jedyne zresztą w tej sali. Przebierał nerwowo palcami u nóg. Chwytał książkę, przewrócił z szelestem parę kartek i tępo wpatrywał się w fotografie grobów w Katyniu.

„Nie będzie awantury” - pomyślałem rozczarowany i wychyliłem się przez parapet.

Pod kamiennymi ścianami koszar, na wąskich pasach zieleńców, między rozwalonymi stertami gnijących śmieci, które wonią zarażały cały dziedziniec, pełzały w górę anemiczne drzewka klonów i szczelnie krzewił się tuż nad betonem kwitnący czerwono żywopłot. Wyżej, nad drzewkami i żywopłotem, w wielu szeregach bliźniaczych okien zwisały ze sznurów strzępy różnobarwnej bielizny i kręciły się na szpagatach świeżo malowane drewniane kufierki, wystawione na słońce, aby wyschły.

Na parterze, tam gdzie mieszkali prominenci, siedł rząd weneckich, równo oszklonych okien, dołem tonący w soczystym cieniu, a górą - w słońcu jak w złotej farbecie. Z parteru, z pięter, gdzieś aż spod strychu, darły się chrapliwie niezmordowane radia.

Za bramą, której pilnowali obcy żołnierze, ciągnęły po autostradzie kolumny aut, ciekł nieustannie wąski strumyczek rowerów, barwne letnie sukienki migały wśród bujnych, mocno osadzonych w ziemi platanów.

Tam właśnie był świat, do którego puszczano za dobry marsz, za karny meldunek, za sprzątnięcie korytarza, za lojalność, za niezłomność, a także za Ojczyznę...

A w środkowym skrzydle budynku, na drugim piętrze, tam gdzie były kuchnie Zgrupowania Wojskowego Allach, z małej, zardzewiałej na brąz rury wystawionej nonszalancko przez lufcik - snuł się cichutko niebieski, delikatny dymek i drżąc cieniutką smużką rozpraszał się ukradkiem w powietrzu.

- Ładnie jest, bracia, na świecie - westchnąłem z udanym smętem - ale cóż, człowieku: siedzisz zamknięty jak za Niemca, przepustki ci na świat nie dadzą, bo nie umiesz się lizać, przez dziurę w murze nie wyjdiesz, bo ustrzelą, wiadomo - Häftling<sup>112</sup>. A jak siedzieć? Jak komu syn barana przyniesie albo Niemkę przyprowadzi, to może siedzieć. A ty? Siedz, jak głodno i do domu daleko. Żeby chociaż nie kraśli! Byłoby lżej, że wszystkim jednakowa dola... Ale do czasu, do czasu...

Przez cały czas patrzyłem spod zmrużonych rzęs na chorążego. Chorąży poruszył się niespokojnie na łóżku, usta drgnęły mu złowrogo. Ale nie powiedział nic. Wyciągnął z szafki mundur i począł się ubierać, sapiąc z lekka przez nos. Zacisnął wargi i patrzył w ziemię.

- Pan chorąży pewnie na mszę grunwaldzką? - zapytał obojętnie Kolka z drugiego końca sali.

- Nie, panie podchorąży. Pójdę na kuchnię sprawdzić. Ale jeśli nie znajdę! - mruknął złowieszczo przez zaciśnięte zęby.

---

<sup>112</sup> Häftling (niem.) - więzień.

- Znajdziesz, panie chorąży, znajdziesz - zanucił Stefan.

- Uważaj pan tylko, żeby panu synka nie złapali, bo kto panu da jeść? Pułkownik barana nie przyniesie.

- A ty, Tadziu - podchorąży Kolka przelożył nogi przez poręcz łóżka - nie pójdziesz na Grunwald?

- Nie chce mi się. Może pójdę do teatru. Podobno na ognisko niespodzianki szykują. A co ciekawego na mszy?

- Idź na mszę - namawiał leniwie Kolka. Zapuścił ręce w spodnie i czochrał się z zainteresowaniem. - Idź na mszę, mnie byś opowiedział, panu Redaktorowi napisał do gazetki. Może da ci gulaszu? Gulasz dziś na obiad.

- Da i bez tego. Co dzień mi zupy daje.

- Na dziewczynki byś popatrzył... A nie chciałbyś zobaczyć Arcybiskupa?

- Cóż jest między nami wspólnego? - rozłożyłem ręce z emfazą.

- Mamy tak różne doświadczenia życiowe! On całą wojnę był gdzieś tam w wielkim świecie, co to wiesz - bohaterstwo i Ojczyzna, i trochę Boga. A myśmy mieszkali gdzie indziej, co to brukiew, pluskwy i flegmony. On na pewno jest syty, mnie się chce jeść. On na dzisiejszą uroczystość patrzy pod kątem Polski - ja gulaszu i jutrzejszej postnej zupy. Jego gesty będą niezrozumiałe dla mnie, moje zbyt tuzinkowe dla niego, a obaj sobą troszeczkę pogardzamy. A Grunwald? Albo mi tu źle na parapecie: słońce przypieka, mucha bzyknie, miło się z sąsiadami pogada - ukloniłem się w stronę chorążego - a wszystko widać jak w teatrze. Zresztą - dodałem rzeczowo - jeszcze go nie ma. Dopiero generalicja podąży godnie i w ordynku na świętą mszę, a nad generalicją polata dym i zapach gotującego się dla niej obiadu.

Na czele posuwał się Pułkownik, w mundurze skrojonym przez miejscowych krawców na angielską modę z koca koloru przywiedłego liścia. Widziany w silnym skrócie Pułkownik podobny był do masywnego kloca o polerowanej słońcem głowie i sztywnych nogach, sunął bowiem godnie i prosto i z wysiłkiem markował wojskowy, energiczny krok. Obok ciągnął Major owinięty w dziewiczą zieleń niemieckiego munduru oficerskiego. Ciskał rękoma ku Pułkownikowi, coś mu widać po kaznodziejsku tłumacząc, może o wywrotowych fermentach w Zgrupowaniu Wojskowym Allach. Za nimi, jak gromada niesfornych dzieci za nauczycielem, pętało się nie zróżnicowane stado zielonych i czarnych kurtek, gestykujących rąk, nad którymi podskakiwały krasne głowy w furazerkach, obficie posypanych narodowymi barwami.

- Że też ich Niemcy nie zdążyli wybić! - Stefan oparł się w zadumie o parapet i patrzył

ze złością na dziedziniec. Czarne, sterczące włosy lśniły jak sierść psa. - Do końca świata już tacy zostaną. Polska, Polsko, dla Polski. Byle z daleka od niej mieć dwie miski zupy! Jaki ja byłem głupi, jaki głupi, głupi! - Odchylił się od parapetu i płaską dłonią plasnął się w czoło. - Przecież sam widziałeś, trzymałem tę hołotę na bloku, karmiłem, nadstawiałem się za nich, kradłem żarcie głupim Cyganom.

- Nie chwał się, blokowy - przerwał ostro podchorąży Kolka, aż Stefan odwrócił się do sali - byliśmy przecież w jednym obozie. Jak kradłeś, to dla siebie masło i chleb, a dla nich co najwyżej - zupę.

- A miejsce kto im dał na bloku? Czyste buksy, czyste koce, napchane sienniki? To mało? Wyżyliby na komandzie?

- Oczyszciliby się powietrze, jakby zdechli - dorzuciłem pogodnie, patrząc ubawiony, jak Stefan, były kolega, flegler z Birkenau, potem laufer<sup>113</sup> i pipel osmański na małej komanderówce<sup>114</sup>, od którego raz, że nie dość szybko ustąpiłem mu z drogi, dostałem uwagę po mordzie, wreszcie blokowy na najbogatszym, szonungowym bloku<sup>115</sup>, z którego zupa kotłami, a chleb dziesiątkami bochenków wędrował na lager w poszukiwaniu papierosów, owoców i mięsa dla blokowego, jak taki Stefan przechwala się teraz, że uratował życie paru polskim oficerom z powstania, którzy dziś nie chcą mu dać do syta zupy tytułem rewanzu.

- A pamiętasz - ciągnął w rozgoryczeniu - jak w Allachu Pułkownik? Przynieśli mu młynek od kawy, wyżebrał od kogoś trochę pszenicy, usiadł na pryczy i - nic, tylko młynek i placki piec. Tu, rozumiesz, świat się przewala, artyleria esmańska w obóz, jakieś kobiety posmażyły się, wsie naokoło palą się, chłopcy poszli na rabunek z nożem, Amerykanie przychodzą, szal, zbratanie ludów, koniec wojny! A ten - młynek, placki i do latryny lata. I już taki ważny się zrobił jak...

Podniosłem obie ręce do góry. Stefan umilkł speszony. Wtedy korzystając z okazji zadeklamowałem patetycznie:

Ustalają się hierarchie,  
brat poznaje wreszcie brata.  
Kręci młynek mieląc mąkę  
nasz Pułkownik, pan Kuriata.

---

<sup>113</sup> Laufer (z niem. Laufer) - goniec

<sup>114</sup> Komanderówka - odmiana komando, grupa więźniów pracująca poza terenem obozu

<sup>115</sup> Szonungowy blok (z niem. schonen - opiekować się, chronić) - blok dla ozdrowieńców

Drugą miskę dostał zupy,  
więc się poczuł silny władzą  
Ja, ja mogę już do służby,  
niech mi tylko zjeść co dadzą  
Pułkowniku, ostro cel!

Pułkowniku, mąkę miel!  
Niech się klin wybija klinem,  
pułk stworzymy ci z kasynem,  
za wygranie każdej bitwy  
damy zupy - cztery litry!

- Tak było, masz rację, Stefan - pochwaliłem. - To mój wiersz, panie chorąży. Dobry, aaa?

Chorąży był już zapięty na ostatni guzik. Uderzył mnie spokojnymi oczyma.

- Dziwię się panu, inteligentowi - rzekł z goryczą. - W takim czasie takie głupstwa... Kiedy przykazaniem kupą się trzymać i nie warcholić! Warcholstwo gubi nas! Przez nie ginimy!

- W Katyniu, co? W Katyniu? Szkoda panu chorążemu?

- szczerzył zjadliwie Stefan, przystając naprzeciw chorążego.

- Książeczek się pan chorąży naczytał, książeczek, zupy pojadał, Niemeczkę pomacał, to do zgody woła... W Katyniu, co?

- Pewnie, że w Katyniu, ty bękarcie! Ty wiesz, co to znaczy? To twoi kochani rodacy ze Wschodu, twoja Polska, gadzino zapluta! - wybuchnął nagle chorąży i także podszedł do stołu. Wpił się kościstymi palcami w czarny blat, aż mu paznokcie nabiegły krwią.

- A co, nie podoba wam się Polska, prawda, nie podoba? Pan chorąży chciałby innej. Żeby chorągiew nosił w niej, chorągiew? Żeby syneček mógł nocami chodzić na baranki i dziewczuszki sprowadzać? Umiecie wy robić Polskę, aż się rzygać chce!

- Idź do tej swojej, idź! - syknął chorąży przez zęby. Zbielałe wargi poczęły mu drżeć.

- Nikt cię tu nie trzyma. Szpiegu!

- Nie bój się pan, pójdę - zaśpiewał łagodnie Stefan - mam czas. Tylko jeszcze na was trochę popatrzę, zapamiętam. Pójdę i będę na was czekał, o będę!

Podchorąży Kolka usiadł ciężko na łóżku i zwiesił na dół nogi, zsypując na mój barłóg



furę śmieci. Kiwnął do mnie wesoło ręką, kilkakrotnie puknął się w skroń, udając idiotyczne pochylenie głowy. Czarny Cygan jęknął boleśnie znad poduszki w czerwone maki. Uśmiechnąłem się do Kolki i w odpowiedzi zakołysałem głową, jakby próbując, czy w niej nie zachlupocze woda.

- Idź do tej Polski, do tych Polaków, co Katyń zrobili, idź! - krzyczał chorąży, purpurowy z pasji.

Chorąży szarpnął za stół, przewrócił go z trzaskiem i skoczył Stefanowi do gardła.

W oszklonej i umajonej świeżo ciętymi gałęziami hali odezwał się srebrnie dzwonek; tłumek zebrany przed halą sypnął się do środka, jednocześnie zaś z galowych drzwi komendantury, przystrojonej suto w czerwień i biel, wszedł ksiądz w fioletach i otoczony ciasnym kołem czarnych i zielonych księży posterował do hali.

- E, dajcie no spokój! - wrzasnąłem piskliwie i pobiegłem pomóc Kolce rozbroić walczących. - Nie bić się, sukinsyny! Arcybiskup idzie na mszę świętą!

## II

Arcybiskup odwrócił się od ołtarza. U jego stóp lśniły nad poręczami krzesel siwe głowy oficerów. Między oficerami tkwił w pierwszym rzędzie nieruchomy jak pomnik Prezes Komitetu. Masywny, byczy łeb, strzyżony krótko, wyłaził ze śnieżnego, wykładanego a la Słowacki kołnierzyka, i poważnie podawał się ku ołtarzowi. Dalej, przetkany Pułkownikiem, pozował na krzesło Aktor. Czuł się nieswojo w ukradzionym cywilnym garniturze, za dużym i za sztywnym, kręcił się niespokojnie i błyskał pytająco okularami w stronę widzów, sznurując usta i ociągając w dół mięsiste policzki. Obok z karminowej sukni rozlewa się na brązowym pluszu fotela Śpiewaczka, o której plotkowano, że w dni głodu przed końcem wojny miało ją całe Dachau. Obecnie (plotkowano dalej) ma ją Aktor. Na łonie jej leżał tekturowy hełm amerykański. First Lieutenant<sup>116</sup> - właściwy komendant obozu, założywszy nogę na nogę, żuł obojętnie gumę i błyszcząc obco brylanty na, tępo patrzył w uda Śpiewaczki.

Za krzesłami ciasno zbił się tłum, szczelnie oblepił okna hali, przyglądał się nabożnie brzołowemu krzyżowi, wyciętym z papieru orłom przyszpilonym do wielkich chorągwi narodowych zszytych z prześcieradeł, otwartym drzwiom, w których kołysał się bluszcz i drżało pogodne niebo, przyglądał się i milczał. Obok ławek stał nieruchomo Batalion.

- Jak przeczytasz Sowizdrzała, to mi oddaj - zaszeptał Redaktor. - Przyjdiesz do nas

---

<sup>116</sup> First Lieutenant (ang.) - porucznik w armii amerykańskiej

na gulasz? Bo my wcześniej do teatru idziemy - uklęknął na jedno kolano i uderzył się pięścią w piersi.

- Przyjdę - zapewniłem go żarliwie, osuwając się obok niego na ziemię.

Arcybiskup popatrzył na tłum u podnóża ołtarza i nieznacznie skinął głową. Stojący dotąd beczynnie przy fotelu ksiądz z Dachau podskoczył żywo i włożył mu mitrę na głowę. Arcybiskup niecierpliwym ruchem poprawił ją (widocznie uwierała) i dopiero wtedy pobłogosławił nas bezradnym rozłożeniem rąk. Nad skwapliwie pochylonymi głowami przepłynął słaby szept modlitwy.

Po drugiej stronie betonowego dziedzińca, na wąziutkim skrawku zieleni pod anemicznymi platanami, rozkładał się transport wytrząśnięty z amerykańskich ciężarówek. Zieleniec zatarasowano betami, na których zaraz usiadły karmiące kobiety, rozwrzeszczane czarne bachory, omdlewające od żaru, obojętne na wszystko dziewczęta, przeświecające ciałem przez przejrzyste sukienki. Mężczyźni w mokrych od potu koszulach tkwili czujnie przy tłumokach, łazili pod budynkiem, gapili się na halę, a co energiczniejsi poszli oglądać izby, w których miał mieszkać transport.

- Aha, poeta. Pan nie na mszy? Uciekł pan od narodowego i boskiego misterium? Nie buduje pan fundamentu drzewca sztandaru narodowego, złożonego z ducha poległych i innych?

Na kupie oplecionych sznurami walizek, poduszek i kołder siedziała dziewczyna o niezwykłych oczach. Zamiast krzyżyka dyndała jej się na szyi dziwaczna, podłużna kapsułka, podobna do małej świstawki. Pod batystową spódniczką rysowały się mocne, jędrne uda. Śliczne nogi miękko spływały po pierzynie. Pod nimi, okraczywszy wysokimi cholewami walizę, siedział władczo Profesor i ironicznie uśmiechał się do mnie zza okularów jak zza okopu. Musiał dojrzeć, że mi szczęki zadrgały z pożądania.

- Wytrzymałem biologicznie. Teraz kładę podwaliny pod drogę do Polski. Z letargu duchowego wchodzę w żywe ciało narodu - odrzekłem wykrętnie. Roześmialiśmy się obaj. Cytowaliśmy co celniejsze ustępy z powielaczowego pornograficzno-patriotycznego pisemka obozowego wydawanego przez księży.

- Ta pani - Profesor uczynił gest w górę, dotykając niechcący nóg dziewczyny - właśnie uciekła do żywego ciała narodu. Cały transport przyjechał z Pilzna. Przeszli z Polski przez zieloną granicę.

Podniosłem domyślnie brwi. Dziewczyna błysnęła w odpowiedzi zębami. Poprawiła się na pierzynie. Zbyt pełne piersi zakołysały się pod bluzką.

- Z band leśnych? - domyśliłem się. Chodząc na mięso baranie po innych sztubach,

śluhałem radia z Warszawy. Między jedną a drugą skrzynką poszukiwania rodzin narzekano wciąż na bandy leśne.

- Wprost przeciwnie. Z naszych. Żydówka. Uciekli. Jak krowy, które szukają lepszego pastwiska. Wleźli do nas jak w zakazane zboże. A tu ugór, panienko! - przechylił się do tym, uderzył ją w kolano i zupełnie jawnie zjechał dłonią po łydce dziewczyny.

Podalem dziewczynie rękę. Przymrużyła rzęsy, może od słońca, które na chwilę zapaliło się w jej oczach.

- Niech pani nie słucha. To gorycz krowy, która nie znalazła lepszego pastwiska, choć złażila pół świata.

- Jesteśmy z jednego domu - rzekła dziewczyna - z getta - uśmiechnęła się, jakby przepraszając - i znów spotkaliśmy się w jednym domu - ogarnęła dłonią kamienie koszar - w domu esesmańskim.

- Jakby wojny nie było - dodał zgryźliwie Profesor i rad z siebie roześmiał się hałaśliwie. Potarł zmarszczone dłonie i klepnął się po skórzanych bawarskich spodenkach, poplamionych jak fartuch rzeźnika. - Niech pan pamięta o krowach, niedoszły poeto - dorzucił i zapatrzył się w swoje owłosione kolana.

- Żeby szukać lepszego pastwiska? - zapytała znad pierzyn dziewczyna. Czubkiem palców musnęła włosy mężczyzny. Ścisnąłem ironicznie wargi, łapiąc jej ukośne spojrzenie.

- Nie - odrzekł niechętnie Profesor. - Żeby mieć swoje własne pastwisko. I nie być ambasadorem swego stada na cudzych łąkach.

- A gdzież jest nasza łąka?

- W Palestynie. W więzieniu Akko pod Jerozolimą. Siedziałem tam pół roku za nielegalną emigrację. W czasie wojny, cha, cha, cha - parsknął grzmiącym śmiechem, wstał i bez słowa poszedł przez betonowy dziedziniec ku hali. Wylewali się z niej ludzie po skończonym nabożeństwie, napełniając z szumem dziedziniec jak miskę. Rój prominencji, oblepiający z brzęczeniem Arcybiskupa, popłynął w stronę komendantury i wsiąkł w parterowe drzwi mieszkania Pierwszego Porucznika.

- Oto żywe, ascetyczne ciało narodu. Polska jemiola na niemieckim dębie. - Pogardliwie machnąłem ręką w stronę placu.

- A jednak siła. Bo my walczymy o ideę! A cóż tam, w tej waszej

- Polsce?

Nie odchodziłem, szorstkie sukienne spodnie natarczywie łaskotały mi uda. Dziewczyna zsunęła się miękko z pierzyn i wylądowała na ziemi, ocierając się jak kot ciałem o moje ciało. Zbyt wydatny biust zakołysał się znowu pod bluzką.

- Myśli pan, że jestem biednym pasażerem, co wysiadł z tramwaju, w którym połowa siedzi, a druga połowa trzęsie się? Że to z powodu korony orła? Zna pan przecież polskie dowcipy? Otóż wcale nie! - krzyknęła z pasją. - Wcale nie dlatego!

Chwyciła energicznie za walizkę. Gdy schyliła się, uda błysnęły spod różowej sukienki. Transport w gorączkowym pośpiechu zaczął wnosić pakunki do koszar. Złapałem dwa toboły i bijąc po męsku butami o beton, podygowałem w górę schodów. Cały czas patrzyłem w kark dziewczyny, która, objuczona betami, człapała przede mną. Jakies jej ciotki czy opiekunki krzyczały na nią piskliwie, chwyciły rozdygotanymi rękoma za bety i pokazywały drogę.

Zwaliliśmy ciężary w sali na parterze i wybiegliśmy znów po walizy, pokrzykując wesoło i klnąc pod nosem. W przejściu otarłem się znów o dziewczynę i pochwyliłem jej rozbawione spojrzenie.

W sali, która miała być zajęta przez parę godzin, mężczyźni jęli się do na wpół wywalonych drzwi, tarasując drogę, do wybitego okna i pokieroszowanych, spiętrzonych prycz. W ciemnej jak piwnica izbie wzbil się aż pod sufit tłusty kurz i dusił w gardle. Zbierało się śmiecie i wyrzucało je przez wybite okno korytarza wprost na głowy zagospodarowanych na tyłach koszar ludzi, którzy nie dbając ani o Grunwald, ani o świeży lipcowy dzień, ani o kary grożące według regulaminu, siedzieli kupami przy niezliczonych ogniskach, zbudowanych z paru sutych szczyp odłupanych od prycz i stołów, pitrasili w rondlach, menażkach, okopconych paczkach po konserwach i w zdobycznych aluminiowych garnkach wszelkiego rodzaju jedzenie: mięso baranie, złupione stada w noc przedgrunwaldową, kaszę, zupy, kompoty, piekli na zardzewiałych rozpalonych blatach placki kartoflane i mieszali drewnianymi łopatkami w kipiących wszystkich kolorami miksturach, dmuchając pracowicie w ogień. Dym, jak gęsta, brudna śmietana gotująca się od dołu, bulgotał, wzdymał się, podnosił się leniwie znad ziemi, wylewał się przez szczerbaty mur na pobliską łąkę, zacierał kontury dalekiego, płaskiego lasu leżącego na horyzoncie i owijał jak kremem kopuliste platany przy autostradzie. Zapach gotującej się surowizny, zmieszanej z dymem, ostro gryzł w nozdrza, aż kręciło się w żołądku. Od spodu, spod dymu jak z dna garnka, dobiegał bulgot okrzyków i przekleństw głodnych, gotujących sobie jadło ludzi. Oderwałem dziewczynę od okna i zaciągnąłem do białej, wykładanej kaflami umywalni, która zapaskudzona resztkami jedzenia i łajnem śmierdziała jak latryna.

- To wy tak żyjecie - rzekła pogardliwie Żydówka, podstawivszy ręce pod strumień wody. - Z przodu Grunwald, a z tyłu pichcenie. Ja bym dnia tutaj nie wytrzymała. Ach, nie wytrzymała!

- Przyzwyczaiłaby się pani - odparłem urażony. - To jest jeszcze kwarantanna. Ni to kacet, ni to wolność. Ale będzie lepiej, wolniej! Jesteśmy wielką siłą! Moralną! - uniosłem się gwałtownie. - Ale - zmitygowałem się - ludziom chce się jeść. Człowiek musi jeść, musi mieć kobiety. Tyle lat ludzie byli głodni! Tyle lat tęsknili do tej chwili, kiedy najedzą się chleba, kiedy będą mieć pierwszą kobietę! To są zasadnicze sprawy. Na to i Grunwald nie pomoże.

Strząsnęła z rąk natrętnie krople. Wytarła ręce o kraj spódniczki. Błysnęła udami. Wyszliśmy na korytarz. Automatyczne drzwi zatrzasnęły się cicho za nami. Nie zepsuto ich do tej pory.

- I to po tylu latach obozu nie zapragnął pan wyjść poza te mury? - Przyglądała mi się badawczo jak osobliwej odmianie psa albo kota. - Nie mówię o chlebie ani - w głosie jej przewinął się leciutki akcent ironii - o kobiecie. Ale pójść po prostu do lasu?

- Bałem się - wyznałem szczerze - bo pilnują. Przeżyć tyle lat i zginąć po wojnie, nie, to zbyt groteskowe. Człowiek ceni siebie w dwójnasób.

- Bał się pan! - klasnęła w dłonie - ach, bał się pan!

- A panią co ciągnęło na... na cudze łąki, jak nie strach? Uciekła pani od tej Ojczyzny? Miraż Zachodu? Oto i Zachód! - Pokazałem ręką rozbite okno, w którym kłębił się dym. - Wszyscy boimy się, odkąd nastał pokój.

Dziewczyna roześmiała się drwiąco. Chodziliśmy po korytarzu, wzdłuż okien wychodzących na las.

- Wcale nie strach! Uciekłam od miłości. Śmieszne, ach, jakie śmieszne!

Podciągnąłem opadające spodnie i skrzyżowałem gołe ramiona na piersiach. Wstydzilem się przyszczy wyłazających spod koszulki gimnastycznej, ale do tej pory nie zdołałem ukraść koszuli z kołnierzykiem.

- Przez sześć lat byłem katoliczką, Polką, nauczyłam się przykazań takich i owakich, chodziłam regularnie na msze i do spowiedzi. Matka, zanim zginęła w Treblince, dała mi książeczkę do nabożeństwa. Jeszcze dziś mam dedykację w oczach: „Kochanej córeczce, Janince, w Dniu Jej Pierwszej Komunii, Mamunia”. Nazywałam się inaczej. Nie jestem przecie podobna do Żydówki - powiedziała z pewną dumą, szukając oczyma potwierdzenia w moich oczach.

W istocie, nie wyglądała na Żydówkę. Miała jasne, puszyste włosy i szeroką, nieco płaską twarz. Tylko ciemne głębokie oczy opalizowały niespokojnie.

- Przecież pani jest jak Aryjka - rzekłem pochwalnie. Oczy jej zalśniły z wdzięcznością. - To strach. A gdzie miłość?

- Jest miłość, bo się zakochałam. W katoliku. Był komunistą i nie lubił Żydów -

poskarżyła się naiwnie. - Bardzo mnie kochał. Nie mogłam mu kłamać. Prawda, że nie mogłam?

Popatrzyłem jej przeciągle w oczy z dobrze udanym milczeniem współczucia.

- Zaciągnął się do wojska, jak tylko Niemcy odeszli. To było, nawiasem, w Siedlcach. Napisałam mu list na pocztę polową i uciekłam. To bardzo łatwo, ach, jak łatwo!

- Nie czekając na odpowiedź? - zdumiałem się. Zacerwieniła się jak brzoskwinia i przygryzła wargi.

- Bałam się, że napisze... - Urwała. On był jak endek. A ja... naprawdę już nie mogłam! Nie chciałam! Wołałam, żeby mnie nazywano chaimką, żeby się ode mnie Polacy odsuwali!

Paru mężczyzn przebiegło, potrącając nas, i zniknęło za zakrętem korytarza. Gdzieś z podwórza dobiegały podniecone okrzyki.

Ująłem ją za rękę. Była ciepła i miękka jak sierść kota. Dym z okien wsiąkł w korytarz i kładł się na suficie wąskimi pasmami jak pajęczyna.

- Dobrze to rozumiem - odrzekłem zdawkowo, z trudem opanowawszy drżenie szczęk.  
- Jest pani bardzo odważna. Odwaga strachu. Chciałbym być także takim. - I wypaliłem jednym tchem:

- Nie poszłaby pani na spacer, ale tak, poza obręb obozu? Tam podobno sosny ociekają zapachem lata, a ja jeszcze nigdzie nie byłem. Zbisiłbym się chyba z tęsknoty za przestrzenią i pieszo poszedłbym na zachód czy na wschód. Żał mi zostawić książki, które uzbierałem. Ale z panią - ścisnąłem ją poufale za rękę - nie zaszedłbym daleko. Bezpiecznie.

Zastukałem żywiej butami i podciągnąłem jedną ręką spodnie. Suche, ostre sukno parzyło jak pokrzywa. Na korytarzach dźwięczały już kotły. Zbliżał się czas obiadu. Żołądek ćmił jak bolący ząb. Z dziedzińca wiało krzykiem. Znów przebiegli po korytarzu ludzie i wpadli w drzwi wejściowe. Coś tam musiało się dziać.

- Jutro odjeżdżamy dalej - rzekła dziewczyna, oswobadzając rękę. - Kto wie, dokąd? Dzień w jednym obozie, dzień w drugim... Stale nowi ludzie, obcy. Mam wstręt do tego! - I nagle rzekła prawie szeptem: - Panicznie się boję, że pojedę do Palestyny. Co ja mam wspólnego z Żydami? Być samotnie, prywatnie Żydówką - tak! Ale żyć w żydowskiej wsi, doić krowy, macać żydowskie kurczęta, wyjść za mąż za Żyda? Nie, nie! - krzyknęła, jakbym namawiał ją do tego. - Może ucieknę na studia. Ale tak czy owak nie spotkamy się nigdy. Nie - potwierdziła stanowczo swoje myśli - nie spotkamy się nigdy. A szkoda. Może mogłabym się zakochać w panu?

- Uśmiechnęła się, ubawiona wyrazem moich oczu. - Bo pan umie słuchać. Tak jak

Romek. To ten z Siedlec - wyjaśniła krótko.

Przygarnąłem ją za łokieć i brutalnie obróciłem ku sobie. Prawie dotykała mnie zbyt wydatnymi piersiami. Fala krwi przepłynęła przez moje ciało.

- Nie spotkamy się nigdy! - droczyła się ze mną, a kąciki jej ust drgały - ale - zawiesiła głos - to tym lepiej.

A kiedy puściłem ją, zniechęcony, wsunęła mi się pod ramię.

- Kiedy pan chce iść na ten... spacer?

- Po obiedzie, dobrze? - zaszeptalem z przejęciem. - Będzie łatwiej przy zmianie warty. Pójdziemy.

Znów paru mężczyzn przebiegło korytarzem. Ostatni odwrócił się, machnął ku nam zachęcająco i krzyknął zadyszany:

- Chodźcie, zobaczcie! Akcja pacyfikacyjna! Wojsko z karabinami! Rewolucja! - i zatupotał po schodach.

Dziewczyna, nie odpowiedziawszy mi, rzuciła się do drzwi. Pognałem za nią. Zbiegliśmy na dwór. W drzwiach kołysał się tłum. Środkiem placu cofała się fala ludzi, rozplywając się z szumem na boki przed sunącymi powoli jak łodzie jeepami, w których stali żołnierze. Amerykanie, potrząsając groźnie karabinami. Naraz z pierwszego auta buchnął strzał. Tłum zatrzepotał jak stado spłoszonych kaczek, odpowiedział wrogim okrzykiem i zamilkł, zbiegając z bulgotem w kurnik koszar. Natychmiast wszystkie okna wypełniły się rozgdakanymi głowami ludzkimi. Z drzwi komendantury wypadł Major. Na widok żołnierzy stanął jak wryty, a potem cicho wycofał się pod schodki, na których dostojnie zajaskrawiła się postać Arcybiskupa.

Dziewczyna drżała całym ciałem. Przyciągnąłem ją do siebie. Zbyt wydatny biust ugiął się miękko pod palcami. Przytuliła się ufnie.

- Bydło - rzuciła przez zęby - ach, co za bydło! Ileż bym dała, żeby stąd uciec! Uciekajmy - nakryła dłońmi moje dłonie. Pusty żołądek uwierał mnie jak ciasny, piekący but.

- To przez tych kucharzy - informował ktoś przed nami - to oni nasłali Amerykanów. Zhardzieli przy kotle! Radia nie chcieli w południe na Londyn nastawić. Hałas im ludzie pod oknami robią! A szczególnie taki jeden, co w pierwszej kuchni gotuje, kucharzem robił w Allachu, miskę kartofli wyrzucił na ludzi. Chłopaki zbuntowali się. Tylko to powinno być bez krzyku. Złapać raz, dwa, kark ukręcić cholercze antychrystowi, i kwita. Ale z polskim narodem czy można? - I zadumał się posępnie.

- Już im dobrze dali - pocieszył inny - przez tydzień nie pozbierają się. Żywi to oni nie przyjdą z obozu, ja wam mówię.

Wszystkie szyby na parterze były sumiennie wytłuczone. W przyprószonym cieniu wnętrzu pokoiów krzatali się na gruzach sprzętów ludzie, ratując, co się da. Od hełmów żołnierzy, którzy pilnowali głównego wejścia na parter, odpryskiwało słońce i raziło w oczy. Czekali niezdecydowani, podczas gdy samochody zawróciły ku bramie.

Wtem z drzwi przeciwległego skrzydła koszar wysunęła się zbita grupa ludzi i szamocąc się jak sfora psów, ruszyła przez pusty plac wprost do komendantury. Z pochylonym łbem, jak bodący byk, szedł przodem chorąży. Stefan deptał mu po piętach. Trzymał przez pół dziewczynę, która mu się wyrwała z piskiem. Inny dopadł z boku, złapał ją za kark, potarł, uspokoił. Reszta poskoczyła i otoczyła ich i olbrzymiego Kolkę górującego głową nad wszystkimi, który poganiał kopniakami człowieka w białym fartuchu, wykręcając mu do tyłu rękę. Żołnierze poskoczyli im naprzeciw.

Przycisnąłem swoją dziewczynę, aż krzyknęła. Przechyliłem jej twarz do pocałunku, ale wyrwała się gniewna.

- To cóż, po obiedzie - rzekłem z rezygnacją i rozepchnąwszy tłum, wypadłem na plac. - To koledzy! - krzyknąłem jej z daleka. Wspięła się na palce i podniosła dłoń do twarzy, trochę ze zdziwieniem, a trochę jak z peronu. Dopadłem chłopców na chwilę przedtem, zanim otoczyli nas żołnierze.

- Ej, Tadius - zagrzmiał roześmiany Kolka - złodzieja mamy! Cały wór mięsa nakryliśmy w kuchni! A na sztubie pana kucharza Niemkę w łóżku! Nie zdążył jej wyprowadzić. Prędeż, bydlę!

I pchnął kolanem pędzonego kucharza. Kucharz, widząc żołnierzy, wrzasnął z bólu. Żołnierz podbiegł do Kolki, zabulgotał gardłowo i zamierzył się kolbą. Ale nie uderzył.

Na schodkach przed komendanturą, między Pułkownikiem a Majorem, stał Arcybiskup i patrzył na nas łagodnym i zmęczonym wzrokiem. Poruszał wargami, jakby się modlił, ale Stefanowi wydało się, że pyta.

- Bo kradł, proszę księdza, jedzenie dla Niemki kolegom kradł!

Kradł i cudzołożył! - krzyknął i błyskając gniewnie podbitym, przekrwionym okiem, popchnął na schody dziewczynę, aż upadła na kolana. - I radia nam słuchać nie dają! Waszego radia - dodał buntowniczo. - Nie z Warszawy, z Londynu!

### III

Pokój redaktorów był przytulnie obity tapetą w liryczne kwiatki. Po prawowiernych mieszkańcach, oficerach SS, którzy albo padli na polu chwały w bitwie przy koszarach, albo



uciekli do rodziny, albo zajęli opróżnione przez nas miejsca w Dachau, została tylko solidna, dwudrzwiowa szafa, cudem nie całkiem rozbita przez ausienderów<sup>117</sup>, którzy ledwo wyzwoleni z obozu wpadli po skończonej wojnie w bezpieczne koszary, wytlukli wszystkie szyby, żyrandole, lustra w łazienkach i umywalniach, rozmontowali gruntownie aparaty filmowe, wybili rentgenowi zęby w szpitalu, popalili auta, motocykle i armaty w garażu, wysadzili, rabując amunicję, część muru koszarowego, połamali bardziej rzucające się w oczy mahoniowe salonowe meble i zapaskudziwszy z czubem miski klozetowe, odeszli, śpiewając hymny narodowe.

Była więc szafa, dalej sklecony ze szczątków tapczan przykryty imitacją tygryziej skóry, zawalony kupą publicystycznych książek, skrupulatnie wybranych spośród śmiecia zalegającego dziedziniec, biblioteka bowiem, na równi ze szpitalem, apteką, kinem i olbrzymią kartoteką zawierającą legitymacje i fotografie wielu dziesiątków tysięcy SS-manów, została rozbita w puch i wyrzucona na bruk.

Siedziałem wciśnięty w róg kanapy, gapiąc się bezmyślnie na ciemniejszą plamę na ścianie, ozdobioną nie wiadomo skąd wytrzaśniętym Norwidem, ewangelicznie brodatym.

Zza uchylonych drzwi dochodził z korytarza brzęk kotła. Tu, na pokojach oficerskich, nawet grunwaldowy gulasz wydawano bez kolejki i bez kontroli. Każdy oficer brał dwie, trzy miski, na zapas, na wieczór. Bo z chlebem to różnie bywało, najczęściej trzysta gramów. Nawet dla żołnierzy mało, cóż dopiero dla oficerów!

Redaktor wepchnął się do środka, piastując w rękach dwie pełne, dymiące zapachem mięsa miski. Wetknął mi jedną do rąk.

- Masz, jedz i rośnij - rzekł krótko, ale dobitnie. Wydoskonił sobie dykcję, był bowiem troszeczkę głuchy, a mieszkał z kapitanem, byłym korespondentem dziennika w Białymstoku, głuchym jak wyschły pień. Obaj napełniali pokój niespokojnym buczeniem jak niesforne bąki.

Wolno zanurzyłem łyżkę w gulaszu, wybierając starannie mięso. Nie byłem już zachłannie głodny. Z okazji Bitwy pod Grunwaldem wydzielono nam po litrze kartofli z mięsem i sosem.

- Wiesz, że chciałbym mieszkać w pokoju - rzekłem do Redaktora, który odsunął maszynę i matryce pod okno, zasiadł przy stole i mlaskając głośno językiem, wziął się rażno do jedzenia - żebym mógł porozkładać moje książki, powiesić na noc spodnie w szafie, no i w ogóle spać w łóżku. Sam w pokoju to cholernie przyjemnie!

---

<sup>117</sup> Ausienderzy (z niem. Ausiander) - cudzoziemcy

- Albo we dwoje! - huknął Redaktor.

- Z tym drugim? - skrzywiłem się z niesmakiem.

- Nie, z dziewczyną. Przygadałeś z transportu, widziałem!

- Co się dziwisz? Po obozie to już chyba czas? - Redaktor trafił do obozu z powstania, wprost od młodej żony.

- Może ucieknę z nią na Zachód. Odłożył łyżkę i popatrzył na mnie spod oka.

- No, wiesz - zakpił - ty i ucieczka! Szczeniaczku, rzuciłbyś swoje wiersze i książki? Nie bałbyś się świata? A jakbyś musiał pogłodować?

Obrażony, odsunąłem miskę. Odwróciłem twarz ku oknu. W szczerbach wybitej szyby słońce rozwidlało się w tęczowe, pawie błyski.

- No, nie martw się - Redaktor wstał od stołu i pogłaskał mnie po twarzy. - Jakim mnie stworzyłeś, takim mnie. Panie Boże, masz. A w tym pochodzie z mięsem byłeś?

- Byłem - mruknąłem niechętnie. - Moglibyście napisać o tym. To sensacja!

- Prawdziwa sensacja obywa się bez prasy, mój mileńki. Zresztą ksiądz Tokarek nie pozwoliłby napisać. Jesteśmy przecież gazetą rządową!

Ułamał kawałeczek chleba i umaczał w sosie.

- A tobie udało się uciec?

- Żołnierze mnie puścili. Angielszczyzną świat przejdiesz. Wyklarowałem okejom, że ja nic, że przypadkowo, opowiedziałem o sprawie. Pokiwali głowami. Jeszcze mi jeden rękę podał. Znasz Stefana? - zapytałem. - Był blokowym na szonungu.

- Komunista? Byłem u niego na bloku. Nie najgorszy.

- Szuja - odrzekłem zwięźle. - Bił ludzi, wysługiwał się esmanom, żeby tylko zostać blokowym i mieć bindę<sup>118</sup>. Kiedy go wyrzucili na komando, to chodził jak struty. Trzech dni z fasonem nie umiał wytrzymać. Żaden lagrowiec.

Redaktor pokiwiał głową. Przechylił miskę i pił sos.

- Można powiedzieć - przeciągnął z wileńska między jednym a drugim łykiem - że go troszkę nie lubiłeś.

- Ale umiał znaleźć się, nie ma co! Krzyczeli na niego, że komunista i bandyta, a szczególnie Pułkownik. A on powiedział, że owszem, biłem i kradłem dla tych tam pułkowników i majorów. Ale dziś bym już nie bił i nie kradł. Niechby zdechli w obozie, jeszcze bym im pomógł. Krzyk się zrobił, że o la!

- Nie wsadzili go przecież, słyszałem?

---

<sup>118</sup> Binda (z niem. Binde) - opaska noszona na ramieniu przez więźniów funkcyjnych

- First Lieutenant dał mu do wyboru: albo karę bunkra, albo wydalenie z obozu. Nie mógł inaczej zrobić, bo Arcybiskup przysłuchiwał się cały czas. Stefan wziął Niemkę pod pachę, przeprosił ją i wyszli razem z obozu.

- Tak przy Arcybiskupie? A podlec! Przecież całe wojsko w jego oczach skompromitowane. - Wylizał łyżkę, wytarł miskę papierem, papier wyrzucił przez okno, miskę wstawił do szafy, szafę dokładnie zamknął, usta wysuszył chusteczką, chusteczkę schował do kieszeni, maszynę spod okna postawił na swoim miejscu i wtedy, gotowy do wyjścia, oznajmił:

- Pójdiesz do teatru. Są dwa bilety. Janusz - to był ten drugi, głuchy - poszedł na bridża do Rotmistrza. Przyjechał ktoś z Drugiego Korpusu, może nas zabierze do Włoch. Ale o tym sza! boby wszyscy chcieli. Grają teraz razem w karty. Nic ich nie ruszy, nie tylko Arcybiskup, ale nawet rewia.

I wypchnął mnie za drzwi, odbierając mi książkę z rąk. Zlustrował mnie przy tym podejrzliwie. Nie lubił, jak mu cichaczem wynoszono druki. Zamknął uważnie drzwi na klucz, zastukał do sąsiednich, zanurzył się w dym, który, zwijając się przy zamkniętym oknie, wyściełał pokój jak gęsta wełna. Na brudnej podłodze stało przy krzesłach kilka misek z nie dojedzonym gulaszem. Pewnie go zostawili na wieczór. Redaktor rzucił klucz na stół i nie powiedziawszy ani słowa, wyszedł.

Na dziedzińcu kończono przygotowania do wieczornego ogniska. Wzniesiono solidny, czworokątny stos, wzmocniony smolnymi pniakami po bokach, a na słup, który sterczał na szczycie, nasadzono niemiecki hełm, pod słupem zaś skrzyżowano dwa strzaskane niemieckie karabiny bez zamków. Wokół stosu stały ławy, krzesła i fotele.

Chociaż wszyscy z napięciem oczekiwaliśmy ogniska i narodowych występów wieczornych, cała zasiedziała ludność koszar, oprócz oczywiście tych, co grasowali za budynkami, pilnowali sztub przed złodziejami lub byli na wyprawach poza obozem, przeniosła się pod garaże, z których urządzono teatr. Przed zamkniętą bramą teatru stał tłum, klął i groźnie krzyczał, napierając na przepasanego narodową szarfą policjanta w amerykańskim tekturowym hełmie. Policjant rozkrzyżowanymi rękoma patetycznie bronił wejścia.

- Ludzie, nie ma miejsc! Zlitujcie się, ludzie! Przyjdźcie jutro. Jutro będziemy powtarzać Grunwald \ Każdy zobaczy! - krzyczał ochryple, coraz ochryplej, aż zapiał jak kogut, umilkł i opuścił ręce.

Odepchnięto go od wejścia, zerwano i zdeptano narodową szarfę. Tłum rzucił się do bramy. Jęknęła, ale zamki nie puściły.

- Za grosz inteligencji - rzekł ubawiony Redaktor i pociągnął mnie na drugą stronę garażu do małych drzwiczek dla aktorów. Gdy wśliznęliśmy się na widownię i na migi załatwiliśmy sprawę z policjantem, woźnym w teatrze, odczułem wyraźnie, że przez chwilę byłem także jak oficer.

Umieściliśmy się tuż za generalicją, w drugim rzędzie, na który padało jeszcze żółte światło ze sceny. Reszta wąskiej, ale niezmiernie długiej sali tonęła w czarnoniebieskim mroku, z którego błyszczały ostro zapatrzone ludzkie twarze. Z zewnątrz dochodziły wrogie okrzyki szturmującego tłumu i skrzypiały wyważane żelazne drzwi. Nikt na nie nie zwracał uwagi. Wszyscy patrzyli na scenę.

Bo oto na środku jaskrawo oświetlonej sceny, przybranej w czerwień, biel i żywą zieleń i podpartej czarnym pudłem rozedrganego patriotyczną melodią fortepianu, stała zapłoniona jak dziecko na imieninach Śpiewaczka, hojna blondyna w krakowskim stroju, umajona wieńcem niedojrzałych, ale już płowiejących kłosów. Palcami podtrzymywała spódniczkę i oczy wznosiła niewinnie ku kurtynie, ku sufitowi, ku niebu.

Wkoło niej upozowało się kilku młodych ludzi w obozowych pasiakach, podtrzymujących wstążki od jej stanika. - Paru z nich znałem: byli schreiberami w przesławnym obozie Allachu, pasiaki leżały na nich jak ulane, musiały być szyte specjalnie na zamówienie jeszcze w obozie. Inni, w robotniczych kombinezonach, krzatali się na peryferiach sceny, jeździli z taczkami i obnosili naokoło Śpiewaczki łopaty, kilofy i łomy.

Na samym zaś przedzie, nieomal na krawędzi sceny, stał gruby i płomienny Aktor i dłonią wskazując na Śpiewaczkę kończył z patosem wiersz:

w imieniu Bogurodzicy, Dzieci my Twoje, Polsko, żołnierze i robotnicy!

Straszliwy trzask wyważonej bramy i triumfalny krzyk wwalające-go się do przepelnionego garażu tłumu zlał się z ogromnym hurkotem oklasków i histerycznym, patriotycznym wrzaskiem widzów. Kiedy się nieco uciszyło, a prześcieradło kurtyny poszło ponownie na boki, by jeszcze raz pokazać zapłonioną Rzeczpospolitą oraz jej kochanka. Aktora, w zachwyceniu w nią wpatzonego, Redaktor, który się nareszcie umieścił jako tako na skraju ławy, pochylił się ku mnie konfidencjonalnie i huknął głośno i z niekłamanym zadowoleniem:

- Szkoda, że jeszcze łóżka na scenę nie wstawili! Fajna Rzeczpospolita! I warta grzechu!

#### IV

- Powiedz mi, po co ty siedzisz w tym obozie? Czy cię nic stąd nie rwie naprzód? - Dziewczyna pochylała się czule nade mną. Zbyt pełny biust zakotyła się pod bluzką. W jej niespokojnych, opalizujących oczach odbijałem się małym, wypukłym fragmentem siebie. Podniosłem głowę i chciałem pocałować ją w wilgotne, rozchylone usta. Zmarszczyła brwi i odsunęła się.

- Nie, nie rwie mnie już nigdzie - westchnąłem leniwie i sennie opadłem na ziemię pachnącą zbutwiałym igliwem. - Ty i tak kochasz tylko tego, który pozostał w Polsce.

Zamknęła mi usta dłonią.

Nad nami piał się w niebo sosnowy las i szumiał. Wiatr szeleścił, ocierając się o korę drzew. Słońce, rozszczepione w wierzchołku sosny, jak pierzasta strzała spadło w głąb lasu i tkwiło w bladezielonej trawie, która przeświecona jak cieniutkie złoto pełna była rozleniwiającej woni lata. Rozchodziło się od niej urzekające ciepło jak od ciała kobiety. Zabłąkany bąk, mały bombowiec, zahuczał nad nami i usiadł na łodydze dziewanny.

- Gramoli się żarłocznie w konchę jak kosmaty psiak do miski z mlekiem - rzekłem pobłażliwie

- Raczej jak dziecko na parapet okna - zaobserwowała dziewczyna. - Ach, ileż ja ich wyniańczyć musiałam. Nienawidzę dzieci! - krzyknęła. Spłoszony bąk odleciał z gniewnym pomrukiem.

- Chodź - zdecydowała się nagle. - Już późno. Patrz, jak pociemniały sosny. Czwarta? Piąta? - Popatrzyła w górę ku czubom sosen, zanurzonym w lekkim potoku wiatru. - O, jak nisko słońce. - Uniosła się na kolana, strzepnęła resztki igliwia z sukni i poprawiła włosy.

- Chodź - zerwała się niecierpliwie, odsuwając moje ręce.

- Jedź ze mną! Ach, jedź ze mną! Ja tak się boję Palestyny!

Przez las płynęła asfaltowa droga ujęta w tamę topól. Chodziły po niej pary, rozgrzane i barwne.

- Widzisz, Nino - na skraju lasu przerwałem milczenie i ująłem ją wpół - tak żyją Niemcy. I ja tak chciałbym żyć, rozumiesz? Bez obozu, bez wojska, bez patriotyzmu, bez dyscypliny, normalnie, nie na pokaz! Nie pobierać zupy z kotła, nie myśleć o Polsce.

- No, właśnie - podchwyciła Nina - jedź ze mną na Zachód. Ja jestem naprawdę wolna.

- A chłopiec w Polsce?

- Zapomnę o nim.

- Ale dotąd nie zapomniałaś?

- Nie miałam innych, więc nie zapomniałam.

- Nie miałaś?

- Ci ludzie, z którymi jadę od Polski - podjęła po chwili z wysiłkiem - to są obcy. Mogę się od nich oderwać. Pojedziemy do Brukseli. Mam tam siostrę za bogatym Belgiem. Będę studiowała medycynę.

Asfalt parzył pod nogami. Nad drogą płynęły kopulaste topole, których sklepienie wiodło aż pod czerwone mury i wieże koszar, a opasawszy je zielenią jak mostem, pięło się, nabiegając złotem jak dojrzałe jabłko, ponad gontowe dachy podmiejskiego osiedla, przebłyskujące różowo poprzez niebieskawy dym powietrza jak przez jedwabny szal.

- Nino, zostań ze mną - rzekłem niespodziewanie. - Ja tu nie jestem niczym, ale się wybiję. Mam kolegów, którzy mi pomogą, mam książki, od których trudno mi odejść. Tak je zbierałem, rozumiesz? Ja boję się ryzyka, za dużo śmierci widziałem, żeby się dać zabić. Niech inni, po co ja? Boję się przestrzeni, boję się ludzi, bo cóż ja jestem? Jakie mam prawa? - Umilkłem, szukając w myśli praw przysługujących mi. - Żadnych! Rozumiesz, żadnych! - zawiesiłem głos i wpatrzyłem się w jej twarz, jakby szukając tam współczucia. - Jeżeli pójdziemy stąd, to nam nikt nie da jeść. Na każdym skrzyżowaniu mogą nas złapać te czarne małpy w białych kaskach i wsadzić do nieznanego obozu, w którym zeżre nas głód.

- Ja się nie boję - rzekła sucho Nina.

- Ale nie mieć nigdy gruntu pod nogami! - Urwałem, szukając sugestywnej metafory. - Być jak drzewo bez korzeni! Uschnąć!

- Więc wracasz do Polski - stwierdziła dziewczyna i skrzywiła pogardliwie usta, kiedy pragnąłem usprawiedliwić się. - Chciałeś mnie tylko na jeden dzień, jak wszyscy.

- Wszyscy? - gwizdnałem przez zęby.

- Tak, wszyscy! - krzyknęła. Potknęła się. Podtrzymałem ją za ramiona. Wyrwała się gwałtownie i wrogo. - Wszyscy, dla których jestem Żydówką! Widzisz to? - ujęła za talizman w kształcie świstawki. Palce jej drżały. - Nie spytałeś mnie do tej pory, co to jest, inaczej niż inni. To są tablice Mojżesza, przykazania po hebrajsku. To ma mnie łączyć z Żydami. Ale ja nie jestem ani Żydówką, ani Polką. Z Polski mnie wyrzucili. Do Żydów mam wstręt. Myślałam, że są jeszcze inni ludzie. Ale ty nie jesteś człowiekiem, jesteś tylko Polakiem. Wracaj do Polski! - krzyknęła zjadliwie. - Wracaj do Polski!

- Wracaj do Polski! - Przestraszyłem się głosu, jak ptaka, który nagle zrywa się spod nóg.

W wysokiej, złotawej trawie błyszczał czarny krótko strzyżony łeb. Stefek podniósł się z ziemi i uklonił się dziewczynie. - Wracaj do Polski - powtórzył. - Chodź ze mną. Ja idę

na piechotę.

- Na piechotę? Toś morowy chłop - zachwyciłem się zdawkowo. - A gdzie Niemka? - rozejrzałem się podejrzliwie.

- Poszła w krzaki. No, odprowadziłem ją do domu - przejechał ręką po włosach. - Fajna dziewczyna. Pójdiesz ze mną?

- Wiesz, poszedłbym, ale... - zawahałem się. Sukienny mundur rozparzał całe ciało. Stefan zmrużył oczy od blasku i spod powiek przyglądał mi się z otwartą pogardą. Kręcił w palcach suchą gałązkę, złamała się z trzaskiem.

- Książeczki, książeczki - uśmiechnął się gorzko - to chcesz mi powiedzieć? I że będziesz głodny po drodze? Że jak się unormuje? A jak ci powiem: spódniczka cię trzyma, bracie. Upolowałeś spódniczkę, upolowałeś, co? - Zęby mu błysnęły jak u psa. Przyłożył dłoń do podbitego oka. - Co tu masz oprócz tej Żydówki?

- Wracajmy do obozu - rzekła Nina przejmującym szeptem.

- Pan jest, pan jest... - zacisnęła pięści. Podbródek jej drżał spazmatycznie. - Pan jest jak SS!

Stefan uśmiechnął się lekko. Nie zwracał na dziewczynę uwagi.

- Obóz jest obstawiony przez Amerykanów - rzekł do mnie.

- Chciałem wejść i zabrać koc. Nie puścili. Jutro będą wszystkich wywozić!

Wszystkich!

- Oszalałeś! I Pułkownika, i Majora? I cały sztab? A księży, a kuchnie?

- Idź do obozu, to zobaczysz - powiedział Stefan. - Czekam w Polsce.

- Nie wywiozą, mylisz się, przecież dziś Grunwald.

- Grunwald \ - Stefan roześmiał się, dotknął swego podbitego oka. - Ruszaj z Grunwaldem - rzekł ironicznie i zniknął w lesie bez pożegnania. Potrącone gałęzie jedliny chwiały się za nim.

- Wracajmy do obozu - rzekła Nina. Oddychała ciężko jak ryba wyrzucona na brzeg. - Trudno, wracajmy. Może się nam uda dostać do środka.

- Na pewno się uda - powiedziałem nieco zbyt skwapliwie.

Ująłem ją pod ramię i poprowadziłem wzdłuż drogi. Przyłgnęła do mnie. Poruszała bezgłośnie wargami, jakby coś mówiła do siebie. Strumyk rowerów ciekł nieprzerwanie po dnie asfaltu. - Niemcy wykorzystywali gorące, letnie popołudnie. Na skrzyżowaniu siedział człowiek z obozu. Dwie czerwone walizki postawił w cieniu, żeby lakier nie roztajał. Gmerał w otwartym plecaku. Czerwone kepi, ozdoba muzułmańskich oddziałów SS, zsunęło mu się na ucho. Czarny kutas dyndał się za każdym poruszeniem głowy.

Od obozu aż po las przewijał się w trawie sznur ludzi. Znali szpary i przejścia mniej pilnowane i wymykali się z koszar, póki czas.

Przyśpieszyliśmy kroku. Kopuły drzew szumiały, jakby las szedł razem z nami. Pod kępą uschniętych krzaków stało parę czołgów i porządnie, jak w sklepie z manufakturą, leżały poskładane karabiny, pociski armatnie i miny niemieckie. Pilnował ich drzemiący w upale żołnierz amerykański.

Przy drodze kolumna ciężarówek zwracała wąskie jak u głodnych szczurów ryje motorów ku obozowi. Czekały jutra. Między samochodami krzątali się półnaczy Murzyni. Świecili się ostrym, brunatnym potem jak pokropieni miedzią. Pokrzykiwali do nas, gdy mijaliśmy ich bokiem, aby wyszedłszy na koszary od tym, wdrzeć się do nich przez rozbitą, zawaloną gruzem bramę, klasyczne miejsce transportu baranów. Przy dziurze nie było nikogo. Natomiast u narożnika, tam gdzie mur rzucał nieco chłodu na spieczoną ziemię, pod daszkiem z papy podpartym paroma patykami, w głębi cienia siedział żołnierz i drzemał. Położył na trawie hełm, karabin wetknął między kolana, podbródkiem dotykał piersi. Przy drugim narożniku stali dwaj żołnierze w porozpinanych bluzach, gadali hałaśliwie i częstowali się papierosami.

Całkowicie odsłonięci staliśmy na łące przed bramą, jak para zagubionych dzieci przed chatką czarownicy.

- Zaczekajmy do zmroku - rzekłem zdjęty niepokojem - może nie puszczą nas. Wracajmy do lasu.

Wysunęła mi się spod ręki, parskając krótkim, pogardliwym śmiechem.

- Tak ci się śpieszyło na Grunwald i co? Znowu się boisz? Poczekaaj, maleństwo, idź za mną.

I zanim zdążyłem coś powiedzieć, uczynić jakikolwiek ruch, dziewczyna poprawiła niecierpliwie spódniczkę, obciągnęła bluzkę na zbyt pełnym biuście i puściła się pędem ku bramie. Dopadła gruzów i poczęła się na nie wspinać. Na szczycie podmuch wiatru opiął jej ciasno biodra i rozczesał włosy. Przytrzymała je ręką, prąc przeciw wichrowi. Odwróciła na moment ku mnie roześmianą ironicznie twarz. Zawołała, ale wiatr rozerwał jej wołanie na strzępy. Poderwałem się bieć za nią i nagle stanąłem. Podniosłem rękę, żeby dać jej znać, odwróciła się ode mnie, chciałem krzyknąć, ale milczałem. Dwaj żołnierze, którzy częstowali się papierosami, odwrócili się ku bramie, a jeden z nich zdejmując z ramienia karabinek zawołał ze śmiechem na całe gardło:



- Fraulein, Fraulein! Halt, halt! Come here!<sup>119</sup>

- Stop, stop! - krzyknął piskliwie drugi.

Śpiący u drugiego krańca muru żołnierz podniósł nieprzytomnie głowę i poderwał się. Schylił się, chwycił karabinek, który mu się wysunął spomiędzy kolan, przyłożył go do ramienia, pochylił głowę na oka mgnienie na prawo i -

Dziewczyna obronnym ruchem podniosła ręce do gardła, jakby jej nagle zabrakło powietrza. Postąpiła jeszcze krok poza krawędź nasypu i miękko osunęła się za nim, jakby pośliznęła się na cegle; zniknęła za krawędzią jak wrzucona w dół. Za nasypem, tam gdzie był już obóz, podniosły się głosy, połączyły się w gwar, urosły w krzyk. Dwaj żołnierze, którzy, śmiejąc się, wołali za dziewczyną, odrzucili niedopałki papierosa, przydeptali je nogą i pobiegli na nasyp. Rozespany żołnierz, ten który strzelił, przewiesił karabinek lufą na dół przez ramię, podniósł z ziemi hełm, otrzepał go, włożył na głowę i pogwizdując bezmyślnie, pośpieszył również w stronę bramy.

Wolnym krokiem ruszyłem na usypisko, przeszedłem je na oczach wszystkich i zsunąłem się obok Niny.

Padając otarła o cegłę policzek. Na skurczonej, wilgotnej, nabiegłej świeżą krwią wardze usiadła duża niebieska mucha. Spłoszona cieniem, odleciała, bzykając. Spod wargi lśniły martwo białe zęby. Wypukłe oczy zmętniały jak stężała galareta. Ręce, kurczowo zaciśnięte w obronnym ruchu, leżały ciężko na kamieniach. Ostatni znak życia, ciepła o mdłym zapachu krew przesączyła się szeroką plamą przez bluzkę opinającą zbyt wydatną pierś i zasychała na brzegach jak rdza. Mały talizman w kształcie świstawki przesunął się na szyi na bok, zawahał się parę razy na łańcuszku i zawisł nieruchomo. Usunąłem spod głowy trupa ostry, niewygodny kawałek cegły, odgarnąłem delikatnie włosy, ułożyłem głowę na miękkim piasku wapiennym i podniósłszy się z klęczek, otrzepałem starannie spodnie z kurzu. Nade mną pociemniało od koła ludzkich twarzy skupionych i milczących. Z trudem przepchałem się łokciami przez niechętnie ustępujący tłum. Przepuścili mnie i jeszcze ciaśniej skupili się nad ciałem.

Na podwórzu dymiły się ognie pod porzuconymi garnkami i menażkami. - Wiatr skręcał z chrzęstem dym jak słomę i wyrzucał go za mur. Zrzucone ze strychu deski na ogień bezszelestnie zsunęły się w powietrzu, zabielały na tle czarnych okien i upadły z przeraźliwym trzaskiem. Z ziemi podniósł się słup kurzu, powoli zwinął się nad ziemią i upadł. Z niezmiernej oddali dochodził do mnie jednostajny, stłumiony szmer głosów jak zza

---

<sup>119</sup> Fraulein, Fraulein! Halt, halt! (niem.) Come here (ang.) - Panienko! Stój! Chodź tutaj

ściany. Spomiędzy bloków mieszkalnych, z ulicy wysadżanej młodymi platanami, zza zakrętu garażu, z którego sterczały długie, okryte brezentami, nosy armat, wyskoczył mały, śmieszny jeep wypchany żołnierzami, prześliznął się między drzewami, prychnął olbrzymim kłębem dymu i kurzu, wparł się kołami w ziemię i przysiadł, hamując ze zgrzytem.

- What's happened?<sup>120</sup> Czemu ci ludzie tak krzyczą? First Lieutenant pochylił się ku szoferowi. Ten wzruszył obojętnie ramionami. Spojrzałem zdziwiony na oficera. W otaczającej nas ciszy głos jego zabrzmiał ostro i nieprzyjemnie jak darcie płótna. Oficer, napotkawszy spojrzenie, zamrugał i ściągnął nieco wargi. Wysunął z auta nogę i zakołysał nią z wahaniem. Słońce załśniło i rozkwitło w brązowym wyglansowanym półbuciku. Dwaj żołnierze z pistoletami maszynowymi na kolanach rozpierali się na tylnym siedzeniu. Kierowca sięgnął do kieszeni, wydobyl paczkę papierosów, zerwał barwną opaskę, przechylił się do tyłu, częstując. Zapalili. Delikatny strumień niebieskiego dymu przepłynął koło twarzy i porwany wiatrem znikł w powietrzu. Podszedłem, nie śpiesząc się, do auta.

- Do you speak English?<sup>121</sup> - zapytał szybko First Lieutenant. Poruszył niezdecydowanie szczęką, jakby rozpędzając się, i naraz zaczął żuć.

- I do<sup>122</sup> - kiwnąłem. Mój głos zahuczał w głowie jak w pustej sali, aż się wstrząsnąłem. Patrzyłem na oficera nie jak na człowieka, a jak na daleki, obojętny przedmiot.

Tłum zasłaniał szczelnie trupa dziewczyny, ale odwrócił się od niego i patrzył na żołnierzy. W uszach huczało mi jak w słuchawkach. Nagle ściana ludzi poruszyła się, odprysła.

- What's happened? - powtórzył nieco ostrzej Pierwszy Porucznik. Dotykał stopą ziemi. Zdawało się, że wyprysnie z auta. - Kto skrzywdził tych ludzi? Czemu oni tak krzyczą? Co się stało?

Żołnierz z karabinkiem opuszczonym lufą na dół wyszedł z tłumu, a za nim przepychali się pozostali dwaj, którzy wtedy palili papierosy. Nim jednak ten, który szedł przodem, zdążył coś powiedzieć, zwróciłem się do oficera.

- Nothing, sir<sup>123</sup>. Nic się nie stało - uspokoilem go bagatelizującym ruchem ręki i uprzejmym poddaniem całego ciała. - Nic się nie stało. Zastrzeliliście przed chwilą dziewczynę z obozu.

Pierwszy Porucznik wyskoczył z auta jak zwolniona raptem sprężyna. Twarz jego spłynęła przelotnie krwią i pobielala.

---

<sup>120</sup> What's happened (ang.) - Co się stało

<sup>121</sup> Do you speak English (ang.) - Czy mówi pan po angielsku

<sup>122</sup> I do (ane.) - tu: mówię

<sup>123</sup> Nothing, sir (ang.) - Nic, proszę pana

- My God<sup>124</sup> - powiedział. Musiało mu nagle zaschnąć w ustach, gdyż krzywiąc się, wypłuł gumę. Różowa grudka zaczerwieniła się w kurzu drogi. - My God! My God! - Chwytał się za głowę.

- My tu, w Europie, jesteśmy do tego przyzwyczajeni - odrzekłem obojętnie. - Przez sześć lat strzelali do nas Niemcy, teraz strzeliliście wy, co za różnica?

Przez niski kurz jak przez płytką rzekę, nie oglądając się, ciężkim krokiem odszedłem w głąb koszar, do swoich książek, do swoich gratów, do swojej kolacji, którą już pewnie zafasowano. Cisza jak napęczniały balonik pękła z trzaskiem w uszach. Teraz dopiero uświadomiłem sobie, że nad ciałem dziewczyny tłum ciasno skupił się i patrząc w oczy żołnierzom cały czas wrogo skandował:

- Ge-sta-po! Ge-sta-po! Ge-sta-po!

## V

Żołnierska sala leżała w gruzach. Na stołach i na podłodze rozbite skorupy porcelanowych misek białeły w gęstym mroku jak oskrobane z włókien wyschłe kości. Ściągnięte z łóżek sienniki zwieszały się ku ziemi bezwładne, jakby były zabite. Z szaf, jak z otwartych, wypaproszonych brzuchów, wylewały się szmaty i stłamszone leżały na ziemi. - Pod nogami szeleściły zwały podartych, zduszonych książek. W powietrzu unosił się stęchły, piwniczny, trupi zapach, jakby te szmaty, sienniki, skorupy i książki, porozbijane i poszarpane, gniły i rozkładały się dalej.

Siny kwadrat okna, otwartego w noc, rozkwitł jak olbrzymim kwiatem - czerwoną rakieta. Strzelano z wysokiej wieży koło bramy. Łagodne światło bezszelestnie spłynęło po oknie jak świeża krew. Cienie zachwiały się, zawahały jak rozkołysana woda i podniosły się do góry.

Korzystając ze światła, zjrzałem do szafy. Wygarnięto z niej wszystko, cokolwiek nadawało się do użytku, resztę zniszczono. Na dnie domacałem się w garnku ocalałych płatków kartoflanych. Zaszleściły w palcach jak suche, pokruszone liście.

Rakieta spłynęła na bruk, podskoczyła kilkakrotnie, błysnęła silniej czerwienią i zgasła. Zrobiło się zupełnie ciemno. Podeszedłem do łóżka i pomacałem ręką. Palce przeszorowały po szorstkim sienniku. Koca nie było. Ukradli. W głębi sali ktoś z jękiem poruszył się na łóżku. Przeleciał jakiś przenikliwy strzęp szeptu, stłumiony, urwany chichot rozpląnął się w nagłym chrzęście słomy. Umilkło.

---

<sup>124</sup> My God (ang.) - Mój Boże

- Cygan? Cygan, bracie, to ty? - zapytałem z ogromną ulgą. Ruszyłem do szafy i czepiając się łóżek brnąłem w głąb sali. Rozbite szkło zachrząściło pod nogami. - Cygan, jesteś? - Zatrzymałem się niepewnie i czekałem w napięciu.

- A gdzie bym był, jak mnie tak wszystko pieruńsko boli! - zajęczał w ciemności Cygan. Siennik znów zachrząścił niespokojnie. - Ten naród ludzki, co oni narobili! Żebym ja był tego nie dożył. Nie było nikogo, nikt po jedzenie nie poszedł...

- Nikt nie przyniósł kolacji? - krzyknąłem z rozpaczą. Poczulem nagły przejmujący głód. Oparłem się o stół. Namacałem krzesło. Usiadłem. - Nie ma kolacji - powtórzyłem machinalnie.

- A jutro transport i znowu jeść nie dadzą.

- Nie było nikogo, nikt nie pilnował - ciągnął płaczliwie Cygan, zachłystując się słowami jak płaczem. - Wpadli do sali, wszystko rozbili, rozkradli. Panie Tadku, żebyś pan widział, żebyś pan tylko widział, toby panu chyba serce pękło. Książki pana porozdzierali, panu Koli zabrali papierosy. Polak Polakowi. O Boże miłosierny, zlituj się nad nami. I mnie buty wzięli. Ledwo garnitur wybronilem. Pod głową go miałem.

- Nie trzeba było surowego barana jeść, tobyś dzisiaj także nakradł. Szykują się chłopaki na transport, nie dziwota, że kradną - rzekłem drwiąco. Ścisnąłem z żalu zęby i kopnąłem walający się pod nogami czerep miski. Potoczyła się z brzękiem po betonie.

- Szykują się, szykują się, żeby im tak w boku szykowało - zaklął Cygan, pochlipując. - A pan Redaktor przyszedł i książki z pana szafy także zabierał. Powiedział, że pan pewnie nie wróci, to szkoda zostawiać. Jemu się przydadzą, bo pojechał do pana generała Andersa.

- Redaktor? Co mi zupy dawał? Pojechał! Jednak pojechał! Beze mnie! - Uczulem znowu, że jestem głodny.

- A pan chorąży siedzi w bunkrze i pan Kola siedzi w bunkrze - ciągnął monotonicznie Cygan. Czerwona rakietka znów rozjarzyła się na granatowym niebie, obok wykwitły zielone, pomarańczowe i żółte, razem bukietem spłynęły na ziemię. Czarna twarz Cygana powlokła się jak rtęcią trupim, neonowym światłem i zapadła się w mrok. - A mówili, że pana chorążego i pana Kolę za karę do Polski odeślą.

- Przecież Kolka chciał jechać do Włoch - zawołałem w zdumieniu. - No, to się w Polsce spotkają ze Stefanem. Już on ich zakapuje.

- A panu chorążemu szafkę rozbili, aparat fotograficzny zabrali i pieniądze. O, Boże, Boże... Mnie podłożyli...

- Nie kłam, nie kłam, parszywy Cyganie, bo ci znowu mordę nabiję... Sameś pieniądze ukradł. Podpatrzyłeś, jak tata chował - odezwał się z dołu syn chorążego. Łóżko zaskrzypiało

z pasji.

- O, udało się panu wrócić? - ucieszyłem się uprzejmie.

- Tatuś martwił się o pana.

- Niech się tata martwi o siebie, jak głupi bić się - burknął syn chorążego. - Ja tam sobie radę dam. Głupi nie będę i w transporty do Polski nie pojadę - dodał z lekceważeniem.

- Przywiózł pan co?

- Przywiozłem - odparł - ale nie barana. To lepsze od barana. Posłuchaj pan. - Pogmerał, a z ciemności wydobył się oburzony kobiecy pisk. - Niemrę kupiłem. Przeciągnąłem przez dziurę. Znajome kowboje na warcie stali.

- Ale pan ma szczęście - westchnąłem zazdrośnie.

- Pan by też mógł mieć, jakby pan pochodził. A pan tylko w książkach siedzi. Samo nie przyjdzie. Grunt, aby dziś.

- A jutro? Jak będzie transport?

- O jutrze będziemy jutro gadać - ostatnie słowo zachrypiało w ziewnięciu. - Chłopaki się nie dadzą.

- Tak pan myśli?

- Ale, szykują się do obrony - zapewnił z przekonaniem. - Tam - machnął ręką w stronę rozświetlonego rakietami podwórza. - Grunwald robią. Ale my zrobimy lepszy. Ile chłopaki brauningów mają. A granatów, a karabinów, a rozpylaczy! Co pan myślisz, że tylko rakietnice na Grunwald? Jak ustawią ze dwa cekaemy na strychu, jak pluną... Co, okej nie uciekną?

Podniósł się na łóżku, jakby chciał wstać. Lecz tylko owinął kobietę kocem aż po czub jasnych, puszystych włosów, opadł z westchnieniem na łóżko i wsadził rękę pod koc.

Niebo grało wszystkimi kolorami. Fontanna rakiet przepływała przez powietrze, opadała rozżarzonymi kroplami na dno ciemności, rozpryskiwała się na niebie. Czerwony dach koszar mienił się upiornie na tle nieruchomego nieba, które nabiegało raz po raz granatowym sokiem.

- Grunwald robią - rzekłem do syna chorążego. - Jutro mieli go powtarzać. Uważaj pan, żeby jej jutro nie znaleźli, bo szkoda.

- O, wielkie zmartwienie - głos mu nieco drgał, jakby w zadysz-ce. - A niech ją złapią. Będzie mi potrzebna albo co? A może pójdę z nią do chłopaków i będziemy siedzieć na strychu. Tam są meliny, że ich diabeł nie znajdzie. Jak skończą akcję, to się wyjdzie, i dobra, do następnego razu!

- Podobnież do Koburga transport ma iść - odezwał się Cygan.

- Jak ja pojedę, kiedy ja taki chory? Może mnie nie wezmą? Pan umiesz po angielsku, to pan kowbojów poprosisz, panie Tadku?

Leżał odkryty i oddychał ciężko jak zdychające zwierzę. Wparł we mnie świecące odbiciem rakiet oczy. W czarnej zapadłej twarzy błyszczały niesamowite, jakby nafasforyzowane.

- Co ty sobie wyobrażasz, że będę się złodziejami zajmował? Szkoda, że ciebie nie udusiłem, jak jechaliśmy do Dachau, tobyś nie miał kłopotu dzisiaj - rzekłem z pogardą. Syn chorążego zachichotał i pokręcił się na łóżku. - Sam muszę się schować przed transportem. Potem będzie łatwiej o jakąś funkcję w obozie, prowiantowego albo sekretarza - dodałem łagodniej. - Bo co innego robić?

- Idź pan na Grunwald - poradził syn chorążego - a jak się skończy, to się pan tu prześpisz. Bo ja mięso idę gotować.

Wstałem od stołu i brnąc po książkach, dotarłem do drzwi. Naraz otwarto je z drugiej strony i z czarnej nory korytarza zamigotała w świetle żółtej rakiety ostra, ciemna twarz o wpółotwartych ustach. Rakietka spłynęła w dół, a błyszczące okulary nabiegły różową poświatą.

- Profesorze, to pan! - krzyknąłem histerycznie. Podprowadziłem go do stołu.

- Szukał mnie pan?

Profesor był wciąż w skórzanym tyrolskim stroju. Po białych, z rzadka porosłych czarnym włosom kolanach przesuwwały się kolorowe cienie, ogarniały bawarską koszulkę, wspinały się po twarzy i przez sufit uciekały za okno.

- Szukałem - rzekł Profesor. - Miałem przecież być u pana. Zadbalem dla pana o dobre miejsce przy ognisku. Zaraz się zacznie. Gdzież pan był tyle czasu?

Klepnął się po kolanach. Sięgnął do kieszonki. Zmięty, pokruszony papieros przewinął się przez palce i rozżarzył się w ustach nikłym płomieniem, napędzając czerwień w wargi, kładąc się słabym refleksem w rozpadlinach twarzy.

- Nie wiem, gdzie byłem, doprawdy - rzekłem słabo. Opuściłem głowę i zapatrzyłem się w podłogę. Przedarty leżał na ziemi drzeworyt z bohaterskich, wesołych i chwalebnych przygód Sowizdrzała, dziewczyna z nagimi piersiami grająca pod ścianą na gitarze.

- Gdzieś laziłem po obozie. Czy to nie wszystko jedno! Konwenanse towarzyskie? Tu! W przeddzień transportu? I tak jutro nie spotkamy się więcej.

- Ziemia jest mała! - zawołał Profesor. Zaciągnął się papierosem. Puszysty kłęb dymu błysnął różowym podbrzuszem i wypiąwszy siny grzbiet rozpląszczył się pod sufitem. - Oczywiście, że się spotkamy. Nie na tej, to na innej łące - wrócił do swojej ulubionej myśli. -

Tylko... - naraz zeszywniał w pół słowa. - Zastrzelili ją - rzekł po chwili, odrzucając niedopałek - zastrzelili ją na bramie. Poszła na spacer.

- Ta pańska sąsiadka?

- Ta, co przyjechała z Pilzna. Moja sąsiadka z domu. Jak wyjeżdżałem we wrześniu, była jeszcze dzieckiem. Nieraz, dawniej, kupowałem jej ciastka. Wie pan, były takie z kremem. Truskawka na czubie? - Zajrzał mi w oczy, niepewny, czy przypominam. - Kolegowałem z jej ojcem - dodał tonem wyjaśnienia. - A teraz, patrz pan - uderzył mnie dłonią po ramieniu - jaka wypierśna kobieta! Już ją prawie miałem w rękę, już ją obmacywałem i co za nieszczęście...

Sięgnął znów do kieszeni. Pogrzebał w niej natarczywie. Nie znalazł. Westchnął ciężko i podparł głowę rękoma.

- Co za nieszczęście! - powtórzył jakby sennie. - Cóż robić?

- Pomilczał, pokiwał głową. - Chodźmy na Grunwald! - zdecydował się.

- To ja byłem z nią. Byłem z nią w lesie - rzekłem niespodziewanie dla samego siebie. - Przy mnie zastrzelili ją. A pan mi o Grunwaldzie...

Zerwałem się z łóżka. Profesor podniósł głowę, ciężko dźwignął się, jakby wychodził z wody, zakołysał się i chwycił mnie za rękę. Brązowy jeleń, wytłoczony na pasku łączącym szelki, drgał w świetle rakiet jak żywy. Na kościstej twarzy Profesora światła mieszały się i nabrzmiewały, czerwień bełtała się z zielenią, szły razem ku czołu, podpływały pod sufit, a na ich miejsce wylewały się różowe, niebieskie i żółte światła i osadzały się pod brodą, w kątach ust, pod oczami, w zagłębieniach uszu, jak farby na portrecie. Twarz Profesora grała wszystkimi kolorami tęczy, pęczniała od środka, puchła, policzki wydymały się jak szkliste, mieniące się banie, jakby Profesor dusił się od światła. Nagle puścił ze świstem powietrze i rozwarłszy szeroko usta, ryknął ogromnym, huczącym śmiechem.

- Cha, cha, cha, cha! Cha, cha, cha, cha! - dusił się dobrą chwilę od śmiechu, ściskając mi coraz silniej rękę, a światło nabiegło mu natychmiast w otwarte usta i zakotłowało się w nich różnobarwnie.

- Profesorze, niech pan przestanie! - krzyknąłem, wrywając rękę z uścisku. - Pan oszalał!

- A ja myślałem, że będę spał z nią dzisiaj. Przyszykowałem kolację. Nawet prześcieradło dostałem! Cha, cha, cha, cha! A pan z nią! Młodości! Młodości! - Trząśnięty całym ciałem od śmiechu, wielki, chudy, obrzydliwie kolorowy. - Przecież to była taka zwyczajna! Ja ją chciałem! Cha, cha, cha, cha!

Nagle zachwiał się, zakasłał się gwałtownie i schylił się ku ziemi, charcząc. Cała sala,

wypełniona światłami, kołysała się jak okręt. Kolorowe sienniki, stoły, ściany, miski, książki mieniły się i wirowały jak jaskrawe kule.

- Widzisz, Profesor - odezwał się z kąta syn chorążego - nie trzeba było kochać się na starość. Dziewczyny nie dostałeś, ale gruźlicę. I Grunwaldu nie zobaczysz. - Leż, leż, cholero - dodał niecierpliwie, a łóżko zachrobotało. - Kręci się, jakby jej kto smoły nalał.

- Grunwald, prawda, Grunwald! - Profesor wyprostował się. Twarz powlokła się meduzim blaskiem, zgasła wraz z ostatnią rakieta i poszarzała jak wystygły popiół. - Chodźcie wszyscy na Grunwald!

Za oknem, w mroku, który zgasił rakiety, buchnął nagle rudy płomień, polizał czarne okna jak łaszący się pies i rozkołysał sobą mrok jak dzwon. Cienie drzew wydłużyły się aż ponad dach i chwiały się jak świece.

- Chodźcie wszyscy na Grunwald! - zapiał Profesor. Pociągnął mnie do okna. - Zobacz pan, zobacz pan! - wołał niecierpliwie. Obrócił się ku sali. - Chodźcie wszyscy - rzekł prosząco. - Weź pan dziewczynę, niech i ona zobaczy. - Wychyliłem się za parapet. W czarnej misce podwórza, naokoło drgającej bani płonącego stosu, który rozbity wiatrem rozwiewał się jak grzywa pędzącego konia, stał milczący tłum. Błyski ognia ślizgały się po twarzach i nasycaly je krwią, którą zaraz wysysała ciemność. Suche deski płonęły z trzaskiem, a odpryski odlatywały w mrok. Światło raket umilkło.

- Był pan w kościółku w osiedlu niemieckim? Nie? - Profesor już się opanował. Mówił poważnie, prawie surowo. Twarz jego, odziana w mrok, stała się znowu ostra i zmęczona. Ja tam codziennie chodzę. Spokojnie. Pełno Boga. Aż się wylewa. Amboneczka, w okieneczkach kratki, maleńki ołtarzyk, sentencje z Biblii na ściankach. A pod jedną ze ścianek krzyżyki, na krzyżykach klepsydry, sami SS-mani! Rozmiesz pan? A kwiatów pod krzyżykami, zatrząsienie kwiatów! - W oczach jego płonął rudy blask ogniska. - Tak Niemcy czczą swoich umarłych.

- A my? - mruknałem z ubolewaniem. - Pies z kulawą nogą nie zadba, jak człowiek zdechnie.

Syn chorążego wstał z łóżka i przyczłapał nagi do okna. Dziewczyna w nocnej koszuli sunęła za nim cicho jak duch. Czarny Cygan podparł się na łokciu i z zazdrością patrzył za okno.

- My? - powtórzył Profesor w zamyśleniu. - My jesteśmy tuż przy nich. My... Patrzcie! - krzyknął drapieźnie - patrzcie na ognisko! Na to czekam, to Grunwald!

Na stos dorzucono świeżych sosnowych gałęzi. Ogień przygasał. Powiało gęstym, brudnym dymem. Wiatr odparł dym, płomień bryznął pod niebo. Z tłumy wytrząsł się książdz



w sutannie. Biały kołnierzyk ścisnął rudą szyję. Ksiądz podniósł obie ręce, jakby błogosławił. Gdzieś w głębi ciemności wywleczono człowieka w mundurze esesmańskim. Hełm z brzękiem spadł na beton dziedzińca. Tłum buchnął śmiechem. - Człowiekowi wciśnięto z powrotem hełm na głowę. Ksiądz ujął go za ramiona, dźwignął z wysiłkiem i wśród okrzyków tłumu cisnął człowieka w ogień.

Twarz stojącej obok mnie dziewczyny poszarzała jak popiół. Oczy jej jak dwa węgle żarzyły się przerażeniem. Zgasły, przykryte powiekami. Wczepiła we mnie kurczowo palce.

- Was ist los? - zaszepiała szcękając zębami. Poglaskałem ją uspokajająco po chłodnej dłoni. Wparła się we mnie całym ciałem. Podnosił się od niej zapach, bił w nozdrza i wdrażał się w ciało. - Was ist los? - usta jej skrzywiły się. Odgarnęła włosy znad czoła.

- Ruhig, ruhig, Kind<sup>125</sup> - rzekł łagodnie Profesor. - To pali się kukła SS-mana. - To nasza odpowiedź - na krematoria i na kościółek.

- I na martwą dziewczynę - warknąłem przez zęby.

Sięgnąłem dłonią do tyłu. Ciepłe ciało dziewczyny przylgnęło do mnie szczelnie i drżało z podniecenia i strachu. Dyszała mi wprost w kark parnym, gorącym oddechem.

Przed tłum wystąpił Aktor, gruby, mały, ogarnięty blaskiem jak czerwonym płaszczem, i podczas gdy ksiądz ciskał w ogień coraz to nowe kukły, które jak podlane naftą rozrywały się słupem płomienia i skręcały się w tym ruchu jak żywe, on podniósł ramiona w górę, uciszył krzyczący tłum, jednym gestem dłoni rozszczepił go wzdłuż szerokiej ulicy, dźwignął głowę ku ciemnym dachom koszar i dał znak.

Buchnęły kaskady rakiet. Niebo zapaliło się jak choinka, trysnęło bengalskimi ognikami i spadało kroplami na ziemię. Ze strychów odezwały się długie serie karabinów maszynowych. Dymne pociski szły popielatymi smugami przez niebo jak stada dzikich gęsi. Tłum, objęty pożarem rakiet, zajaskrawił się wraz z całym podwórzem, które kłębiło się i wirowało jak gnana wiatrem bańka mydlana.

- Niech umarli grzebią umarłych - rzekł w zadumie Profesor. - My, żywi, idźmy z żywymi. - Policzki jego, zanurzone w tygiel rakiet, znów nabrzmiały i napęczniały. Naraz Profesor zarechotał po raz drugi śmiechem. - Żywi z żywymi! Cha, cha, cha, cha! Cha, cha, cha cha! Żywi z żywymi. Tak jak oni, na zawsze! Patrzcie!

Wyciągnął rękę w stronę hali tonącej w mętym mroku. Spod jej cienia, jak spod olbrzymiej skorupy na wpół otwartej ostrzem ognia, między kamiennymi ścianami budynków, zamazanych cieniem drzew, po dziedzińcu posesmańskich koszar, na którym w

---

<sup>125</sup> Ruhig, ruhig, Kind (niem.) - Spokojnie, spokojnie, dziecko

rocznicę bitwy pod Grunwaldem rzucano na stos słomiane kukły żołnierzy z SS, w przededniu transportu, który wszystko miał zniszczyć i rozproszyć bezpowrotnie ludzi - głucho, zacięcie wbijając w beton takt, szedł Batalion i śpiewał...

## OKREŚLENIA OŚWIĘCIMSKIE\*

Odrębność i egzotyczność socjalna środowiska, przemieszanie się wielu grup językowych, urzędowy język niemiecki - wszystkie te czynniki złożyły się na powstanie swobodnego języka obozowego, który, podobnie jak język konspiracji, oczekuje swego kodyfikatora. Podajemy znaczenie niektórych określeń, używanych w Oświęcimiu, które być może ułatwią zrozumienie pewnych partii tekstu.

ABGANG - grupa, która odchodzi z bloku na blok, ze szpitala na obóz, z obozu do szpitala, również pojedynczy człowiek. „Z naszego bloku odszedł dziś abgang trzydziestu ludzi”. „Ilu masz abgangów?”

ANTRETEN - zbiórka. Życie obozowe składało się z dwu momentów: kiedy więzień chodził sam i kiedy chodził w szeregu. „Nie słyszysz, że antreten?” „Idziemy na antreten?”

APEL - wieczorne liczenie stanu w obozie. Święta, codzienna czynność. Również stan bloku wzgl. obozu na apelu. „Chodźmy na apel”. „Czy zgadza ci się apel” - blokowy do szrajbera.

ARBEITSKOMANDO - oddział roboczy. Każdy więzień był przydzielony do jakiegoś komanda, z wyjątkiem tych, co siedzieli w bunkrze lub leżeli w szpitalu. „Jak ci idzie na nowym komandzie?” „Muszę zmienić komando, bo nie wytrzymam?”

BLOK - Barak obozowy. W tzw. Starym Oświęcimiu były to solidne, zbudowane przez więźniów piętrowe domy. W Birkenau były to prawie bez wyjątku drewniane, końskie baraki. Każdy więzień był przydzielony do jakiegoś bloku, przy którym musiał stawać na apel. Określone komanda zajmowały określone bloki. Prominenci spali w dowolnie wybranych przez siebie blokach. „Jazda z bloku na apel!” „Blok szósty do odwszenia!”

BLOKOWY - więzień, przełożony bloku, dbał o porządek bloku, nadzorował wydawanie jedzenia, paczek itp. Był odpowiedzialny za zgodność apelu. Inne dorywcze zajęcia: poszukiwanie zbiegłych więźniów (w obrębie wielkiej postenketty), wymierzanie kar cielesnych przy oficjalnych egzekucjach itp. Otoczeni nimbem zbrodniczości (niektórzy mieli na sumieniu po kilka tysięcy zamordowanych) ograniczyli się z czasem do wygodnej funkcji reprezentowania bloku wobec esmanów, pozostawiając właściwą władzę szrajberowi i sztabowym. Sławni byli blokowi z kwarantanny z Birkenau, przeważnie Polacy (np. nr. 1825 Franek Karasiewicz).

---

\* Słowniczek opracowany przez Tadeusza Borowskiego, dołączony był do książki: Janusz Nel Siedlecki, Krystyn Olszewski, Tadeusz Borowski, Byliśmy w Oświęcimiu, Oficyna Warszawska na obczyźnie, [Monachium] 1946. Wydanie krajowe: MON Warszawa 1958

BUKSA - albo prycza, dwupiętrowa konstrukcja do spania. W braku innych konstrukcji w bloku (i miejsca na nie) miejsce do załatwiania wszelkich czynności człowieka (prócz wydalania): jedzenia, bicia wszy, oskrobywania się z błota, pisania listów do domu i - organizacji. Parter i pierwsze piętro tej konstrukcji podobne były do pochyło leżącej szuflady; przebywano w nich w pozycji leżącej. Na górze można było stać, siedzieć, wieszac ubranie na belkach, toteż zajmowali ją tzw. lepsi goście.

BUDA - pokoiki dla blokowego i szrajbera, zbudowane na przedzie bloku. Zwykle bardzo luksusowo urządzone (w skali bezwzględnej). Wstęp do nich był dla więźnia z bloku oczywiście niemożliwy. „Nie hałasuj, muzulmanie, blokowy śpi w budzie”.

BUNKIER - kryjówka, wygrzebana w ziemi przez planujących ucieczkę więźniów. Również ceta z cementu, w której więzień, aresztowany w obozie za przestępstwo (handel, odarty koc na plecach od zimna, próba ucieczki, nielegalny list), stał dotykając karkiem sufitu, przez długie tygodnie, dni i noce. Również stanowisko ochronne dla straży obozowej, to, co Anglicy nazywają pillbox. „Byle bunkier był, można uciekać”. „Tak, ale jak złapią, to bunkier murowany”. „Zwłaszcza że pobudowali naokoło obozu bunkry. Jak przejdziesz przez nie w nocy?”

CYGAŃSKI - obóz cygański. Cyganie, z całej Europy internowani w Oświęcimiu, rychło stracili wszelkie prawa i pozory praw ludzi internowanych i masowo padali ofiarą głodu, brudu, chorób i barbarzyńskiego traktowania esmanów i obsługi obozowej. „Idę na cygański”. „Nie ma to, bracie, jak na cygańskim!”

CULAGA - dodatek żywnościowy dla pracujących. „Dzisiaj culaga, łatwiej będzie wytrzymać do jutra do obiadu”.

CYKLON - gaz, używany w komorach gazowych. W roku '44 ze względów oszczędnościowych obniżono jednorazową dawkę. Śmierć, zamiast pięciu minut, trwała, jak opowiadali Żydzi z tzw. sonderkomanda, od piętnastu do dwudziestu pięciu minut. Gaz ten był wyrabiany przez prywatną firmę niemiecką.

DAW - Deutsche Abrüstungswerke, ciężkie komando, trudniące się głównie rozbiórką samolotów, straconych nad Niemcami. Klasyczne miejsce ucieczek. „Syrena buczy, pewno znów ktoś uciekł z DAW”.

DURCHFALL - biegunka, dyzenteria. klasyczna choroba obozowa, postrach wszystkich więźniów. W olbrzymiej większości wypadków nie leczona i nieuleczalna. Każdy był w walce z durchfallem zdany wyłącznie na siebie. Walka ta jest jednym z nie napisanych eposów Oświęcimia. „Nie pij wody, bo dostaniesz durchfallu”. „Na durchfall najlepszy chleb spieczony na węgiel”.

EFEKTY - początkowo składy rzeczy prywatnych więźniów. Później również cały osobny odcinek obozowy, w którego blokach leżały (i gniły) bogactwa zabrane transportom idącym do krematorium. „Przynieś mi ładną koszulę, jak będziesz na efektach”.

FUNKCJA - dobre stanowisko w obozie (nie na komandzie!), niekoniecznie oficjalnie dobre (pipel u blokowego, goniec, flegger w szpitalu etc.). „Ma chłopak szczęście, dostał się na funkcję”.

FLEGMONA - ropień śródmięśniowy, druga klasyczna choroba oświęcimska, podobnie jak durchfall przez długie lata predestynowała ludzi do komory gazowej.

FLEGER - sanitariusz w szpitalu, odpowiadał mniej więcej funkcji sztabowego na lagrze. „Panie flegger, wody!” „Flegger jest ważniejszy niż doktor”.

FLECK - tyfus plamisty, trzecia klasyczna choroba oświęcimska. Do czwartego kwietnia 1943 wszyscy chorzy na fleck szli bezwzględnie do komory gazowej. W pamięci wielu fleck wiąże się z osobą drą Zenktellera, niestrudzonego tropiciela wszy i chorych na tyfus, którzy byli ukrywani przez przyjaciół fleggerów na innych, nietyfusowych blokach szpitala.

GASKAMMER - komora gazowa. Przez parę niewielkich sal oświęcimskich przeszło w ciągu paru lat parę milionów ludzi i wyszło - „w charakterze dymu przez komin” - jak mówiono ironicznie w obozie. Ponieważ każdy większy obóz koncentracyjny posiadał własne komory gazowe i krematoria, ilość ich może być obliczana na setki. Architektura dwudziestego wieku! „Cały transport poszedł do gazu”. „Co się martwić, tak i tak pójdziemy do gazu”.

GONG - pobudka, sygnał do pracy, na apel, do snu. „Wstawać, lepsi goście, już po drugim gongu”.

HOLZHOF - słynne komando muzułmanów, skład drzewa.

KAPO - (capo), więzień kierujący grupą roboczą. Pilnował roboty, rozdawał zupę, premie i - kije. Posiadał nieograniczoną władzę nad więźniami. Dobroć komanda mierzono głównie tym, czy kapo jest dobry, czy istniały komanda zasadniczo złe (Weichseldurchstich) i zasadniczo dobre (pracujące np. na obozie kobiecym). Z reguły każdy kapo miał własną budę na polu, miejsce wypoczynku, snu, handlu, pijaństwa i konszachtów z esmanami, tudzież wiadomych stosunków ze swymi piplami. „Jak ci kapo mówi, to masz to zrobić”. „Powiem kapie, że nie chcesz robić”.

KANADA - symbol dobrobytu obozowego. Również komando pracujące przy transportach, przychodzących do obozu i do gazu. „Teraz to w obozie jest kanada, trzeba było wcześniej przyjechać, tobyście zobaczyli”. „Kanada idzie na rampę”.

KOMIN - synonim krematorium i śmierci w komorze gazowej. „Co się tak pchasz jak Żyd do komina”.

KLAMOTY - graty, odzież. „Pozbieraj te klamoty!”

KOMANDO - oddział roboczy, mający swego kapę, dozorującego esmana (komandoführera) i pracujący przy określonej robocie lub w określonym miejscu.

KRĘCĄ - świerzb, czwarta klasyczna choroba oświęcimska. Nieraz całe zarażone bloki szły do gazu (np. z FKL). „Masz kręcę? Posmaruj się herbatą”.

KRANKENBAU - szpital, słynne KB. LAGER - obóz (domyślnie: koncentracyjny).

ZLAGROWANY - człowiek, który myśli tylko kategoriami życia obozowego i postępuje wg moralności obozowej. „Jesteś zupełnie zlagrowany”.

LEICHENHALLA - kostnica obozowa, gdzie układano plon dzienny we wzorowym porządku (trup przy trupie, piętrami, głowa między nogami, wysoki na wysokim). Każdy trup miał kartę zgonu; przed wywiezieniem do krematorium układano trupy szeregiem na drodze obozowej w szpitalu tak, aby numer, wytatuowany na lewej ręce, był dobrze widoczny dla esmana, który sprawdzał identyczność zmarłych. Wieczorem ładowano trupy na samochód z podnoszoną platformą; przed krematorium wysypywano je automatycznie; reszta była sprawą Żydów z tzw. sonderkomanda i - ognia.

MELDUNG - doniesienie, karny raport. System donosicielstwa był szeroko rozgałęziony wśród więźniów, zwłaszcza tam, gdzie nie chodziło o kawałek oddartego koca, palenie papierosa podczas pracy czy nieumycie miski - takie sprawy też były brzemienne w konsekwencje, lecz szło o dawne porachunki starych numerów, o dochodowe funkcje, o kobiety, o ukryte między belkami złoto.

MUZUŁMAN - człowiek całkowicie zniszczony fizycznie i duchowo, nie mający ani sił, ani woli do dalszej walki o życie, zazwyczaj z durchfallem, flegmonami lub kręcą, najzupełniej dojrzały do komina. Żadne objaśnienia nie mogą oddać pogardy, z jaką mużulman był traktowany w obozie przez towarzyszy. Nawet więźniowie, lubujący się w autobiografiach obozowych, niechętnie przyznają się do tego, że byli kiedyś „także” mużulmanami.

ORGANIZACJA - zdobywanie środków utrzymania poza porcją, obojętnie jak: uczciwie (z kuchni SS, z efektów, z rampy) czy nieuczciwie (z porcji kolegów). Organizator, człowiek oswojony z tym trybem życia, miał nieraz potężne bogactwa i cieszył się zawsze pełnym poważaniem i zawiścią obozu.

PASIAKI - ubranie obozowe, sporządzone ze specjalnego materiału (powiadali, że z pokrzyw) w szaro-niebieskie pasy. Dobrze skrojone, dopasowane do figury pasiaki były

oznaką dobrobytu, funkcji i dobrego samopoczucia noszącego je więźnia.

PIPEL - chłopiec do posług u blokowego lub kapy. Zwykle dzieciak ocalały z żydowskiego transportu. Odpowiednik kobiecy: kalifaktorka.

POST - wartownik, esman. Blockführerzy, to jest ci, którzy nadzorowali życie wewnętrzne obozu, byli odsyłani „na posty” za wykroczenia (handel, stosunki z kobietami, etc.) - o ile ich złapano.

POSTENKETTA - łańcuch straży otaczający obóz lub miejsce pracy. Mała postenketta stała w nocy przy drutach obozu. Wielka postenketta stała w dzień (w razie ucieczki całą dobę), otaczając obóz w promieniu kilku km.

PROMINENT - albo „lepszy gość”, więzień na dobrym stanowisku, mający wszystkie chody otwarte. Czysty, elegancki, najedzony sardynkami, „zlagrowany”. Określenie o lekkim odcieniu pogardy. Nikt o sobie nie mówił, że jest prominentem.

ROLLWAGA - wóz, pchany przez ludzi. W obrębie obozu nie było zwierząt pociągowych. Do przewożenia zupy, chleba, ubrań, nieczystości, trupów z obozu do szpitala używano ludzi.

REWIR - szpital, ale tylko w gwarze obozu kobiecego, który nie używał wyrażenia „KB”.

SCHUTZHAFTLING - więzień polityczny, „ochronny”, zamknięty na wszelki wypadek. Oficjalny tytuł obozowy (z dodatkiem numeru).

STÓJKA - stanie na przedłużającym się apelu. Najdłuższa stójka oświęcimska: dwa dni.

SŁUPEK - przez związane z tyłu ręce przewleka się sznur i podciąga się więźnia przez kółko w słupie lub w braku specjalnego urządzenia po prostu przez poprzeczną belkę w bloku. Tak wisi się godzinę, dwie. Ręce wychodzą ze stawów, ścięgna pękają. Całość operacji zwie się „słupek”.

SONDERKOMMANDO - komando specjalne, złożone wyłącznie z Żydów i pracujące w krematorium przy gazowaniu i paleniu ludzi. „Kto ma mieć złoto, jak nie Sonderkommando?”

STARY NUMER - niski numer, oznaczający zasiedziałego w obozie więźnia. Źródło czci i poszanowania przez inne stare numery oraz młode numery, więźniów później przybyłych do obozu, zwanych także milionowcami. Obsadzenie najlepszych funkcji obozowych, nadzwyczajne umiejętności życia obozowego, patriotyzm lagrowy. „Co wy, milionowcy, wiecie o obozie! Zapytajcie jakiegoś starego numera (!), on wam może powiedzieć, co przeżył”.

SZTUBA - sala albo część bloku. „Jestem na szóstym bloku, sztuba trzecia, na górnej buksie”.

SZTUBOWY - komendant sztuby. Wydawał jedzenie, dbał o czystość sztuby i, rozumie się, nie chodził na komando. Nieograniczona władza nad więźniem.

SZPILA - dosercowy zastrzyk fenolu, którym uśmiercano w pierwszych latach muzułmanów w Oświęcimiu. „Wszyscy poszli na szpilę”.

TRAGA - nosze. Również pudło do noszenia chleba. Również nosiłki do dźwigania ziemi.

TOTENMELDUNG - akt zgonu, wystawiany przez szpital - lub jeśli śmierć nastąpiła w obozie - przez blokowego. Podaje czas i powód zgonu. W aktach więźniów zagazowanych: „przekazany do postępowania specjalnego”.

TRUPPENLAZARETT - szpital SS, położony w obrębie wielkiej postenketty. Pozostał nie wykończony do końca obozu.

UNTERKUNFT - składy obozowe, magazyny, nazwa komanda.

VERTRETER - zastępca blokowego. Faktyczna władza na bloku (w okresie, gdy blokowi reprezentowali blok).

VERNICHTUNGSLAGER - obóz wyniszczający. Podobno urzędowe określenie Oświęcimia.

VORARBEITER - pomocnik kapy, to, co Anglicy nazywają foreman.

WINKEL trójkąt kolorowy, oznaczający rodzaj przestępstwa, a noszony przed numerem obozowym na lewej piersi. „On ma czerwony winkel, a jest gorszy niż kryminalista”.

WYBIÓRKA - czyli selekcja muzułmanów do gazu. Odbywała się mniej więcej regularnie co dwa tygodnie, choć były okresy (np. lato '44), gdy z powodu przeciążenia krematoriów i komór gazowych wybiórek na lagrze nie praktykowano.

WASCHRAUM - zasadniczo umywalnia. Jednakże często służył do innych celów. Waschraum w Starym Oświęcimiu był widownią walk bokserskich i zapasów. Waschraum w Birkenau był miejscem rewii, urządzanych przez pewien okres w szpitalu, oraz przez cały czas trwania szpitala pozostawał punktem zbornym dla muzułmanów, którzy odprowadzani do waschraumu po wybiórcie ze wszystkich bloków szpitala, odjeżdżali wieczorem samochodami do gazu.

ZIELONY - esman. Dosyć rzadko używane.

ZAUNA - łaźnia, odwyszalnia. Ponieważ odwyszawiano w niej również rzeczy, przywożone przez transporty a używane przez więźniów, ludzie pracujący na zaunie posiadali



wszystko, od złota do książek. Kobiety były strzyżone (do nagiej skóry) i dezynfekowane wyłącznie przez mężczyzn.